

DROŻYZNA ZABIERA JUŻ DWIE PENSJE W ROKU

Cejrowski bez pardonu o nieskutecznej walce polityków z inflacją



Piotr Semka żegna Tomasza Wołkę

TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZEC**

NR 39/495 26 WRZEŚNIA–2 PAŹDZIERNIKA 2022
CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

**DODATEK
SPECJALNY:
KOŚCIÓŁ WOBEC
INWAZJI LGBT**



Czy Polacy naprawdę są russofobami?

ANALIZA ŁUKASZA WARZECHY

OPERACJA „ZIMA”

**Czarne chmury nad rządem
Mateusza Morawieckiego**

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829
9 772299 850000
Nakład: 54 000 egzemplarzy



NARODOWY BANK POLSKI informuje:

Ruszyła „Akademia NBP”

Narodowy Bank Polski uruchomił nowy projekt „Akademia NBP” obejmujący cykl wykładów z zakresu bankowości centralnej.

Pierwszy kurs pt. „Finanse i polityka pieniężna” został przygotowany wspólnie z Krajową Szkołą Administracji Publicznej im. Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Lecha Kaczyńskiego.

Rekrutacja została uruchomiona 8 września 2022 r. Zajęcia rozpoczną się 21 października 2022 r. Szczegółowe informacje znajdują się na stronie:

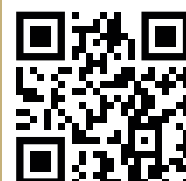
akademia.nbp.pl



Wykładowcami są:

- **prof. Adam Glapiński (SGH)**
Prezes Narodowego Banku Polskiego;
- **prof. Marta Kightley (SGH)**
Wiceprezes NBP, Pierwszy Zastępca Prezesa NBP;
- **prof. Beata Javorcik**
Główny ekonomista Europejskiego Banku Odbudowy i Rozwoju;
- **prof. Robert Holzmann**
Prezes Narodowego Banku Austrii;
- **prof. Sergiy Nikolaychuk**
Wiceprezes Narodowego Banku Ukrainy;
- **prof. David Marsh (OMFIF)**
Przewodniczący Oficjalnego Forum Instytucji Monetarnych i Finansowych;
- **prof. Ireneusz Dąbrowski (SGH)**
Członek Rady Polityki Pieniężnej;
- **prof. Jacek Kotłowski (SGH)**
Zastępca dyrektora Departamentu Analiz i Badań Ekonomicznych NBP;
- **prof. Juliusz Jabłecki (UW)**
Dyrektor Departamentu Zarządzania Ryzykiem Finansowym NBP;
- **prof. Piotr Zapadka (UKSW, KSAP)**
Członek Warszawskiej Izby Adwokackiej.

**ZESKANUJ
I WEŹ UDZIAŁ
W KURSIE**



Między agonią a determinacją



PAWEŁ LISICKI

Nic nie wskazuje na to, żeby środowowe wystąpienie Władimira Putina można było uznać za zapowiedź odprężenia. Przeciwnie, prezydent Rosji powtórzył w nim większość tez swojej dotychczasowej oficjalnej linii propagandowej. Można było zatem usłyszeć, że „Zachód próbuje zniszczyć Rosję”. Dyktator wspominał też o terrorze reżimu kijowskiego. Najważniejsze, że Putin zapowiedział ograniczoną mobilizację oraz zagroził użyciem broni nuklearnej. „Nie blefuję” – zakończył. Wraz z informacją o referendum na podbitych przez Rosjan terenach Ukrainy oraz zapowiedzią włączenia tych ziem do Rosji można uznać, że wojna osiąga swój kolejny punkt szczytowy.

Komentarze do tego wystąpienia są, co zrozumiałe, różne. Wielu amerykańskich i brytyjskich analityków uznało, że tak groźby Putina, jak same referenda i mobilizacja to przejaw słabości, wręcz paniki na Kremlu. Według nich po udanej ofensywie ukraińskiej Rosja znalazła się na skraju totalnej klęski. Żołnierze nie chcą walczyć, szerzy się dezercja, fabryki nie są w stanie dostarczać broni, kryzys gospodarczy niszczy resztki zasobów. Mobilizacja tylko zwiększy ferment. Putin nie dysponuje realnymi siłami. Przypomina nieco innego dyktatora, który w marcu i kwietniu 1945 r., zamknięty w berlińskim bunkrze, miotał się i ciskał, snując wizje morderczych i ostatecznych uderzeń na wroga, którego oddziały krok po kroku zbliżały się do jego siedziby.

Być może najdalej w tego rodzaju refleksji posunął się amerykański gen. Ben Hodges, były dowódca sił USA w Europie, który kilka dni temu stwierdził, że „coraz wyraźniej widać, że Ukraina wygra tę wojnę, a Kreml

staje w obliczu historycznego kryzysu zaufania”. Zasugerował on bliski rozpad Rosji. To teza, którą na różny sposób powtarzają amerykańscy analitycy, dyplomaci i publicyści. Nie da się ukryć, że próbują też oni, na wszelkie sposoby, przekonać do jej słuszności polską opinię publiczną, co nie wydaje się, zważywszy na nastroje i emocje, specjalnie trudne. Nie ma zatem mowy o żadnych negocjacjach i kompromisie. Poszukiwanie porozumienia nie ma sensu. Zamiast tego należy dostarczyć Ukraińcom więcej broni.

Być może tak jest, a być może Amerykanie chcą sprawić wrażenie, że tak jest, podtrzymując w ten sposób determinację Europejczyków. Łatwiej ponosić wyrzeczenia i cierpieć niedostatek, wierząc, że już za chwilę wszystko się skończy i wszystko przypieczętuje upadek moskiewskiego reżimu. Ale czy to naprawdę realne?

W 1945 r. wojska alianckie, ściślej mówiąc – sowieckie, faktycznie opanowywały Berlin. Druga część Niemiec znalazła się pod okupacją sił zachodnich, na czele z Amerykanami. Tymczasem do tej pory walki toczą się wyłącznie na terenach Ukrainy. Do Moskwy pozostaje z frontu jeszcze tysiąc kilometrów. Ofensywa ukraińska była skuteczna, bo doprowadziła do wyparcia z części podbitych terenów wojsk rosyjskich, a nie dlatego, że złamała siłę armii agresora. Krótko: jeśli celem Waszyngtonu jest, jak to sugerował gen. Hodges, „rozpad Rosji”, to czeka nas jeszcze nieskończenie długi konflikt.

Można przecież wystąpienie rosyjskiego dyktatora rozumieć inaczej. Nie tyle była to zapowiedź rychłej kapitulacji, ile wyraz determinacji. Koszty będą dla

was coraz większe, a wojny nie zakończymy, nawet jeśli będziemy gryźć ziemię – chciał powiedzieć Putin. Jeśli będzie trzeba, to nie zawahamy się wejść w trzecią wojnę światową.

Nie wiem, która z tych dwóch interpretacji jest prawdziwa. Czy faktycznie mamy do czynienia z prężeniem muskułów, z papierowym tygrysem, który nie mogąc gryźć, groźnie ryczy? Czy też ze zranionym zwierzęciem, które tym bardziej będzie gryźć i nie zawaha się przed niczym? Wiem jednak, że rozsądek podpowiada, by myśleć o przyszłości Polski, brać pod uwagę nie tylko optymistyczne, lecz także, przeciwnie, czarne scenariusze. Mimo całej sympatii dla USA nie da się ukryć, że już kilka razy ich analizy w przeszłości się nie sprawdziły – przypomnę słynne wystąpienie Colina Powella, sekretarza stanu sprzed lat, kiedy to całemu światu opowiadał o magazynach irackiej broni masowego rażenia, której jednak nie znaleziono.

Pewne jest jedno: tak z punktu widzenia siły polskiej gospodarki, jak bezpieczeństwa państwa przedłużający się konflikt niesie dla Polski coraz większe ryzyko. Skutki gospodarcze i społeczne widać gołym okiem. Będą się one jedynie nasilać. Co do konsekwencji, którą może być bezpośrednie włączenie Polski do wojny, to po tym tygodniu jest to nie mniej, ale bardziej prawdopodobne. Ryzyko bezpośredniej konfrontacji z Moskwą jest dla Waszyngtonu nieporównywalnie mniejsze.

Być może doświadczamy, jak mówią nasi amerykańscy sojusznicy i jak chcą, żebyśmy wierzyli, agonii potwora. A być może, czego się obawiam, zbyt łatwo dzielą oni skórę na niedźwiedziu. ©



TEMAT TYGODNIA

16 ŁUKASZ WARZECHA
POLITYKA NA ZIMNO
Brak węgla i drogi gaz

KRAJ

20 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
ZAKŁADNICZY TEFAŁENÓW
Osierocone centrum

22 KAMILA BARANOWSKA
NIE TAKI ZWYKŁY KOWALSKI

24 PIOTR SEMKA
OD ENDEJCJI DO „TRZÓDKI” ŻAKOWSKIEGO

28 ŁUKASZ ZBORALSKI
UCZNIOWIE ZNÓW W DOMACH?

30 TOMASZ ROWIŃSKI
GATES JEDNAK NIEŚWIĘTY

KULTURA

32 PIOTR GOCIEK
PYTANIA PO GDYNI
Polskie kino pod lupą

34 REMIGIUSZ WŁAST-MATUSZAK
FILMOWCY W KLESZCZACH KACZYZMU

NIE PRZEGAP

36 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

DODATEK SPECJALNY

43 PRAWNA OBRONA WOLNOŚCI SUMIENIA
KOŚCIÓŁ WOBEC LGBT



HISTORIA

60 TOMASZ LENCZEWSKI
ZŁOTY INTERES „HRABIEGO”
Wojciech Ostoja-Ostaszewski

OPINIE

64 WOJCIECH GOŁONKA
WOJNA NA DWA FRONTY?
Ile łączy Rosję i Niemcy

66 DARIUSZ WIEROMIEJCZYK
KTO NAM WMAWIA RUSOFOBIE?

70 PAWEŁ CHMIELEWSKI
ODGÓRNA REWOLUCJA

ŚWIAT

72 MACIEJ PIECZYŃSKI
PUTINOWSKA RULETKA
Operacja eskalacja

74 JAN BOGATKO
GERMAN DREAM

78 PIOTR WŁOCZYK
OPERACJA „PÓŁNOCNA RELOKACJA”

EKONOMIA

82 ROZMOWA Z ANNĄ ZALEWSKĄ
SPEKULANCI UKŁADAJĄ NAM RYNEK ENERGETYCZNY
Wyciąganie ręki do KE nic nie daje

86 ROZMOWA Z LECEM PILAWSKIM
WSPÓLNY RYNEK TO GRA

SPORT

88 ŁUKASZ MAJCHRZYK
GIGANT SPOD KOSZA
Który klub przejmie Polaka?

FELIETONY: SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ, JUREK (10), KOWALCZUK (11), GMYZ, GOCIEK (14), ZYCHOWICZ, KOPER (63), PRZYBYLSKI (77), GABRYEL, WARZECHA (84), KOMUDA (94), POSPIESZALSKI, KARWELIS (95), JASTRZĘBOWSKI, WŁOCZYK (96), ROSZKOWSKI (97), CEJROWSKI (98)

Eksport szansą na zwiększenie swojego potencjału

Dla wielu przedsiębiorców eksport jest wejściem na nowe rynki zbytu i tym samym zwiększeniem potencjału sprzedażowego. Dla innych – dywersyfikacją portfela klientów i idącą za nią stabilizacją, by nie uzależniać się wyłącznie od jednej grupy docelowej. Dla jeszcze innych – jedyną szansą na rozwój, gdy napotykane są ograniczenia popytu na rynku macierzystym, związane z bardzo specjalistycznym produktem bądź usługą

Promocja gospodarcza regionu oraz działania związane z tworzeniem przyjaznych warunków do inwestowania i eksportowania, znana szerzej pod nazwą „Global Silesia”, to projekt skierowany do śląskich firm z sektora małych i średnich przedsiębiorstw oferujący wyjazdy na zagraniczne misje gospodarcze, szkolenia w ramach Akademii Internacjonalizacji i spotkania informacyjne, które umożliwiają wymianę doświadczeń oraz wsparcie merytoryczne z zakresu prawa i finansów obowiązujących na rynkach docelowych. Dotychczas w ramach realizowanych działań pomoc uzyskało blisko 300 przedsiębiorców z branż związanych z Inteligentnymi Specjalizacjami Województwa Śląskiego. Szczególnie wartościowe okazują się zagraniczne misje gospodarcze, które przynoszą wymierne efekty w rozwoju procesów internacjonalizacji przedsiębiorstw dzięki dywersyfikacji rynków zbytu produktów i usług oferowanych przez śląskie MŚP. W trakcie misji gospodarczych, a w szczególności spotkań B2B przedsiębiorcy mają realną szansę na nawiązanie nowych kontaktów biznesowych.

– Od 2019 r. zorganizowaliśmy misje wyjazdowe m.in. do Indii, Izraela, Chorwacji, Gruzji, Tunezji, Zjednoczonych Emiratów Arabskich, Francji, Włoch i Stanów Zjednoczonych, które nie tylko przyniosły wymierne korzyści dla śląskich MŚP, ale przede wszystkim umo-



liwiły promocję województwa śląskiego jako regionu atrakcyjnego pod względem inwestycyjnym – wspomina Wiceprezes Funduszu Górnośląskiego S.A. Jacek Mikieta. – Ponadto, dzięki stałej współpracy z polskimi placówkami dyplomatycznymi, Polską Agencją Inwestycji i Handlu oraz przedstawicielami władz samorządowych i instytucji otoczenia biznesu na rynkach zagranicznych planujemy kolejne kierunki misji. Dotychczas mieliśmy przyjemność gościć delegacje z Indii, Gruzji, Brazylii i Abu Zabi w ramach przygotowań do realizacji planowanych wyjazdów.

Obecnie w ramach projektu trwają przygotowania do zagranicznej misji gospodarczej do Egiptu, która odbędzie się w dniach 29 października–3 listopada br. Organizatorami przedsięwzięcia są Fundusz Górnośląski S.A. oraz województwo śląskie. 27 września br. w Katowicach będą gościć przedstawiciele Zagranicznego Biura Polskiej Agencji Inwestycji i Handlu w Kairze oraz przedstawiciele Ambasady Arabskiej Republiki Egiptu. W trakcie spotkania omówione zosta-



ną kwestie formalnoprawne dotyczące prowadzenia działalności na rynku egipskim, aspekty różnic kulturowych oraz najskuteczniejsze metody marketingowe uwzględniające specyfikę rynku.

Zagraniczne misje gospodarcze przynoszą wymierne efekty w rozwoju procesów internacjonalizacji przedsiębiorstw dzięki dywersyfikacji rynków zbytu produktów i usług oferowanych przez śląskie MŚP. Warto podkreślić, że realizowany projekt to nie tylko szansa dla przedsiębiorców, lecz także dla całego województwa śląskiego dzięki wzmacnianiu atrakcyjności regionu oraz przestrzeni sprzyjającej do pozyskiwania nowych inwestorów i promocji w wymiarze globalnym.





ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:

Cezary Gmyz, Piotr Gociel, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiakiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:

Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz,
Wojciech Cejrowski, Wiesław Chelminiak, Dominika Ćosić (Bruksela),
Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Wojciech Golonka,
Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis,
Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalcuk (Rzym),
Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk,
Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński,
Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz,
Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta,
Błażej Torajski, Szwach Weis, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski,
Małgorzata Wołczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski,
Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL redaguje: **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska**,
Kamila Gala, **Zofia Magdziak**, **Anna Szczepańska**, **Marcin Bugaj**,
Damian Cygan, **Jan Fiedorczuk**, **Grzegorz Grzymowicz**, **Dawid Sieńkowski**,
Łukasz Żygadło.

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedziółko** (kierownik studia),

Marta Michałowska, **Jakub Tański** (skład),

Jacek Nadratowski (obrobka zdjęć)

Fotoredykcja: **Edyta Bortnowska**, **Przemysław Tryczk**

Korekta: **Anna Zalewska**, **Magda Zubrzycka-Wemerowska**,

Agata Błaszczak-Stefaniak

RYŚOWNIK: **Andrzej Krauze**, **Cezary Krzysztopa**

Okładka: **Adam Chelstowski/Forum**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Katarzyna Gintrowska, **Agnieszka Jabłońska**,
Jolanta Kłoc

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, **Paweł Lisicki**

MARKETING: **Piotr Pech** tel.: +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek**, tel.: 508 040 664,
pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829, Nakład 54 000 egzemplarzy

Druk: **WALSTEAD CENTRAL EUROPE**

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna
ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA: **Prenumerata realizowana przez RUCH SA:**

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
Klienta, "RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji
tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
autorskiego wydawca wyrażnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa
listy i e-maile. Przypominamy, by
korespondencję elektroniczną
kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Skończony jak Tusk”, **Małgorzata Wołczyk**, „DRz” 38/2022

Droga Pani!

Zasami zastanawiałem się, czy nie
zwarował. Mam dość bogatą pry-
watną bibliotekę, pisarze różni, również
tacy, których dostałem w prezencie na
imieniny czy pod choinkę. Niby prezen-
tów się nie wyrzuca, jednak od pewnego
czasu książki tych, którzy mi „podpadli”,
po prostu palę. Żeby inni nie czytali...
Wiem, że to głupie, ale tak już mam.
Oczywiście u siebie w piecu c.o., a nie na
ulicy.

Wydawało mi się, że niestuchanie pio-
senkara, którego się lubiło, jest czymś
idiotycznym. Czy aktora. Czy innego „ar-
tysty” za to, że teraz jest po „złej stronie
mocy”. Ale kiedyś kolega mi się przyznał,
że robi to samo. Teraz, jak się okazuje,
Pani jest trzecia. Czyli nie jest ze mną tak
źle, fajnie uchodzić za „głupiego” w tak
miłym towarzystwie.

Pozdrawiam

Imię i nazwisko do wiadomości redakcji
**PS Intrzyguje mnie, którego z pisarzy wyrzuciła
Pani po Strajku Kobiet.**

Od autorki

Dziękuję, Panie Ryszardzie. To rzeczy-
wiście ulga, że jest nas co najmniej troje.
Gdy „duch” pisarza straszy ze swych

książek, nie musimy być dla niego prze-
sadnie gościnni. Zwłaszcza gdy druga
strona nie przestaje do nas krzyżeć
„wypi.....ać!”. Autor, którego proza
spoczęła w toalecie dla czworonogów, to
Jerzy Sosnowski.

Pozdrawiam serdecznie
Małgorzata Wołczyk

„Platforma jednoosobowa
i bezdyskusyjna”, „DRz” 38/2022

Szanowni Państwo,
w artykule Piotra Semki pt. „Plat-
forma jednoosobowa i bezdyskusyjna”
„DRz” nr 38/494 z dnia 19 września
2022 r. na stronie 25, wiersze 18–21
od dołu, znajdują się zdania: „Z kolei
wspomniany już polityk PO Jerzy Kro-
piwnicki deklaruje: Elektorat PiS kupuje
propagandę. Ale jesienią ludzie wywiozą
ich na taczkach. Wrzenie społeczne
jest bardzo blisko”. Oświadczam, że nie
jestem i nigdy nie byłem politykiem
PO ani członkiem tej partii. Nigdy też
nie wypowiedziałem cytowanej w tym
zdaniu opinii ani jej nie podzielałem.
Uprzejmie proszę o sprostowanie błędnej
wypowiedzi.

Z wyrazami należnego szacunku
Jerzy Kropiwnicki

Od autora

W tekście „Platforma jednoosobowa
i bezdyskusyjna” pomyliłem imiona
Piotra Trudnowskiego, prezesa Klubu Ja-
giellońskiego, i Roberta Kropiwnickiego,
postać PO. Przepraszam za obie pomyłki.

Piotr Semka



Podziwiałem byli Stuchali Polskę...

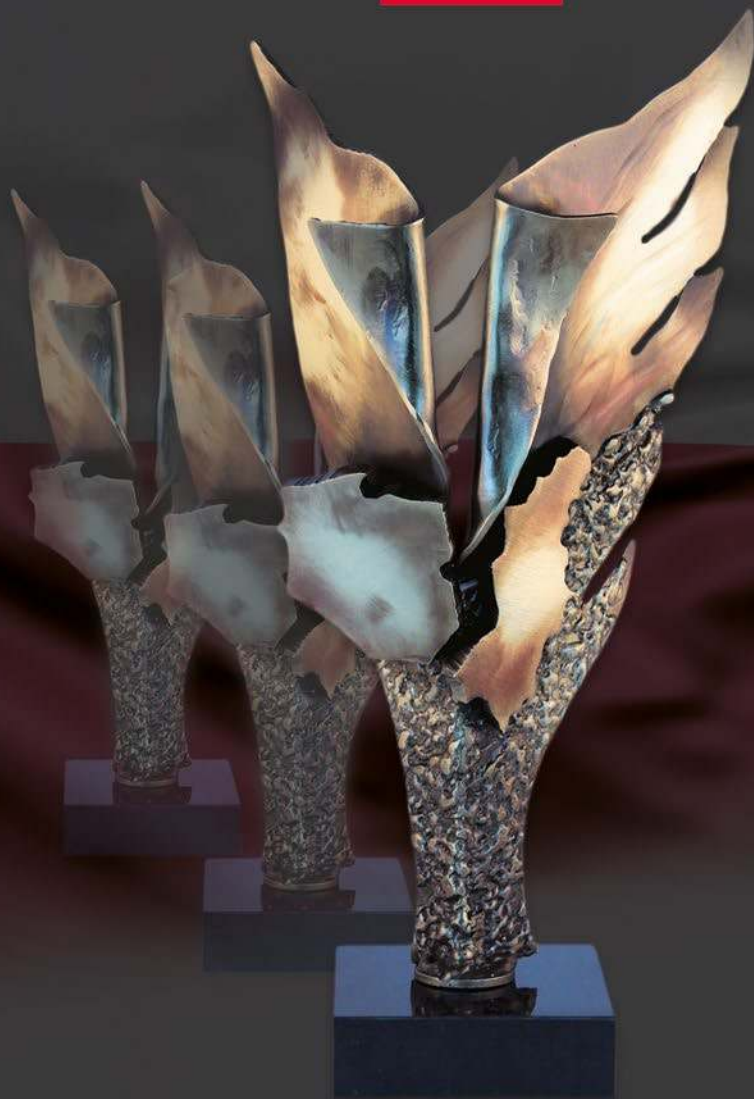
- co?

~ khy! khy! Chyba coś mi w
gardle stało...

C e z a r y z f y j z t o r a

STRAŻNIK PAMIĘCI

2022



TYGODNIK LUDZKICH
**DO
RZECZY**

HISTORIA
DO
RZECZY



PARTNER
STRATEGICZNY



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Polowanie na Gowina

Lance do boju, szable w dłoni, Jarosława Gowina goń, goń, goń! – nie, nikt w obozie opozycji tak nie śpiewa, ale taki jest dokładnie wydźwięk serii gniewnych wypowiedzi, które pokazały, jak bardzo krakowski polityk jest niecierpiany.

Wszystko zaczęło się od wizyty Gowina na spotkaniu pod patronatem Aleksandra Kwaśniewskiego i Bronisława Komorowskiego

czyńskiego”. Katarzyna Lubnauer nieco grzeczniej zaznaczyła, że nie widzi Gowina na wspólnej liście i we wspólnym rządzie opozycji. Bartłomiej Sienkiewicz lekceważąco ogłosił: „Niech idzie z PSL”.

Maciej Gdula zapowiedział, że lewica zrobi wszystko, by w rządzie nigdy nie zasiadał Jarosław Gowin, a Krzysztof Śmiszek oskarżył go o współudział w tworzeniu piekła kobiet. Oliwy do ognia dolał też publicysta Waldemar Kuczyński, który napisał na Twitterze: „Wzburzył mnie Bronisław Komorowski, mówiąc, że Gowin to człowiek demokratycznej opozycji. Nie! To twórca destrukcji państwa prawa, nie pionek, który odszedł z hołoty. To wyrzucony jeden z architektów zła”.

Najbardziej tragicomiczne było to, że do ataków na Gowina przyłączył się Paweł Poncyliusz. Gdy Marta Wcisło ogłosiła, że najbliższe wybory wygra ją, ale nie wyobraża sobie koalicji z ludźmi, „którzy przez siedem lat niszczyli Polskę”, Poncyliusz przywitał te słowa radosnym okrzykiem: „Marta

w punkt!”. Najwyraźniej nie chce pamiętać, że sam ok. 15 lat spędził w obozie Jarosława Kaczyńskiego.

Ale wróćmy do Gowina. Skąd bierze się tak duża skala niechęci wobec tego polityka? Na pewno wynika to z tego, że wielokrotnie odważnie bronił życia poczętego, co w obozie lewicowo-liberalnym staje się powoli nie do wybaczenia. Pamiętajmy też, że ataki na Gowina odbywają się w momencie, gdy na opozycyjnym firmamencie jasno świeci słońce Włodzimierza Czarzastego, bohatera afery Rywina.

Trudno też jednak specjalnie przesadzać we współzuciu dla Gowina. Tyle razy zmieniał już ugrupowania i linie frontów, że bardzo pomaga swoim adwersarzom w tworzeniu wokół niego atmosfery niechęci. Nie rozumiem, dlaczego ciągle trzyma się polityki. Ani on nigdy do niej nie pasował, ani ona nie uczyniła go swoim ulubieńcem. Zabrzmi to banalnie, ale naprawdę można byłoby wykorzystać jego potencjał na wiele innych sposobów. Czasami czyjś upór przestaje budzić sympatię. ©

Najbardziej tragicomiczne było to, że do ataków na Gowina przyłączył się Paweł Poncyliusz, który sam spędził 15 lat w obozie Jarosława Kaczyńskiego

na temat 25-lecia akcesu Polski do NATO, które faktycznie miało być demonstracją jedności opozycji od PO do lewicy. Najbardziej agresywna była Izabela Leszczyna z Platformy, która ogłosiła, że gdyby Gowin wszedł do rządu, to „czułaby się tak, jakby do rządu wzięła kawałek Jarosława Ka-

OSTATNIA DROGA KRÓLOWEJ

Tylko najbliższa rodzina była obecna w kaplicy pamięci Jerzego VI na zamku w Windsorze w Wielkiej Brytanii, gdzie w poniedziałek (19 września) złożono do grobu trumnę z ciałem królowej Elżbiety II. Zmarła w wieku 96 lat monarchini wcześniej pożegnana została podczas nabożeństwa w opactwie westminsterskim, w którym udział wzięli delegaci krajów całego świata. W ostatniej drodze – trasie spod Wellington Arch do Windsoru – towarzyszyło Elżbiecie II ok. 100 tys. Brytyjczyków, którzy w ten sposób po raz ostatni oddali jej hołd jako poddani. (luz) ©



FOT. REUTERS/SHUTTERSTOCK.COM/EAST NEWS

*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości,
ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości
ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski

DO
RZECZY

HISTORIA
DO
RZECZY

FUNDACJA
STRAŻNIK PAMIĘCI

STRAŻNIK PAMIĘCI

2022

JUBILEUSZOWA X EDYCJA
WYJĄTKOWYCH NAGRÓD
W KATEGORIACH:

MECENAS | INSTYTUCJA | TWÓRCA

W LISTOPADZIE 2022

WIĘCEJ INFORMACJI: [DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI](https://dorzeczy.pl/straznik-pamieci)

PARTNER STRATEGICZNY



PARTNERZY GŁÓWNI



PARTNERZY



eprasa.pl/3b83f4e06f



WSPÓŁORGANIZATOR



IM. WACŁAWA FELCZAKA


 RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Czas działać

Przyznaję, że zawsze podchodzę do polemik ze zdziwieniem i z niedowierzaniem – jak to, wyłożyłem wszystkie racje tak przekonująco, dobitnie i jasno, że lepiej nie można, a ktoś polemizuje? No, ale w wypadku ubiegłotygodniowej polemiki Łukasza Warzechy („Najpierw postawmy na Polaków”, „DRz” 38/2022) z moim tekstem o pilnej konieczności stworzenia narzędzi do zagospodarowania i asymilowania fali migracyjnej to chyba przyzna każdy, kto czytał, że miałem powody przecierać oczy. Ja piszę, co trzeba w Polsce zmienić, by na migracji zyskać, jak kiedyś USA, a nie stracić, jak dziś zachodnia Europa – a Łukasz mi na to, że przede wszystkim trzeba myśleć o Polakach. Jak w starym

powiedzeniu: ja o myciu rąk, a on, że trzeba myć nogi, jakby nie było oczywiste, że jedno i drugie.

Rzecz w tym, że mechanizmy, które proponuję (w skrócie: powrót do ustawy Wilczka plus silne państwo minimum), jednak służą realizacji celów wskazanych przeze mnie, jak i temu, o czym pisze Łukasz – zachęceniu Polaków do pozostawiania w kraju i wychowywania dzieci w ojczyźnie. Poczekajmy, powiada, najpierw niech się wzbogacą Polacy, to pomyślimy o imigrantach. Tyle że Łukasz nie zauważa, że gdyby nawet w obecnej sytuacji jakimś cudem wszyscy Polacy wrócili do kraju i z miejsca poczęli potomstwo, to zanim owo potomstwo wejdzie na rynek pracy, miną dwie dekady. Więc jak to sobie wyobraża? Że dzięki uwolnieniu

przedsiębiorczości Polak założy firmę albo nasadzi szparagów i dopiero, jak na tym zarobi, wpuści się tu pracowników do tej firmy i zbierania tych szparagów?

Uprzejmie dziękuję Łukaszowi za wyliczenie zagrożeń związanych z migracją; osobiście uznałem, że to zbyt łatwa robota, żeby jojczyć. Tak, migracja niesie zagrożenia. Nawet amerykański „melting pot” wbrew legendzie nie działał idealnie. Ale realny wybór ma Polska tylko taki: albo migracja i wzrost zamożności, albo ubożenie, wskutek którego to Polacy będą emigrować. A ponieważ zamknięcie się na migrację z różnych względów nie jest możliwe, zamiast jałowych debat, czy jest dobra czy zła, potrzebujemy pilnie konkretnych działań, by nad nią zapanować. ©©



MAREK JUREK

OD POČZĄTKU

Wojna w cieniu wojny

Generał Westmoreland, głównodowodzący armii amerykańskiej podczas wojny wietnamskiej, do końca życia był przekonany o słuszności tej wojny, nie tylko moralnej (czyli o konieczności obrony Republiki Wietnamu), lecz także geopolitycznej. Uważał, że bez zatrzymania komunistycznej ekspansji w Wietnamie efekt domina (czyli obalenie przez komunistów władzy w kolejnych państwach), który zadziałał w Indochinach, miałby o wiele szerszy zasięg. Siegnąłby Tajlandii i dalej. Tak rzeczywiście działała załamanie bezpieczeństwa międzynarodowego. W końcu widzieliśmy to w czasie drugiej wojny światowej.

Wydawało się, że wojna na Ukrainie nie przekształci się w szerszą konfrontację. Wymuszone zaangażowanie Białorusi traktowano u nas na ogół jako oczywistość, choć w ostatnich latach przed rewolucją demokratyczną w 2020 r. powoli rósł dystans między Mińskiem a Moskwą, a i po wybuchu wojny Łukaszewicz nie palił się do wypełniania wasalnych powinności.

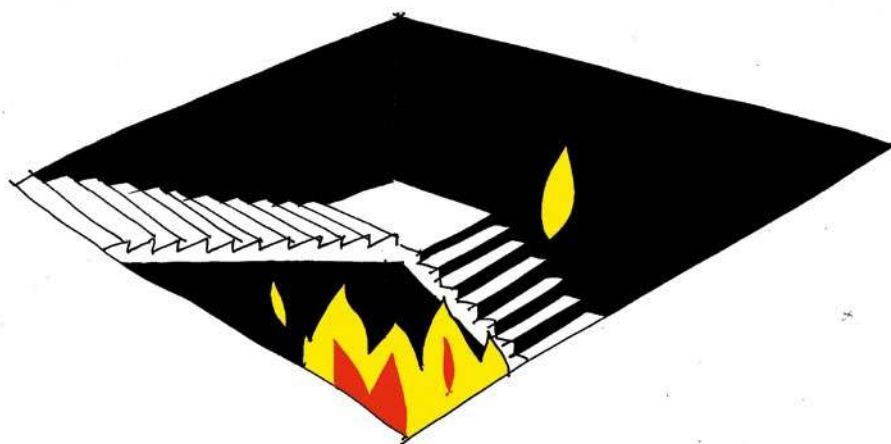
Tymczasem niedawne wznowienie agresji Azerbejdżanu przeciw Armenii przypominało, że w cieniu jednej agresji kolejne są łatwiejsze. Szczególnie jeśli agresor dysponuje atutami militarnymi i politycznymi. Azerbejdżan jest przecież oficjalnym energetycznym sojusznikiem

Unii Europejskiej, jak powiedziała przewodnicząca von der Leyen – „kluczowym partnerem w naszych wysiłkach na rzecz odejścia od rosyjskich paliw kopalnych”. W szerszym planie geopolitycznym Azerowie prowadzą per procura politykę bratniej Turcji. Turcja zaś jest również niezbędnym zwornikiem polityki Zachodu, więc może liczyć na zrozumienie swych interesów i perspektyw.

Wszystko to dzieje się względnie daleko od nas, co i lepiej. Daje nam trochę czasu, by zrozumieć, że w interesie państw, które łatwo mogą się dostać między żarna geopolityki wielkich mocarstw, leży pokój. Co nie oznacza bezczynności, bo pokój jest arcydziełem polityki. ©©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

"Droga synodalna" nie wieckiego
Kościoła ...



c e z a r y k r y s z t o p a



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O opowiadaniu dowcipów

W Genui w synagodze podczas obchodów Dnia Kultury Żydowskiej w imieniu burmistrza głos zabrała radna Lorenza Rosso, odpowiedzialna w ratuszu za sprawy społeczne. Wszystko szło zupełnie nieźle, ale niewiasta, zapewne za podszeptem diabła albo dybuka, postanowiła swoje wystąpienie na koniec okraszyć żartem: „Opowiedział mi ten dowcip mój zmarły żydowski przyjaciel. Wiecie, dlaczego Żydzi mają takie długie nosy? Bo powietrze jest za darmo. Powiedziałabym, że to jeszcze głębiej łączy nasze miasto z gminą żydowską” [Genuieńczycy mają we Włoszech opinię skąpców, jak u nas krakowscy centusie – przyp. P.K.].

Zaległa wymowna i ambarasu-jąca cisza. Przewodnicząca gminy

żydowskiej wystosowała prywatny list do burmistrza, w którym stwierdziła, że występ asesorki Rosso nie był zbyt udany i lepiej byłoby go uniknąć. Burmistrz natychmiast wystosował przeprosiny, a pani Rosso (centroprawica) publicznie się pokajała. Lewicowa opozycja zwietrzyła krew, zażądała dymisji i specjalnej sesji poświęconej incydentowi. Zwróciła uwagę, że gmina żydowska jest częścią społeczności Genui, więc nie trzeba jej niczym z miastem łączyć. Szczególnie dowcipem, odwołującym się do stereotypów propagandy antysemickiej i body shamingu (piętnowania ciała).

Z jednej strony można podejrzewać, że w Genui nikt nie wydałby „W oparach absurdu” Tuwima i Słonimskiego. Z drugiej w kraju, w którym wydano haniebne

ustawy rasowe, a faszysti pomagali Niemcom łapać i mordować Żydów, opowiadanie żartów o długich nosach wyrazem bystrości i wyczucia na pewno nie jest.

O radnych wiele nie wiem. Co innego z parlamentarzystami. Odnoszę nieodparte wrażenie, że zarówno we Włoszech, jak i w Polsce z chwilą wyboru padają ofiarą megalomańskiej iluzji. Wydaje im się, że wraz z mandatem otrzymali od Pana Boga poczucie humoru Moliera, Twaina i Przybory razem wziętych. Zapewne stąd biorą się te żenujące i żałosne żarty, złośliwości i przytyki w parlamencie, od których dusza boli, serce płacze, a policzki palą ze wstydu. Panowie i panie, litości! ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

KAMILA
BARANOWSKA

FOT. TRICOLORS/EAST NEWS

NA PRÓŻNO



TANIEC Z KIM?

Urzekła nas scenka z programu „Taniec z gwiazdami”. To program, który kiedyś robił furorę w TVN, potem przejął go Polsat. Z biegiem lat trochę się już widzom opatrzył, ale największy problem pojawił się z gwiazdami. Większość tych, które chciały wziąć w nim udział, już wzięła, więc z odcinka na odcinek format gwiazd malał. Coraz częściej dochodziło do kuriozalnych sytuacji, w których nie wiadomo było, kto w danej parze jest gwiazdą, a kto tancerzem, który uczy gwiazdę tańczyć. Ale do rzeczy. Jurorka show Iwona Pavlović zwróciła się ostatnio do jednego z uczestników per „Mikołaju”. Ten poprawił ją, że ma na imię Michał. Na co Iwona Pavlović wytłumaczyła, że jej pomyłka wynika z faktu, iż gwiazdor ma na nazwisko Mikołajczyk. Na co on odparł, że „nie Mikołajczyk, lecz Mikołajczak”. Ciężkie to życie gwiazdy, naprawdę.

AUSTRALIA,
GŁUPCZE!

Agata Rubik, żona muzyka Piotra Rubika, wyznała na Insta, że jak większość Polaków obawia się cen energii i mroźnej zimy. Poinformowała, że w celu oszczędności na razie nie włączają jeszcze w swoim domu ogrzewania. – Na razie nie ogrzewamy. Od kilku dni nosimy ciepłe skarpety i dresy. Poza tym dużo się tulimy i mówimy sobie ciepłe słowa. W domu mamy piec gazowy,

ale dogrzewać możemy też prądem – poinformowała. A zapytana wprost, czy boi się zimy i jak planuje się na nią jeszcze przygotować, odparła: – Tak [boję się – przyp. K.B.], kupiłam bilety do Australii – napisała.

Bilety do Australii jako recepta na drogi gaz i ceny energii! Genialne w swej prostocie!

DARMOWY
FEEDBACK

Małgorzata Rozenek-Majdan, celebrytka, a od niedawna dumna prowadząca „Dzień dobry TVN”, udzieliła wywiadu magazynowi „Forbes”. Opowiadała tam m.in. o hejcie i krytyce, którym jest poddawana, i tłumaczyła, że stara się podchodzić do tego konstruktywnie. „Najważniejsze to nie dać się złamać, nie dopuścić myśli, że hejter ma rację. Pamiętaj też, że krytyka buduje. To darmowe badania fokusowe, dzięki którym codziennie dostajesz informacje, jak rynek zareagował na pewne działania. Ja w ten sposób traktuję krytykę. Otrzymuję od osób mi niezyczliwych darmowy feedback na mój temat, jak pewne rzeczy są postrzegane” – tłumaczyła Rozenek-Majdan. Tylko wniosków żadnych z tego nie wyciąga. Na szczęście! Bo kogo byśmy wtedy hejtowali?

JAK CYTRYNĘ

Jeszcze jeden smaczek z wywiadu z Perfekcyjną Małgorzatą. Otóż

celebrytka wyznała w nim także, że „przywiązuje dużą wagę do higieny życia”, a kluczem do sukcesu jest – co odkryła w sumie dość późno – odpowiednia organizacja czasu. Prowadząca „Dzień dobry TVN” nie ukrywa, że w zarządzaniu jej rozlicznymi aktywnościami show-biznesowymi pomaga jej zespół ludzi, bo delegowanie obowiązków to coś, co bardzo ułatwia życie. „Przysnam, że długo uczyłam się tego, że jednak najmądrzejsze, co można zrobić, to zbudować wokół siebie zespół ludzi, którzy pomogą w realizowaniu moich celów. Staram się wycisnąć każdą sekundę życia jak cytrynę” – opowiada Małgorzata. Tak, tak, widać to na Instagramie. Bo tam prowadzi większość tego życia, które wyciska jak cytrynę, prawda?

PRZYJAŃŃ CZY
NIENAWIŚĆ

Kłótnia celebrytek to coś, co każdy fan show-biznesu lubi najbardziej. Tym razem zaczęło się od tego, że niejaka Paulina Koziejowska, tiktokerka, znana głównie z tego, że jest dziewczyną Macieja Orłosa, skrytykowała jakąś tam kreację innej celebrytki – dużo bardziej od siebie znanej Julii Wieniawy. – Kreacją na gali Elle Julia Wieniawa pokazała, że ona naprawdę jest zmęczona tym celebryctwem. Suknia zdecydowanie więcej odkrywała, niż zakrywała, i nie byłoby w tym nic złego, bo dziewczyna ma naprawdę piękne ciało, ale zaraz, zaraz! Przecież ta suknia przyćmiła Julii sukcesy, a ona tak bardzo tego nie chciała – kpiła Paulina, nawiązując do wywiadów Wieniawy, w których ta uskarżała się na to, że jest zmęczona celebryctwem i tym, że wszystkich interesuje tylko to, jak wygląda. Teraz Wieniawa postanowiła odpowiedzieć. „Pogadam sobie chętnie z tą Pauliną, kiedy po raz kolejny na ewencie przyjdzie całować mi tyłek, jak za każdym razem od tylu lat, a potem hejtować mnie w Internecie” – wypaliła w rozmowie z serwisem Pudelek. Prawda, że brzmi to jak początek pięknej przyjaźni? Albo jeszcze piękniejszej, wielowątkowej awantury i dozgonnej nienawiści. Zdecydowanie wolimy to drugie! ©©



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, Główny Urząd Statystyczny opublikował wyniki spisu powszechnego. My jednak dobrze pamiętamy powiedzenie, iż istnieją trzy kłamstwa: kłamstwo, duże kłamstwo i statystyka – czy jakoś tak. Dlatego podchodzimy do wyników spisu z niewiarą, nieufnością i także trochę z niezrozumieniem.

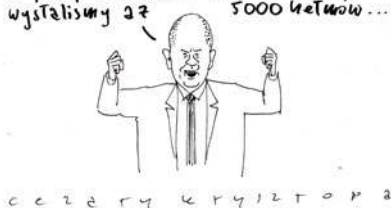
Otóż ze spisu wynika, że Polaków jest mniej, ale za to przybywa ich w wielkich ośrodkach kosztem wsi oraz mniejszych ośrodków. Nawet jeśli jest to prawda, to wciąż nie da się wyjechać na wakacje, wyjść na ulicę, skorzystać z centrum handlowego czy transportu publicznego, iżby wszędzie nie potykać się o Polaków. Być może więc jest ich mniej, ale są tak poróżniani, iż ciągle na któregoś z nich się trafia, parafrazując Pratchetta.

Przeczytaliśmy też, iż co piąty Polak ma więcej niż 60 lat. U nas w teamie w korpo nikt nie ma więcej niż 60 lat. W środowiskach, w których się obracamy, nikt nie ma 60 lat. W takim wieku są co najwyżej nasze osoby płodzące oraz osoby płodzące naszych osób płodzących. A one mieszkają w mniejszych ośrodkach. Wniosek powinien więc być taki: w korporacjach i wielkich ośrodkach nie ma osób w wieku emerytalnym. A o tym GUS jakoś nie pisze.

No i ciągle wstyd, iż żadne z miast tego kraju nie ma jeszcze kilku milionów mieszkańców. Nawet, niestety, Warszawa, a Kraków nie dociągnął nawet do miliona. Of kors nie znaczy to, iż liczymy na to, że przybędzie Polaków, którzy zwiększą

liczebność naszych pozał się Bo... tzn. pozał się świecka unio metropolii. Jest to natomiast bez wątpienia szansa na to, iżby szerzej otworzyć się na różnorodność, jeśli wiecie, co mamy na myśli, bo bez tego do tych nawet 3 mln to żadne miasto nie dobieje.

Jesli wygra Rosja, to dzieki temu, ze wystalismy w Ukrainie tylko 5000 helmu. A jesli Ukraina, to dzieki temu, ze wystalismy 22 5000 helmu...



Otym, że ten kraj nie dorósł do demokracji, to wiemy już od dawna, ale skala politycznej nieświadomości, która ma w nim miejsce, dosłownie nas czasem przeraża.

Otóż wyobraźcie sobie, iż widzieliśmy sondaż, według którego większość respondentów nie tęskni za rządami koalicji PO-PSL, kiedy premierem był Donald Tusk. Normalnie ręce, nastroje, poczucie przynależności do Europy – wszystko, naprawdę wszystko nam opadło.

Co jednak w tym wszystkim najgorsze – nie tęsknią za tym nawet niektórzy wyborcy Platformy. No to jak w tym kraju ma być dobrze, w sytuacji, kiedy nie potrafimy docenić czasów największego dobrobytu w wolnej Polsce?

Nowy z Tarnowa tylko się śmiał, kiedy o tym rozmawialiśmy, ale coś nam się wydaje, że prędzej niż później to on jeszcze zatęskni za ciepłą wodą w kranie :/

Jaka straszna siara przed Europą oraz całym cywilizowanym światem. Chodzi nam mianowicie o pogrzeb królowej Elżbiety. Of kors z racji poglądów lewicowych nie można nas nazwać rojalistami, ale nasze FOMO jednak nie pozwoliło nam zignorować całodziennej transmisji tego wydarzenia.

No i zauważyliśmy, iż Duda siedział w ławce przed prezydentem USA Joe Bidenem. No straszna siara, mówiliśmy, po co on się tam w ogóle wpychał? Żeby pokazać, iż jest lepszy, pierwszy, taki nawyk z polskiego kościoła, że się trzeba pokazać w pierwszej ławce?

A świat teraz komentuje i nie rozumie, dlaczego polski prezydent siedział przed amerykańskim, koledzy z Erasmusa nas się o to pytają, gruziński kierowca ubiera się nas o to pytał, nawet bot sprzedający fotowoltaikę przerwał skrypt i zapytał o to samo.

No i okazało się, iż im dłużej osoba jest prezydentem, tym bliższą przodowi ławkę może zająć. Duda prezydentem jest już, sami nie pamiętamy, za długo of kors, no i stąd ten okropny despekt. A mógł po prostu ustąpić miejsca, no ale oczywiście nie! I cały świat się z nas teraz śmieje. ☹☹



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
[FB.COM/MWIZWO](https://fb.com/mwizwo)

PODSŁUCHANE

Jak tam idzie z pomnikiem?

Ej, Jacek, co ty tu robisz? Wstawaj z mojego fotela!

A, przepraszam, Piotrze, tak tylko chciałem się przymierzyć.

Żebym ja ci się nie przymierzył! Ja się nigdzie nie wybieram.

A, to jeszcze zobaczymy. Jak tam idzie z pomnikiem Bitwy Warszawskiej?

Z czym niby?!

No, z tym pomnikiem, który miałeś zbudować na rocznicę i nie zbudowałeś.

Będzie!

Tak, jasne, będzie, oczywiście. Pytanie, czy to ty go będziesz odświeżał. Gdybym to ja był ministrem...

Wyjdź!

... to już by dawno stał. No, ale nie każdy ma takie zdolności organizacyjne.

Wynocha!

Już idę, idę. Właśnie mam spotkanie z Jarkiem w sprawie przyszłych zadań dla mnie, chyba mu wspomnę o tym pomniku przy okazji. Nie rzucałbym tym wazonem na twoim miejscu, to depozyt z Muzeum Narodowego. ©© **Łukasz Warzecha**

OD RZECZY

„Słuchanie Putina i Szojgu niczym nie różni się od słuchania Kaczyńskiego i Morawieckiego”.

TOMASZ LIS, publicysta, na Twitterze

Zaczynamy od Eine Totalopposition. Przemówienie Donalda Tuska w Poczdamie miało być nowym początkiem. Miało. Tusk, który początkowo miał się pojawić w formie wideo, zdecydował się na osobisty udział. Zaprzyjaźniona telewizja dawała przemówienie na żywo. Piękne było. Tusk rugał Niemców jak, nie przymierzając, jakiś Kaczafi. Ale pech, bo mówił po polsku. Czemu pech? Po przemówieniu okazało się, że ktoś nie wetknął jednego kabelka tam, gdzie trzeba, i zamiast polskiej ścieżki z Tuskiem nagrała się tylko niemiecka z tłumaczem. Cała krew w piach. Für Deutschland.

Co ciekawe, zaginęło też przemówienie Olafa Scholza. To, o którym niektórzy mówili, że to straszenie rewizją granic. Błagania o tekst organizatorów – biura prasowego, SPD i rządu – nie przyniosły rezultatu. Dziwne, bo wszystkie mowy i czyny Scholza są skrupulatnie spisywane i publikowane. Nasze wiewiórki tam jednak były i dzięki temu jeszcze raz odsłuchaliśmy przemówienie. Okazało się, że najciekawsza część przemówienia nie dotyczyła Polski. Scholz w pewnym momencie przestał czytać przygotowany tekst i polecał z własnym. A była to niezmiernie ciekawa opowieść o jego rozmowie, którą dzień wcześniej odbył z Putinem. Na Kremlu ujawnianie szczegółów takich rozmów niekoniecznie musi się spodobać.

Skoro już o nieciekawych figurach zagranicznych. Na łamach „Rzepy” wiceszefowa Komisji Europejskiej Věra Jourová martwi się o niezależność polskich mediów. Co przypominało nam ciekawą historię, w Polsce nieznaną. Otóż pani Jourová swego czasu zakupiła dwa największe czeskie dzienniki („Dnes” i „Lidové Noviny”) dla oligarchy Andreja Babiša. Utorowały one drogę do jego kariery politycznej. W prasie czeskiej pojawiały się wówczas informacje, że pieniądze na zakup pani wiceprezes partii ANO nosiła w dwóch plastikowych torbach. Jedna torba na zakup, druga – na prywatne wydatki dotychczasowego właściciela. Słowem, Jourová to ekspert, co się zowie, od wolności mediów. Znaczący, wróć – nie ekspert. Praktyk.

Tymczasem w Polsce. Odbiło się, jak wiecie, spotkanie wszystkich wrogów Kaczyńskiego. Zabrakło chyba tylko Stonogi i Wielkiego Kuca

Kijowskiego, który to zakładał KOD. Spotkanie zorganizowali byli prezydenci, dwaj panowie K. – Kwaśniewski i Komorowski. Efektem spotkania było wołanie do Boga w wykonaniu Czarzastego oraz piękne foto pokazujące pierwszy rząd organizatorów i gości drzemających sobie w najlepsze. Niestety, w tym śnie był też koszmarny – Jarosław Gowin.

Po kongresie Braci Śpiących nie trzeba było wiele czekać, by niejakiego Krzysztofa Śmiszaka oświadczył, że Lewica zrobi wszystko, aby po wygranych przez opozycję wyborach w rządzie Gowin nigdy nie zasiadł. Krzysiek jest spóźniony. W kwestii, żeby Gowin nie zasiadł w rządzie opozycji, to akurat najwięcej zrobił Jarosław Kaczyński. Jak? No, powołując go do własnego rządu.

Taka sytuacja. Wyobraźcie sobie duże miasto. Rządzone przez PeŁo. Rząd powołuje w mieście nowe muzeum. Daje kasę i oczekuje od miasta jedynie przekazania działki na budowę. Miasto odmawia, bo to muzeum powołane przez

PiS. Pasuje do każdego miasta w Polsce, nieprawdaż? To znaczy – każdego rządzonego przez PeŁo. No i w miejscach słowa „muzeum” można wstawić cokolwiek. Niestety, w pięknym mieście Łodzi ten jakże powszechny proceder daleko przekroczył granice żenady.

Już wyjaśniamy. Wicepremier Gliński powołał w Łodzi Muzeum Dzieci Polskich – ofiar totalitaryzmu. Minister, dyrekcja, nie mówiąc o nielicznych ocalałych więźniach niemieckich obozów w Łodzi, chcą, by placówka powstała przy ul. Przemysłowej. Na terenie dawnego obozu pracy. Miejsce jest niezabudowane, pieniądze rządu są, sprawa szlachetna. Działki jednak Hanna Zdanowska dać nie chce. Bo to „muzeum PiS”? Jest gorzej. Wiewiórki opowiadają, że pełowcy z Łodzi domagają się, by umowie towarzyszył sekretny deal: będzie działka, ale rząd im za to musi zbudować nową szkołę. Czy to aby nie podlega już pod finansowe żerowanie na ofiarach wojny?

Nowa rotacja (rotuj się, kto może!) na placówce dyplomatycznej ma dotyczyć podobno ludzi ze spółek Skarbu, którzy chcieliby się sprawdzić w dyplomacji. Szczególnym zainteresowaniem cieszą się placówki, co do których istnieje domniemanie, że w przypadku zmiany władzy oko Saury padnie na nie ostatnie. Najbardziej pożądanym statusem będzie wówczas funkcja członka służby zagranicznej. Chodzi o to, że takiego członka da się, co prawda, usunąć z placówki, ale wyrzucić z roboty – bardzo ciężko.

Obiecaliśmy info w sprawie zakazania przez PiS nie tylko seksu dla przyjemności, lecz także picia alkoholu dla przyjemności. Oto dowód: widzieliście fotkę Pawła Kowala w pociągu z Kijowa? Parę fłaszeczek tam stało, i to pustawych. Politycy opozycji dobrze wiedzą, że dla przyjemności tankowanie to już tylko za granicą. Nas bardziej zainteresowała czytana przez Kowala książka Kacpra Pobłockiego „Chamstwo”, która „obrazowo ukazuje krwawą przemoc panów i odważnie kreśli historię polskiego patriarchy”. Tak się więc zastanawiamy: to będzie w programie PeŁo czy Kowal zamierza tylko przeproszać Ukrainę za Wiśniowieckiego? ©



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Najstarsze listy Świętego Pawła



w|drodze

Dla czytelników „Do Rzeczy” specjalny 25-proc. rabat.
Przy zakupie na wdrodze.pl, wpisz kod rabatowy: **dorzeczy***

   wdrodze.pl | sprzedaz@wdrodze.pl | tel. +48 61 101 47 27

* oferta ważna do 3 października 2022 r.

Polityka na zimno



Łukasz Warzecha

Niedogrzone mieszkania, upadające firmy, brak nawet gazu LPG. Tak może wyglądać ta zima. I choć kryzys energetyczny jest od nas niezależny, to Polska na własne życzenie pogłębiła wiele obecnych problemów

Kultowa scena z „Misia” Stanisława Barei – „Wyngiel przywieźli! Wyngiel je we wiosce!” – bywała w ostatnim czasie często przypominana w mediach społecznościowych, ale coraz bardziej na zasadzie nostalgii za czasami, gdy „wyngiel” we wiosce był faktycznie, choćby od święta. Bo teraz go nie ma i w wielu miejscach zimą najpewniej nie będzie. Podobnie jak może nie być gazu, a nawet gazu skroplonego LPG.

Perspektywa zimy jawi się dramatycznie. Tym dramatyczniej, im zimniej robi się na dworze. Kontrast z wiosennymi

zapewnieniami rządu, że sobie poradzimy, jest coraz bardziej drastyczny. Rząd próbuje się wyposażać w instrumenty, które pozwoliłyby mu w zasadzie ręcznie zarządzać gospodarką w sytuacjach kryzysowych. Jakie są perspektywy?

PROPAGANDA SIĘ NIE PALI

Profesor Antoni Dudek ukuł termin „egzamin węglowy premiera”. Znany politolog utrzymuje, że jeśli sytuacji z węglem nie uda się opanować, to Mateusz Morawiecki może nawet polec przed wyborami. To o tyle uprawniona teza, że w wypadku węgla winnego faktycznie bardzo



FOT. ANDRZEJ STOK

nić ten ubytek na czas. Unia Europejska wprowadziła embargo na rosyjski węgiel dopiero od połowy sierpnia. Nasz zakaz importu tego surowca był tak szczelny, że polskim importerom nie pozwolono nawet przywieźć do kraju surowca już opłaconego, który zapewne do dziś tkwi gdzieś na hałdach za wschodnią granicą. O ile nie został już sprzedany po raz drugi.

Gdy premier zaczął się orientować, że z węglem dla gospodarstw domowych czy lokalnych ciepłowni (one także korzystały z surowca rosyjskiego) jest źle, wydał polecenie dwóm państwowym spółkom – Węgłokoksowi i PGE Paliwa – aby do końca wakacji sprowadziły do Polski 4,5 mln ton węgla. To okazało się niewykonalne. Węgiel stał się towarem deficytowym i trzeba go w niewielkich ilościach kupować w różnych miejscach świata. Potem trzeba go jeszcze sprowadzić do kraju, rozładować na przystosowanym do tego nabrzeżu, które ma przecież ograniczone możliwości, a następnie rozwieźć koleją, której brakuje węglarek. W związku z tym Mateusz Morawiecki po cichu przesunął datę wykonania swojego polecenia na... koniec sezonu grzewczego, zwiększając zarazem cel do 5 mln ton.

Jednocześnie zaczęto akcję, która ostatecznie okazała się mieć wymiar głównie propagandowy. Najpierw był węgiel z rekompensatami po jedynym 996,60 zł za tonę. Po tyle mieli go sprzedawać właściciele składów węgla w zamian za wypłacane wiele miesięcy później i bynajmniej niepewne rządowe wyrównania. Zainteresowanych prawie nie było. Ewentualnie wyrównanie mogli inkasować sami klienci. Akcja okazała się fiaskiem, zanim się jeszcze właściwie zaczęła, więc potem pojawiła się koncepcja dodatku węglowego w wysokości 3 tys. złotych. Na to rząd przeznaczył 11,5 mld zł.

Jeszcze kilka tygodni temu szef rządu mówił w programie „Gość Wiadomości”, że dodatek jest przeznaczony dla każdej rodziny, nawet jeśli kilka rodzin korzysta z jednego pieca. Wkrótce okazało się, że wniosków składanych w samorządach jest tak wiele, że suma, na którą opiewają, to już blisko 16 mld zł. Zgodnie z ustawą w takiej sytuacji dodatek ma ulec proporcjonalnemu zmniejszeniu. Zmieniła się także rządowa narracja. Teraz jest już mowa o tym, że jeśli w budynku piec jest jeden, to składanie wniosku na każde gospodarstwo domowe z osobna jest „wyłudzeniem” – mimo że

było to wyraźnie dozwolone w ustawie. Przekazywanie funduszy na dodatek do samorządów rząd rozpoczął w ubiegłym tygodniu.

JAKI WĘGIEL PRZYPŁYWA DO POLSKI?

Cóż jednak po dodatku, skoro węgla nie ma. Polska Grupa Górnicza podniosła zresztą dwukrotnie cenę opału w swoim sklepie internetowym i dzisiaj tona – niedostępnego – ekogroszku kosztuje już 1,77 tys. zł. Zatem dodatek wystarczy na niecałe dwie tony, i to w państwowej firmie, podczas gdy przeciętne gospodarstwo domowe potrzebuje minimum trzech ton. Na prywatnych składach ceny są niemal dwa razy wyższe.

No, ale przecież węgiel płynie do nas z daleka – z Indonezji czy Kolumbii – o czym rządowe media informują, jak, nie przymierzając, „Trybuna Ludu” w 1978 r. o transporcie bananów i pomarańczy z Kuby na święta. Okazuje się, niestety, że to, co dociera do polskich portów, bardzo często nie nadaje się do spalania w piecach.

Tu konieczne jest wyjaśnienie na temat rodzajów węgla. Dzieli się go według kryteriów energetyczności oraz rozmiaru. W tym pierwszym podziale w polskich warunkach ważne są dwie podstawowe kategorie: węgiel energetyczny, używany w ciepłownictwie czy gospodarstwach domowych (typy 31–33), oraz węgiel koksujący, używany w przemyśle, głównie metalurgicznym (typy 34–37).

W drugim podziale wyróżnia się tzw. sortymenty. Tu są cztery główne rodzaje: grube (kęsy, kostka, orzech), średnie (groszek, grysik), miazłowe (miazł) oraz inne (muł, pył). Dwa ostatnie rodzaje nie nadają się do instalacji grzewczych. W elektrowniach i elektrociepłowniach mogą powodować awarie systemów i najprawdopodobniej to właśnie dzieje się w elektrowni Jaworzno. W domowych piecach palić miazłem można – ale jedynie w tych do tego przystosowanych. Tymczasem zdecydowana większość pieców w polskich domach przystosowana jest do średniego sortymentu. Miazł je po prostu zapycha.

To, co przypływa do polskich portów, mieści się w ogromnej części w trzeciej kategorii. To w przeważającej części miazł. Jest to zatem opał znacznie gorszej jakości, którego cena jest zarazem horrendalna i sięga już przynajmniej 3 tys. zł za

łatwo zidentyfikować i jest nim właśnie szef rządu. To on naciskał – wbrew ostrzeżeniom o niskim stanie węglowych rezerw, płynącym z Ministerstwa Klimatu i Środowiska – żeby Polska wprowadziła własne embargo na węgiel z Rosji wcześniej niż pozostałe kraje UE. Import węgla ze Wschodu wynosił przed wojną ok. 20 proc. (10–12 mln ton) polskiego zużycia, z czego ok. 60 proc. zużywały gospodarstwa domowe. Kiedy w marcu rząd podejmował decyzję o zaprzestaniu sprowadzania rosyjskiego węgla od połowy kwietnia, premier musiał wiedzieć, że nie ma źródeł pozwalających uzupeł-

tonę. To dlatego, że towar kupowany na pniu za oceanem jest bardzo drogi, a do tego dochodzą gigantyczne ceny frachtu.

Nie ma wątpliwości, że tam, gdzie będzie brakowało węgla, choćby słabej jakości, ludzie sięgną po to, co będzie pod ręką. Wrócą do spalania w domowych piecach starych mebli, śmieci, może nawet opon, o których niepalenie apelował Jarosław Kaczyński. Kiedy człowiekowi jest zimno, względy ekologiczne nie będą miały znaczenia. Pozostaje tylko kwestia, jak do tych sytuacji podejdą instytucje, których zadaniem jest wymierzanie kar za spalanie nielegalnego paliwa.

W Kopytkowie na Pomorzu 15 października zamyka się kotłownia, dostarczająca ciepło do szkoły i pięciu bloków mieszkalnych. Firmę zabity braki węgla i jego ceny. W zamian mają powstać stacje gazowe, jednak nie wiadomo, czy inwestor wyrobi się z budową na czas. Poza tym mieszkańcy mogą wpaść z deszczu pod rynnę. Być może ograniczą się do ogrzewania, ale może ich na to nie stać.

Do niedawna wydawało się, że bezpieczna jest przynajmniej polska energetyka, korzystająca głównie z węgla wydobywanego w naszych kopalniach. Tak już jednak, zdaje się, nie jest. Niemal niezauważona szerzej przeszła decyzja sprzed trochę ponad tydzień o odwołaniu Artura Wasila, prezesa najefektywniejszej polskiej kopalni Bogdanka. Według nieoficjalnych informacji ma to być związane ze znaczącym zmniejszeniem prognozy wydobywania. Tymczasem to właśnie na węglu z Bogdanki polega przede wszystkim państwowa spółka energetyczna Enea. Według komunikatu spółki będzie ona potrzebowała niemal miliona ton węgla od innych dostawców. W wszelkie informacje o problemach z dostawami węgla firma reaguje niezwykle nerwowo. Jej rzecznik Piotr Ludwiczak napisał na Twitterze: „Grupa Enea w pełni zabezpiecza dostawy węgla. Kontraktujemy z alternatywnych źródeł. Węgla nie braknie, a klienci Enea nie mają podstaw do obaw o dostawy energii. Przestrzegam przed dezinformacją w tej sprawie”. Nie bardzo jednak wiadomo, co tą dezinformacją ma być, ponieważ nagły deficyt węgla dla Enei jest po prostu faktem.

Gdy zaś o Enei mowa – w połowie ubiegłego tygodnia media społecznościowe obiegła informacja, że właśnie ta firma odcięła prąd w schronisku dla



Premier Mateusz Morawiecki polecił sprowadzenie do kraju 4,5 mln ton węgla. Ale nie ma go gdzie kupić. FOT. JACEK SZYDŁOWSKI/FORUM

bezdolnych w Szczecinie z powodu nieopłaconej faktury na 28 tys. zł. Można mieć obawy, że nie będzie to odosobniony przypadek.

PRAWDA O BALTIC PIPE

Więcej optymizmu mieliśmy w sprawie gazu. Kiedy Polska zdecydowała się odrzucić rosyjskie warunki, dotyczące płatności w rublach za kończący się w tym roku kontrakt z Gazpromem na ok. 10 mld m sześć. rocznie, i gdy z tego powodu Rosjanie wstrzymali pod koniec kwietnia dostawy paliwa do naszego kraju, wielu polityków było w nastroju wręcz triumfalnym. Narracja głosiła, że nareszcie zrywamy z uzależnieniem od Rosji, które było zresztą coraz mniejsze, a nic złego nam nie grozi, bo przecież późną jesienią zostanie otwarty gazociąg Baltic Pipe. Jego roczna przepustowość to akurat tyle, ile kupowaliśmy od Rosjan. Gazociąg miał ją osiągnąć na początku przyszłego roku i od tego momentu problem z gazem miał właściwie zniknąć. Inna sprawa, że szacunkowe zużycie gazu przez Polskę miało w najbliższych latach znacząco wzrosnąć i wówczas Baltic Pipe już by nam nie wystarczył.

Z czasem jednak narracja o sukcesie Baltic Pipe zaczęła się sypać – i to w dwóch etapach. Najpierw zaczęto nieśmiało przypominać, że sama przepustowość rury to za mało. Musi przecież coś nią płynąć. Okazało się, że kontraktów na wypełnienie Baltic Pipe nie dopięto zawczasu. Na taką utraconą możliwość wskazywał bardzo często Piotr Woźniak, były szef PGNiG, powiązany z Piotrem Naimskim, bardzo często występującym

w mediach krytycznych wobec rządu. Ostatecznie okazało się, że nasze kontrakty oraz własne wydobywanie z dzierżawionych przez PGNiG na szelfie norweskim dają w sumie ok. 4,5 mld m sześć. złóż – o wiele za mało, żeby pokryć deficyt wynikający z ustania dostaw z Rosji. Uzupełniać miało go błękitne paliwo kupowane przez rewers na gazoociągu jamalskim od Niemiec. Żeby było śmieszniej, miało to być w dużej mierze gaz rosyjski, docierający do Niemiec przez Nord Stream 1. Polska z hukiem wyrzekała się zatem tańszego gazu kupowanego bezpośrednio z Rosji, żeby następnie kupować ten sam gaz drożej za niemieckim pośrednictwem.

Dzisiaj jednak jest jasne, że Rosja odcięła od dostaw Niemcy zapewne permanentnie, a więc rewers jamalski nic nam już nie da. Możemy jeszcze spróbować odkupywać rosyjski gaz od Węgier za pośrednictwem niedawno otwartego interkonektora ze Słowacją. Nie ładźmy się jednak, że będzie to gaz tani.

Wracając do Baltic Pipe: kiedy stało się jasne, że nie zadaliśmy zawczasu o kontrakty, pojawiła się druga trudność. Wbrew temu, jak sprawę zna polska opinia publiczna, Baltic Pipe nie prowadzi bezpośrednio do norweskich złóż. Jeśli spojrzeć się na mapę gazociągów, widać, że Baltic Pipe z Polski przechodzi po dnie Morza Bałtyckiego, następnie wychodzi na powierzchnię w Danii (gdzie zlokalizowana jest też tłocznia gazu), a dalej, na zachód od duńskiego wybrzeża, jest podpięty do gazociągu Europipe II. To ten rurociąg podaje gaz do Baltic Pipe, dostarczając go ze złóż norweskich. Oznacza

to, że zaopiekanie Baltic Pipe jest uzależnione nie tylko od opisanych przez nas kontraktów na wydobycie gazu, lecz także od możliwości przesyłowych Europei II, które wynoszą 24 mld m sześć. rocznie.

Problem polega na tym, że w tej chwili, ze względu na odcięcie rosyjskiego gazu, Europei II jest zakontraktowany po czubek, a o jego pojemność biją się Brytyjczycy, Niemcy czy Holendrzy. Operator gazociągu zmuszony jest obcinać proporcjonalnie przesyłaną przez rurę objętość gazu dla poszczególnych odbiorców, co oznacza, że nawet gdybyśmy mieli od Baltic Pipe zakontraktowane całe 10 mld m sześć. na rok, to i tak nie byłibyśmy w stanie tej ilości gazu pozyskać z powodu wąskiego gardła w postaci Europei II.

Według słów premiera Morawieckiego pewne jest, że do końca roku przez Baltic Pipe dopływać będzie do Polski ok. 3 mld m sześć. rocznie. Co potem – nie wiadomo. Rząd robi dobrą minę do złej gry, powtarzając opowieść o napelnionych niemal w 100 proc. magazynach gazu. Zapomina jednak dodać, że zgromadzone w nich błękitne paliwo przy normalnym zużyciu wystarczy nam raptem na kilka tygodni.

Jasne jest, że gaz kupowany ze złóż norweskich – czy w zasadzie skądkolwiek indziej – będzie horrendalnie drogi. Odbiorcy indywidualni są w tym przypadku, podobnie jak w przypadku energii elektrycznej, objęci ochroną taryfową sprawowaną przez Urząd Regulacji Energetyki. Nie dotyczy to już jednak przedsiębiorców, a to w nich przede wszystkim uderza fala podwyżek. Zaczynają się zamykać przede wszystkim mniejsze firmy: piekarnie, pensjonaty i prywatne kwatery, hotele, mniejsze huty szkła, warsztaty. Z kolei duży producenci w branżach energochłonnych ograniczają zatrudnienie i produkcję.

Rząd ogłosił plany stworzenia kolejnej tarczy dla branż energochłonnych, na którą zamierza przeznaczyć ponad 17 mld zł. Według informacji przekazanych przez ministra Waldemara Budego „o wsparcie będą mogły ubiegać się zakłady energochłonne, w przypadku których koszty nabycia energii elektrycznej i gazu wynoszą co najmniej 3 proc. wartości produkcji i które działają w branżach wskazanych przez KE. To m.in. produkcja wyrobów hutniczych, ceramicznych kafli i płytek, nawozów i związków azotowych, szkła płaskie-

go i gospodarczego”. Wynika z tego, że na pieniądze nie mogą liczyć ci, którzy działają w usługach, a koszty energii ich również przecież dobijają – czyli np. branża turystyczna.

CZEKAJĄC NA KRYZYS Z LPG

Tymczasem po cichu szykuje się bardzo prawdopodobny kryzys w kolejnej dziedzinie – gazu LPG. To paliwo wykorzystywane przede wszystkim do napełniania samochodów (korzysta z niego 14 proc. pojazdów w Polsce), w domach (gazem LPG ogrzewa się milion gospodarstw domowych) czy do ogrzewania szklarni. W 2021 r. zużyliśmy ok. 2,4 mln ton LPG, w tym z Rosji sprowadziliśmy niespełna 1,3 mln ton. Jeszcze w kwietniu rząd zapowiadał zerwanie z tym importem do końca tego roku. Wojennym zapałem próbował się popisać Senat, wrzucając gaz LPG do ustawy o embargo na węgiel, ale ta zmiana szczęśliwie nie przeszła w Sejmie.

Do końca roku przez Baltic Pipe dopływać będzie do Polski ok. 3 mld sześć. gazu rocznie. Co potem, nie wiadomo

Jeżeli faktycznie od stycznia przestaniemy kupować LPG z Rosji, to według przedstawicieli Polskiej Izby Gazu Płynnego zabraknie nam 700 tys. ton. Skąd tę ilość LPG wziąć – nie wiadomo. Skutkiem mogą być kolejne niedogrzone domy lub gospodarstwa domowe, które nie będą miały jak gotować jedzenia.

Na dodatek pojawiło się zagrożenie, że przestanie funkcjonować gdyński terminal LPG o przepustowości 250 tys. ton rocznie. Będąc jego właścicielem spółka Onico jest bowiem w trakcie restrukturyzacji. Pod względem zastąpienia importu LPG z Rosji jesteśmy mało elastyczni, ponieważ niemal cała infrastruktura odbiorcza, poza wspomnianym terminalem, znajduje się na Wschodzie, czyli tam, gdzie było dotychczas główne źródło importu paliwa.

POGŁĘBIŁIŚMY PROBLEMY

Te wszystkie problemy nie są oczywiście wyłącznie polskie, ale wiele z nich sami pogłęбилиśmy. Wszak problem z nie-

doborem węgla byłby mniejszy, gdyby PiS spełnił własną obietnicę z 2015 r. i zatrzymał likwidację polskiego górnictwa. To, że Niemcy mogą mieć w najbliższych miesiącach co najmniej tak samo zimno jak my, jest małym pocieszeniem. Faktem jest, że duża część naszych obecnych problemów wynika z braku strategicznego planowania albo z absurdu rywalizacji o to, kto bardziej dołoży Putinowi. Gorzka ironia polega na tym, że Rosja nie odczuła wcale naszej przedwczesnej rezygnacji z importu pochodzącego stamtąd węgla ani nie przejmie się specjalnie, jeśli zrezygnujemy z kupowania rosyjskiego LPG. Dla Polaków natomiast to ogromne problemy.

Wisienką na torcie jest przyjęte ostatecznie przez Radę UE rozporządzenie w sprawie obowiązkowych redukcji zużycia gazu, przeciwko któremu całkowicie bezskutecznie protestowała Polska. Teoretycznie możemy wnioskować o redukcję mniejszą niż przewidziana w dokumencie 15-procentowa, ale przedstawianie przez nas przesłanki i tak będą podlegać weryfikacji przez Komisję Europejską, która może je zakwestionować.

Rząd tymczasem wyposażył się w instrumenty, które pozwolą mu w razie czego w ręczny sposób zarządzać zapotrzebowaniem na gaz. Do Ustawy o zarządzaniu kryzysowym wprowadzono cichcem, poprzez Ustawę o pomocy obywatelom Ukrainy z marca tego roku, uprawnienie dla premiera do wydawania poleceń przedsiębiorcom w tzw. sytuacji kryzysowej. Taką sytuacją mogą być również zagrożenie brakiem gazu lub ogłoszony przez UE tzw. stan alarmowy. Możliwość wydawania przez premiera poleceń przedsiębiorcom została również przeniesiona do nowego projektu Ustawy o ochronie ludności, przygotowanego w MSWiA, która ma zastąpić m.in. wspomnianą Ustawę o zarządzaniu kryzysowym z 2007 r. Zgodnie z projektem wydawanie poleceń przedsiębiorcom byłoby możliwe w nowo utworzonym stanie zagrożenia. W praktyce zatem szef rządu mógłby po prostu nakazać tej czy innej firmie ograniczenie albo zawieszenie produkcji, aby oszczędzić gaz.

Czy tak będzie wyglądać najbliższa zima – niedogrzone mieszkania, przysznico drugi dzień, zdrowe (według pani minister Moskwy) 17 st. C w domach oraz zamykane na mocy polecenia szefa rządu firmy? Świat z „Misją” może być przy tym wszystkim wręcz przytulny, by nie powiedzieć – ciepły.



Szymon Hołownia i Władysław Kosiniak-Kamysz z Donaldem Tuskiem w Senacie, 15 maja 2022 r. FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

Zakładnicy tefaleńców



Rafał A. Ziemkiewicz

Hołownia i Kosiniak-Kamysz wolą nie być zauważani i niknąć w chórze mielącym antypisowskie banały niż zostać zauważonymi. Ponieważ w tym układzie, który się w polskich mediach wytworzył, zauważeni mogą zostać tylko jako „zdrajcy”

Po obietnicy złożonej przez Donalda Tuska lewicowej młodzieży, że nie wpuści na listy wyborcze PO nikogo, kto nie będzie zwolennikiem aborcji na życzenie, i po fali wiernopoddanych deklaracji podparządkowania się ze strony PO-wskich „konserwatystów” (z jednym chwalebny wyjątkiem Bogusława Sonika) wielu komentatorów ogłaszało polityczną koniunkturę dla PSL i ruchu Szymona Hołowni.

Na razie nie widać jednak ani w PSL, ani u Hołowni, niczego, co znamionowałoby chęć wykorzystania okazji, jaką jest przesuwanie przez Tuska PO ku skrajnej lewicy. Mimo że zarówno Hołownia, jak i Władysław Kosiniak-Kamysz są bardzo aktywni – pierwszy objeżdża Polskę w niby-kampanii wyborczej (nazwanej „mobilną konwencją”), prezentując mieszkańcom różnych regionów swoich przyszłych kandydatów do Sejmu, drugi właściwie codziennie przedstawia zdanie swej partii w którymś z „wiodących” mediów i w „setkach” programów informacyjnych. Jeśli wpiszą państwo ich nazwiska w internetową wyszukiwarkę, zaznaczając jako zakres sprawdzenia np. „ostatni tydzień”, na pewno otrzymają państwo co najmniej kilka linków do popularnych portali.

BEZ PRZEKAZU

Rzecz w tym jednak, że jeśli państwo tego nie zrobią, to pomimo całej tej aktywności istnienia PSL i Polski 2050 mogą państwo w ogóle nie zauważać. Ta aktywność nie generuje bowiem żadnego wartego odnotowania przekazu, żadnego zapadającego w pamięci „niusa”. Hołow-

nia jedzie, powiedzmy, do Kalisza, by obiecywać tam, że obroni właścicieli nieruchomości, przez które przebiegać ma magistrała kolejowa, likwidując program CPK. Wpisywanie się w protesty NIMBY (od angielskiego „Not in my backyard”, nie na moim podwórzu) – jest rzeczą powszechnie wiadomą, że gdyby uwzględnić tego rodzaju protesty, nie można by nigdzie zbudować niczego) raczej niczego nie daje u ogółu wyborców i równie niewiele u samych zainteresowanych, którzy przeważnie wiedzą, że budowy nie zatrzymają, i chcą tylko wytargować jak najlepsze warunki wykupu. Zapowiada też nałożenie na podnoszących ceny producentów energii „opłaty solidarnościowej”, z której zwracać będzie za te podwyżki konsumentom – pomysł, jak wszelkie rojenia o perpetuum mobile, kuriozalny.

Kosiniak-Kamysz z kolei cokolwiek do zaproponowania ma tylko w kwestii ułatwień dla stawiania wiatraków, co, pomijając nawet wątpliwy sens zweryfikowanych przez obecny kryzys OZE, też nie wydaje się dla wyborców istotne. Żąda, aby limit prądu po „gwarantowanej cenie” był zdecydowanie wyższy niż

proponowane przez PiS 2000 kWh na gospodarstwo, i, ponieważ nieco znudzeni gospodarze programów nie bardzo wiedzą, o co go można zapytać, powtarza po raz tysięczny, że opozycja powinna mieć dwie listy – jak w Czechach, a nie jedną jak na Węgrzech. Nie próbuje jednak ustosunkować się do faktów (nikt też go o to za bardzo nie męczy), które sprawiają, że jako lider PSL nie bardzo ma z kim taką listę zakładać. Hołownia „myśli o starcie samodzielnym”, partię Gowina sam Kosiniak-Kamysz uprzejmie wysyła na Berdyczów („Sprawdzili się po stronie demokracji, ale musieliby się sprawdzić w terenie”) – teoretycznie pozostaje mu lewica, z którą Tusk bynajmniej żadnej wspólnej listy tworzyć nie zamierza, bo sam postanowił być lewicą i jako większy przejąć jej wyborców. Tylko że wspólna tęczowo-wiejska lista PSL-Lewica obok tęczowo-miastowej listy lewicowej PO i zasadniczo nijakiej, ale deklaracyjnie konserwatywnej Hołowni to konfiguracja kompletnie pozbawiona sensu.

Oczywiście Kosiniak-Kamysz i Hołownia mówią także o innych sprawach niż wskazane wyżej. Że nadchodzące wybory „będą najważniejsze od 30 lat”, bo „będziemy wybierać między Zachodem a Wschodem”, że PiS kradnie, kłamie, truje, marnuje, cofa w rozwoju, zawłaszczają państwo, wyprowadza nas z Europy i skłóca z Niemcami... Czyli to samo, co codziennie powtarzają antypisowskie media i inni liderzy opozycji. I właśnie dlatego, że codziennie można to usłyszeć od ważniejszych i bardziej wyrazistych, nie ma żadnego powodu, by zauważać chórzystów z drugiego szeregu.

CENTRYŚCI W PUŁAPCE

Jest doprawdy zastanawiające, dlaczego nawet tak korzystnej koniunktury teoretyczni „centryści” polskiej sceny politycznej nie próbują nawet wykorzystać do sformułowania jakiegoś „manifestu zdrowego rozsądku”, skomunikowania się z „milczącą większością” i zaznaczenia na jej użytek swojej odmienności od radykałów, tylko godzą się niknąć wśród nich.

Odpowiedzi mogą być dwie: albo liderzy mniejszych partii antypisowskiej opozycji nie wierzą w ogóle w istnienie „centrowego” elektoratu, albo nie wierzą w możliwość skomunikowania się z nim. Jeśli jednak przyjęli optykę polaryzacji i wojny plemiennej, jeśli, jak niektórzy obserwatorzy sceny politycznej, uznali, że umiarkowanych wyborców, niekieru-

jących się albo miłością, albo nienawiścią do Kaczyńskiego, w ogóle już nie ma, to powinni prowadzić politykę zupełnie inną. Iść do skraj, a nie deklarować, że generalnie Kościół i katolicyzm tak, tylko bez przesady, i dystansować się od świeżej daty obyczajowego liberalizmu Tuska. Hołownia, który zaistniał w polityce dzięki odwołaniu się do elektoratu PO rozczarowanemu przez Platformę (ale co go właściwie rozczarowało, na taką fundamentalną dla niego refleksję ani Hołownia, ani jego zaplecze nigdy się nie zdobyli), ma tutaj może ograniczone pole manewru. Ale PSL, ze swoim twardym, do bólu pragmatycznym elektoratem wiejskim i małomiasteczkowym nie jest, teoretycznie, skazane na plemię lewicowo-liberalne. Od koalicji z PiS, która teoretycznie rządziłaby wszystkimi sejmikami wojewódzkimi poza jednym, odstręcza ich tylko świadomość, że koalicja z Kaczyńskim to randka z modliszką, jak tego dowiódł los Samoobrony i LPR. Ale jeśli nie ma się wielkich nadziei na samodzielne przekroczenie progu wyborczego i alternatywą dla marginalizacji w obozie rządzącym jest tylko marginalizacja w obozie wiecznej opozycji, która swoje „obrywy” ma tam, gdzie PSL nie ma, w dużych miastach, to ta historyczna lekcja może zostać zapomniana.

Wszystko wskazuje jednak, że myśl o opuszczeniu obozu anty-PiS czy choćby nawet o podjęciu próby odcięcia się od obu plemion, jak stara się to robić Konfederacja, jest „centrowym” partiom głęboko obca, podobnie jak myśl o podążeniu za lewoskrętem PO. Pozostaje zatem możliwość druga. Uprawdopodobnia ją fakt, że pomiędzy wyborami polskie życie publiczne toczy się – na skalę, której dotyczą wybory – wyłącznie w masowych mediach. A polska scena medialna jest równie chora jak scena polityczna.

LEPIEJ ZNIKĄĆ?

Ująłbym to tak, że Hołownia i Kosiniak-Kamysz wolą nie być zauważani i niknąć w chórze mielącym antypisowskie banały niż zostać zauważonymi. Ponieważ w tym układzie, który się w polskich mediach wytworzył, zauważeni mogą zostać tylko w taki sposób, w jakim zauważyła Marta Lempart propozycję Hołowni organizacji referendum w sprawie aborcji. Albo w jaki na jakąś inną „zdradę” jedynie słusznej linii zareagowała swego czasu Agnieszka Kublik, zadając na łamach „Gazety Wyborczej” mrozące

krew w żyłach pytanie: „Czy Hołowni aby na pewno zależy, tak jak nam wszystkim, na odsunięciu PiS od władzy?”.

Myślę, że nijakość wystąpień Kosiniaka-Kamysza i Hołowni wynika ze świadomości, że każda próba zdroworozsądkowego dystansu od szaleństw anty-PiS przez coraz bardziej sekciarskie media opozycji potraktowana zostanie jako zdrada – ze wszystkimi tego konsekwencjami. Pociągnie za sobą w portalach i tytułach Ringier Springera, Agory i Discovery lawinę hejtu oraz oskarżeń o zdradę demokracji, Europy i praworządności, a potem dostęp do tych mediów zostanie Polsce 2050 i PSL odcięty, a zamawiane przez nie sondaże zaczną sugerować, że głos na nie będzie głosem zmarnowanym.

Do wygrania wyborów trzeba milionów głosów – ostatnio nawet 8 mln okazało się za mało. Do czerpania zysków, uważanych przez korporacje za godziwe, z telewizji czy portalu, wystarcza o cały rząd wielkości mniej. Logika mediów jest więc sprzeczna z logiką polityki – media do sukcesu potrzebują rozgrzewania do czerwoności emocji tych, których schwytały w swój zasięg, polityk powinien zaś otwierać się na nowe grupy i przekonywać nieprzekonanych. Dlatego na całym świecie politycy, nawet jeśli zaczynają od zwartej grupy radykalnych wyborców, jeśli chcą coś znaczyć, to muszą przechodzić do centrum. W Polsce mamy ruch odwrotny – nowe partie zaczynają się od deklaracji bycia „poza podziałami”, umiarkowania i zdrowego rozsądku – po czym, gdy już dobijają się uwagi, idą ku radykalizmowi, przeważnie lewicowemu, jak Palikot i Petru, rzadziej, jak Kukiz, prawicowemu. Jako nowe byty stają bowiem przed koniecznością bywania w mediach, a te oczekują „łojenia”, bo inaczej tracą na rzecz bardziej „łojących” konkurentów.

Nawet tęższe głowy niż Kosiniak-Kamysz i Hołownia miałyby problem ze znalezieniem wyjścia z tej sytuacji. Obaj zdają się liczyć na to, że byle dotrzeć z jakimiś takimi słupkami do wyborów, centrowy, umiarkowany wyborca wychynie wtedy z niebytu i doceni ich niewyrazistość. Ale może być i tak, że, wzorem wspomnianych wyżej, ktoś za kilka miesięcy wykorzysta osierocenie centrum, by założyć kolejną mniej lub bardziej efemeryczną partię i zgarnąć głosy umiarkowanych „normalsów” sprzed nosa liczących na nie „przystawek” PO.

Nie taki zwykły Kowalski



FOT. RADEK/PETRUSZAK/PAF

Po półtorarocznej przerwie Janusz Kowalski powrócił do rządu, zmienił jednak resort, w którym będzie pracował. Wcześniej był wiceministrem aktywów państwowych, teraz został rzucony na odcinek rolnictwa jako sekretarz stanu w Ministerstwie Rolnictwa i Rozwoju Wsi oraz pełnomocnik rządu ds. przetwórstwa i rozwoju rynków rolnych.

Jego powrót to efekt odwołania z funkcji wiceministra rolnictwa Norberta Kaczmarczyka, który musiał odejść, gdy zbyt głośno zrobiło się o jego hucznym weselu i prezencie w postaci ciągnika za 1,5 mln zł. Media miały używanie, a rząd i Jarosław Kaczyński coraz większy zgryz. Partia rządząca w nadchodzących miesiącach chce bowiem iść w przeciwną stronę. Wiedząc, że Polaków czeka trudna zima, prezes PiS zakazał przyznawania premii w spółkach Skarbu Państwa i powtarza ciągle swoim politykom, że wyborcy muszą widzieć, że rządzący zaciskają pasa razem z nimi. Kaczmarczyk był więc wizerunkowym obciążeniem.



Kamila Baranowska

Janusz Kowalski swoją popularność zbudował na wyrazistości. W Internecie potrafi skutecznie „orać” swoich przeciwników. Teraz wrócił do rządu, mimo że nie chciał tego premier Morawiecki

Janusza Kowalskiego w rządzie nie chciał jednak Mateusz Morawiecki. Im bardziej nie chciał, tym bardziej Zbigniew Ziobro upierał się, że Kowalski musi wrócić. Sęk w tym, że prawo wskazania następcy Kaczmarczyka według umowy koalicyjnej należało do Solidarnej Polski. – Nasz koalicjant dokonał takiego wyboru. My go szanujemy. Możemy tylko gratulować nowemu ministrowi nominacji – mówił enigmatycznie rzecznik PiS Radosław Fogiel.

SPOSÓB NA POPULARNOŚĆ

Janusz Kowalski to polityk kontrowersyjny. I to nie tylko ze względu na to, co

mówi, lecz także na styl, w jakim uprawia politykę. Choć doświadczenie w polityce ma nikłe, to szybko odkrył, że najkrótszą drogą do zyskania popularności, co przekłada się na rozpoznawalność i zwiększa szanse na reelekcję, jest ostry i dosadny język.

Jego wypowiedzi publiczne cechują przesada i efekciarstwo. Na przykład w Radiu Zet wyznał, że prof. Andrzej Horban, główny doradca premiera ds. walki z COVID-19, miał grozić mu nożem. – Żadnej reakcji pana premiera w tej sprawie nie było – żalił się. Kiedy dziennikarz poprosił o doprecyzowanie, w jakim kontekście miała paść ta groźba, Kowalski

przyznał, że prof. Horban mówił o tym, że w stosunku do niektórych postów „otwiera mu się nóż w kieszeni”. Internet zalała wówczas fala memów i żartów z polityka w stylu: „Ciekawe, ile razy pan poseł Kowalski walił w stół, czekając, aż nożyce się odezwą”. Kowalskiego to jednak nie zraziło. Jakiś czas później w telewizji mówił o ideologii LGBT. – [...] dzisiaj zatrzymanie tej lewackiej ideologii LGBT, gender, która wchodzi do szkół, wchodzi do przedszkoli, wchodzi w nasze umysły. Ja nawet widzę kredki. Kolorowe kredki... po prostu wszystko w tych tęczyowych barwach. Kredki, tornistry, zeszyty, dzieci są przesiąknięte, są nawet gwałcone tą ideologią gender – stwierdził. I znów stał się bohaterem sieciowych memów.

– Politycy tacy jak Janusz Kowalski tak bardzo chcą zaistnieć i czymś zabłysnąć, że dla lajka i cytatu powiedzą wszystko. Efekt jest taki, że często słuszne rzeczy sprowadzają do absurdu i potem nikt już nie traktuje tego, co robią, poważnie. Niestety, każdy ma na pokładzie takich polityków. My mamy Dominika Tarczyńskiego, Platforma ma swoją Jachirę itd. – opowiadał nam kiedyś jeden z polityków koalicji rządzącej.

MŁODZIEŻÓWKA AWS, KANDYDAT PO

Janusz Kowalski ma 44 lata, pochodzi z Opola. Z wykształcenia jest prawnikiem, polityką zainteresował się jeszcze na studiach na Uniwersytecie Łódzkim. Wstąpił do młodzieżówki AWS. Jego pierwszą dorosłą partią była zaś... Platforma Obywatelska, do której zapisał się w 2005 r. i z jej list kandydował do Sejmu (bez sukcesu). Po latach tłumaczył, że „nie ma co porównywać PO z 2005 r. z tą dzisiejszą”, ponieważ ówczesna Platforma była o wiele bardziej konserwatywna.

W PO Kowalski trzymał się z Janem Rokitą, ale długo miejsca nie zagrzał. Odszedł po roku. Kręcił się jednak na obrzeżach polityki. Za czasów Platformy pracował w Ministerstwie Gospodarki i BBN, był też członkiem Zespołu ds. Bezpieczeństwa Energetycznego w Kancelarii Prezydenta za czasów Lecha Kaczyńskiego. W 2014 r. został wiceprezydentem Opola, a po wygranych przez PiS wyborach zaliczył kolejne spółki Skarbu Państwa: zarząd PGNiG, radę nadzorczą KGHM Polska Miedź, Poczty Polskiej, zarząd Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych. W 2019 r. dostał się do Sejmu, startując jako kandydat Solidarnej Polski z list PiS.

Od tamtej pory nie ustaje w wysiłkach, by być jednym z najbardziej rozpoznawalnych polityków tej partii. W partii mówią o nim, że w niektórych kwestiach jest radykalniejszy od samego Ziobry. Za swój radykalizm i brak powściągliwości już raz, w 2021 r., musiał odejść z rządu, a konkretnie z resortu kierowanego przez Jacka Sasina. – Zdarzały się sytuacje, kiedy jego opinie znacząco różniły się od kierownictwa resortu – tłumaczył wówczas dość dyplomatycznie Radosław Fogiel, rzecznik PiS. Prawda jednak była taka, że Kowalski zbyt brawurowo sobie poczynił w krytyce premiera i polityki rządu Zjednoczonej Prawicy, zwłaszcza jeśli idzie o relacje z Unią Europejską, sugerując wręcz, że premier w Brukseli zdradził interesy Polski.

„Kończę pracę w rządzie. Kontynuuję nadal pracę dla Polski. Bronię i będę bronić suwerenności energetycznej RP i przeciwdziałać niekorzystnym dla Polski i Polaków skutkom decyzji podjętych na szczytach Rady Europejskiej w latach 2019–2020” – napisał wówczas Kowalski, wprost odnosząc się do decyzji podejmowanych przez premiera Morawieckiego. – Nie jest dla nikogo tajemnicą, że jest duża różnica poglądów pomiędzy większością rządu a tym, co głosił pan minister Kowalski. Szczególnie w tym resorcie [...] dwugłos wychodzący z ministerstwa, bardzo poważny rozdźwięk pomiędzy wypowiedziami kierownictwa resortu, nie jest czymś dobrym – tłumaczył tę decyzję Jacek Sasin.

WYGODA ZIOBRY

Dla Zbigniewa Ziobry Janusz Kowalski jest wygodny. Mówi to, czego sam minister sprawiedliwości nie chce lub nie może powiedzieć, w imię poprawnych relacji z Jarosławem Kaczyńskim. A kiedy mówi coś Kowalski, zawsze można z pobłażliwością machnąć ręką, że „przecież wiadomo, jaki Janusz jest”. Do pewnego momentu to działało, jednak w atakach na premiera w pewnym momencie przesadzili i Kowalski, i cała Solidarna Polska. Wtedy Kaczyński postanowił zdyscyplinować koalicjanta dymisją.

– Janusz Kowalski jest bardzo ekspresyjnym politykiem. Niekoniecznie jest bardzo lubiany, bo jest kontrowersyjny i zwolennicy opozycji raczej nie pałają do niego sympatią; jest bardzo charakterystyczny – mówił parę dni temu w RMF FM partyjny kolega Kowalskiego Sebastian Kaleta, wiceminister sprawiedliwości i polityk Solidarnej Polski. – Janusz Kowalski nie kpił z premiera. Janusz Kowalski konsekwentnie mówił o pewnych zagrożeniach związanych z polityką energetyczną Unii Europejskiej. Mówił o zagrożeniu dla polskiej energetyki. Uważam, że Janusz Kowalski nie trollował premiera Morawieckiego. Przestrzegał przed skutkami pewnych decyzji i za to został zdymisjonowany – stwierdził.

Otoczenie premiera Morawieckiego ma na ten temat nieco inne zdanie. Uważa Kowalskiego za szkodnika, którego nie powinno być w rządzie. Czy zatem jako wiceminister rolnictwa będzie musiał się nieco bardziej pilnować? Na razie z jego wypowiedzi wynika, że nie zamierza powtarzać tych samych błędów. „Przede wszystkim wczoraj podziękowałem osobiście panu prezesowi Jarosławowi Kaczyńskiemu za zaufanie, ponieważ sprawa mojej nominacji była kwestią koalicyjną i była zgoda na nią ze strony prezesa Kaczyńskiego i premiera Morawieckiego. Dzisiaj mamy przed sobą jeden cel: wygranie kolejnych wyborów parlamentarnych [...] Nie damy się podzielić totalnej opozycji, która szuka dziury w całym, a sama jest dzisiaj podzielona” – mówił niedawno w wywiadzie dla portalu wPolityce.pl.

Michał Kołodziejczak, lider rolniczej Agrounii, nazwał jego nominację „provokacją” i „żartem”, a występując z nim w programie w Polsat News, wręczył mu kredki i zeszyt, by „rysował sobie łąki, pola, traktory i na tym zakończył przygodę z rolnictwem”. Kowalski odciął mu się w swoim stylu, ale trudno mu było zaprzeczyć, że trafił do resortu, którego musi się dopiero nauczyć. Co pewnie zajmie trochę czasu. I być może o to właśnie chodziło: dać mu zajęcie, do którego – jeśli chce uniknąć kompromitacji – będzie musiał się tygodniami, jeśli nie miesiącami wdrażać, nie mając czasu na wewnętrzkoalicyjne przepychanki. Choć, prawdę mówiąc, dotychczasowa kariera medialno-polityczna nowego wiceministra rolnictwa pokazuje, że coś takiego jak lęk przed kompromitacją może nie być w stanie go powstrzymać. Niestety.

W Solidarnej Polsce mówią o Januszu Kowalskim, że w niektórych kwestiach jest radykalniejszy od Zbigniewa Ziobry

Od endecji do „trzódki” Żakowskiego



Piotr Semka

Tomasz Wołek niewątpliwie przejdzie do historii polskich mediów jako twórcy „Życia Warszawy”, a zwłaszcza potem „Życia” z kropką, które wychowało całą plejadę znanych nazwisk medialnych sytuujących się w centrum bądź po prawej stronie debaty publicznej



FOT. JACEK HEROK/NEWSWEEK POLSKA/REPORTER

Młodsze pokolenie zna go głównie z piątkowych dyskusji w TOK FM, w których to pogawędkach Tomaszowi Wołkowi towarzyszyli Jacek Żakowski, Wiesław Władyka i Tomasz Lis. Starsze pokolenie pamięta znanego dziennikarza jako działacza antykomunistycznego ruchu Młodej Polski, niegdyś jedno z czołowych piór obozu nawiązującego do idei Romana Dmowskiego. Ja sam pamiętałem będąc Tomasza Wołkę jako czołową postać „Życia Warszawy”, a potem „Życia” z tzw. kropką. Była to gazeta, która miała reprezentować konserwatywny nurt obozu Tadeusza Mazowieckiego, ale ku zgrzyzocie Wołki wykreowała całą generację niezwykle utalentowanych krytyków układu okrągłostołowego. Ten paradoks jest starannie pomijany w większości wspomnień o Tomaszu Wołku.

CHRZEST POLITYCZNY

Urodził się w Gdańsku, co w drugiej połowie XX w. było bardzo odpowiednim miejscem do wyłonienia się wielu opozycyjnych i dziennikarskich karier pokolenia, które rzuciło wyzwanie PRL. Swoją debiut polityczny zaliczył w marcu 1968 r., kiedy wziął udział w wiecach studenckich na Politechnice Gdańskiej. Być może o wyborze drogi kontestacji komunistycznego systemu zadecydowała pamięć o stalinowskich represjach wobec ojca – Józefa Wołki, który tuż po wojnie był przewodniczącym Prezydium Rady Narodowej w Gdańsku, a nawet posłem na Sejm w latach 1948–1950. Wskutek posądzeń o sympatie PPS-owskie i wspieranie prześladowanego wówczas Władysława Gomułki Józef Wołek poddany został represjom stalinowskim. Po powrocie Gomułki do władzy w październiku 1956 r. Józef Wołek ponownie został posłem na Sejm w latach 1961–1965.

Tomasz Wołek chrzest polityczny przeszedł w 1968 r. i to zbliżyło go do środowiska opozycyjnego zgromadzonego wokół Aleksandra Halla, Grzegorza Grzelaka i Arkadiusza Rybickiego. Ale jednocześnie Wołek zakochany był w futbolu, a pasja ta miała mu towarzyszyć do ostatnich dni życia. To spowodowało, że w 1973 r. został rzecznikiem prasowym Lechii Gdańsk, a po awanturze z kierownictwem klubu podjął się rzecznikowania „świętego” arcyrywalu gdańszczan – Arki Gdynia.

Namiętność do futbolu pchnęła go do współpracy z „Piłką Nożną” i redakcją sportową TVP. Ale w PRL trzeba było wybierać między opozycyjnością a pracą

w oficjalnych mediach, więc w 1977 r. stracił posadę w telewizji w związku z publikowaniem w piśmie przyszłych młodopolaków – „Bratniak”.

Wraz z pozostałymi RMP-owcami przeżywał fascynację dziełami Romana Dmowskiego i potrafił wchodzić w całkiem ostre polemiki z lewicą KOR-owską. Pomażał w strajku w stoczni w sierpniu 1980 r. oraz był aktywny w Biurze Informacji Prasowej Solidarności. O jego konserwatywno-prawicowym podejściu świadczy to, że był jednym z sygnatariuszy deklaracji założycielskiej Klubu Służby Niepodległości – organizacji, która miała być zaczątkiem jakiejś przyszłej partii politycznej prawicy.

Nie został internowany, ale publikował w pismach podziemnych i uczestniczył w życiu młodopolaków, którzy przeszli w tym czasie do podziemia. Żył z publikacji w pismach katolickich, m. in. w „Powściągliwości Pracy”, w której poznał Jacka Żakowskiego. Od 1983 r. pisywał pod pseudonimem Józef Wierny w następcy „Bratniaka” – „Polityce Polskiej”. Teksty w tym piśmie z siedmiu lat (1983–1990) wzbudzały wówczas dużo emocji. Wołek miał bardzo dobre pióro i duży talent w popularyzowaniu myśli „ojców obozu narodowego”. Bardzo irytował lewicę KOR-owską podkreślaniami, że to Kościół katolicki powinien być głównym centrum oporu przeciwko komunizmowi, a nie Solidarność, którą Wołek traktował coraz bardziej pobłażliwie jako papierowego tygrysa. Był to okres, gdy bohater tego tekstu wiązał ogromne (jak się okazało, iluzoryczne) nadzieje związane ze środowiskiem politycznym Dziekania. Gdy jednak zaczął się proces prowadzący do Okrągłego Stołu, politycy prawicy zaangażowani w Dziekanie dali się zepchnąć na margines wydarzeń. Na innym polu – futbolowej pasji – Wołek zasłynął tym, że za wszystkie swoje oszczędności udało mu się wyjechać na mistrzostwa świata w piłce nożnej w Meksyku w 1986 r.

IDZIE NOWE

Z tego okresu odejścia od głównego nurtu opozycyjnej polityki wyciągnął Wołka dopiero Aleksander Hall, który przyjął funkcję ministra ds. współpracy z organizacjami politycznymi i ze stowarzyszeniami w rządzie Tadeusza Mazowieckiego. I wtedy – używając Mickiewiczowskiej metafory – odszedł Wołek Józef Wierny, a narodził się bezkrytyczny miłośnik rządu Tadeusza Mazowieckiego.

Wskutek starań Halla przy podziale gazet należących do dawnej RSW „Pra-

sa-Książka-Ruch” dokonano całkowitej zmiany kierownictwa „Życia Warszawy”. Tomasz Wołek trafił do nowej ekipy pt. „Redaktorski ojciec i jego rozbrykane dzieciaki”. Wszyscy, którzy wspominali „Życie Warszawy” wydawane w latach 1990–1996, są zazwyczaj przekonani, że Wołek przez cały ten okres był redaktorem naczelnym tego dziennika. Tymczasem w 1990 r. nowa ekipa obejmowała redakcję przy Marszałkowskiej niedaleko pl. Unii Lubelskiej; szefem nowej gazety został Kazimierz Wóycicki związany z nurtem katolicyzmu otwartego, a Wołek był jedynie jego zastępcą. Dopiero w 1993 r. został redaktorem naczelnym.

Pismo miało być dosyć pstrokatą kompilacją rozmaitych autorów, od twardego endecka Wojciecha Wasiutyńskiego, przez liberałów takich jak Michał Komar czy Damian Kalbarczyk, do publicystów, którzy w tym czasie już wyraźnie żeglowali ku lewicy, takich jak np. Jacek Żakowski. A wołami roboczymi nowej gazety miała być dosyć spora grupa młodych dziennikarzy, którzy wywodzili się z tzw. drugiej generacji NZS. Byli to m.in. Piotr Zaremba, Piotr Skwieciński, Paweł Fąfara, Paweł Szwed, Jacek Łęski czy Igor Zalewski.

Zarówno Wóycicki, jak i Wołek byli przekonani, że ten młody narybek, owszem, doda nieco dynamizmu nowej gazecie, ale młodzi będą jeszcze długo terminować jako redakcyjni „trampkarze”. Wołek nie zorientował się, że w tym czasie trwała bardzo gwałtowna zmiana pokoleniowa w środowisku dziennikarskim i wiele szacownych nazwisk rozstawionych tym, że zostali powyrzuceni z redakcji po wprowadzeniu stanu wojennego, po powrocie do normalnej pracy po 1989 r. zwyczajnie nie potrafiło dostosować się do nowego stylu w mediach. Za to młodzi potrafili w niezwykle szybkim czasie dorosnąć do roli wytrawnych publicystów i reporterów sejmowych.

I oto zaczął się przedziwny proces. Młodzi dziennikarze zaczęli zauważać, że zza fasad rządów Unii Demokratycznej, a potem koalicji partii zgromadzonych wokół rządu Jana Krzysztofa Bieleckiego dochodzi do odzyskiwania ważnych ośrodków władzy przez postkomunę. Tacy dziennikarze jak Piotr Zaremba czy Piotr Skwieciński, którzy jeszcze w 1989 r. gorąco wspierali prezydenturę Tadeusza Mazowieckiego, zaczęli przysłuchiwać się wystąpieniom Jarosława Kaczyńskiego i przyznawać mu rację w wielu analizach patologii układu okrągłostołowego.

Te rozwierające się nożyce pomiędzy poglądami Wołki a poglądami generacji jego młodych podwładnych rozszerzały się coraz bardziej. Łagodzone to było tym, że Wołek miał wyjątkowy absmak do ekipy Kwaśniewskiego, co połączyło go z młodymi w okresie, gdy SLD doszedł do władzy w latach 1993–1997, ale co pewien czas dochodziło do rozmaitych wewnętrznych trzęsień ziemi. Tak było przy okazji „nocy teczek”, kiedy część młodych dziennikarzy zauważała ponurą symbolikę obalania rządu Jana Olszewskiego, a Wołek był zachwycony „skutecznością” prezydenta Lecha Wałęsy. Tak było w pierwszą rocznicę „nocy teczek”, gdy 5 czerwca 1993 r. policja rozbiła pałkami demonstrację zwolenników Olszewskiego. Wciśnięte na strony lokalne opisy pałowania wywołały furję Wołki, a jednocześnie młodzi nie kryli, że nie będą udawać, iż nie oburza ich wysyłanie, bądź co bądź, na postsolidarnościowych demonstrantów policji z tarczami i pałkami.

Takie krótkie starcia, w których Wołek irytował się na styl pisanie młodych o aktualnej polityce, powtarzały się co pewien czas. Ale obie strony nie chciały doprowadzić konfliktów do punktu, po którym trzeba by się było rozstać. Młodzi nie bardzo mieli dokąd pójść, a Wołek mimo wszystko doceniał ich talent i dynamizm. Gdy w 1995 r. do władzy dochodzi Kwaśniewski, włoski, zresztą dość szemrany inwestor „Życia Warszawy” Nicola Grauso sprzedaje gazetę bogatemu biznesmenowi Zbigniewowi Jakubasowi.

W odpowiedzi Wołek i młodzi zakładają po paru miesiącach nowe własne pismo, nazywane w odróżnieniu od starego „Życia Warszawy” – „Życiem” z kropką. Nowa gazeta przyjmuje na swój pokład ekipę telewizyjnego „Pulsu Dnia”, która została wyrzucona z TVP po objęciu prezesury telewizji przez PSL-owskiego aparatchyka Ryszarda Miazka. Wołek z chęcią zaprasza cały zespół „Pulsu Dnia” – z jednym wyjątkiem. Krzywi się na postać autora tego tekstu, który kojarzy mu się z „hunwejbiniżmem” spod znaku książki o nazwie „Lewy czerwcowy”. Marek Budzisz, który był szefem „Pulsu Dnia”, odrzuca zastrzeżenia Wołki i stawia sprawę jasno: albo Semka wchodzi do „Życia” z kropką wraz ze wszystkimi, albo o akcesie nie ma mowy.

Wołek kapituluje, ale kolejne dwa lata upływają na ciągłych awanturach wokół tekstów mojego autorstwa. Po latach można uśmiechnąć się na myśl o rozmaitych fortelach, których trzeba było używać, aby

osłabić uwagę redaktora naczelnego. Tak oto opublikowany został tekst o zbawienym wpływie odejścia ze sceny politycznej Lecha Wałęsy po jego przegranych wyborach prezydenckich w 1995 r. – Piotr Zaremba wlewał go na łamy w południe 1 stycznia 1997 r. Ten termin wybrano dlatego, że wszyscy wiedzieli, iż Tomasz Wołek bardzo hucznie obchodzi sylwestrowe hulanki i zazwyczaj w pierwszy dzień roku raczej nie można się go spodziewać w redakcji. A gdy już Wołek dostrzegał irytujący go artykuł, to, owszem, wybuchała awantura, ale działo się to już na zasadzie faktu dokonanego.

Ta zabawa w chowanego z redaktorem naczelnym trwała do lata 1998 r., kiedy to Piotr Skwieciński odmówił tekstu gloryfikującego dość kontrowersyjnego biznesmena Kazimierza Grabkę, nazywanego królem żelatyny. Skwieciński stwierdził, że nie jest w stanie zaakceptować tego tekstu, a Wołek natychmiast zdjął go z wydawania. Wybuchł skandal. Dotychczasową zasadą w „Życiu” było to, że dany wydawca ma pełną swobodę w kształtowaniu wydania i można go zdjąć następnego dnia, ale nie w trakcie jego dyżuru. Tymczasem zdjęcie Skwiecińskiego odbyło się w trybie natychmiastowym.

Sprawa Grabki była echem podejrzeń, które zaczęły się zagęszczać, że „Życie” finansowane jest przez grupę budzących spore wątpliwości biznesmenów przyklejonych do Akcji Wyborczej Solidarność. Bardzo wielu tzw. młodych odeszło wtedy z tego tytułu, nie mając ochoty firmować dziwacznych aliansów Wołki z rozmaitymi biznesmenami. Wcześniej, w 1997 r., „Życie” stoczyło swoją największą batalię, publikując tekst „Wakacje z agentem”, w którym twierdzono, że Aleksander Kwaśniewski spotykał się w ośrodku w Cetniewie z przedstawicielem rosyjskiego wywiadu Władimirem Ałganowem. Kwaśniewski podał do sądu Tomasza Wołkę i autorów tekstu Jacka Łęskiego i Rafała Kasprowa, a sprawa toczyła się jeszcze wiele lat.

Wiele osób, które obserwowały, jak Wołek zbliża się do salonu liberalnego, było zdziwionych akurat pryncypialnym antykomunizmem Wołki. Ale był to tylko pozorny paradoks. Wołek, owszem, akceptował obóz Unii Wolności, ale chciał, aby trwale połączony był on w koalicji z jakąś „strawną” formą prawicy. Najpierw taką formację miał stworzyć Aleksander Hall, a potem działacze Akcji Wyborczej Solidarność. Gdy obie te nadzieje się rozwiały,

Wołek spędził kolejne lata na hodowaniu marzeń o wielkim powrocie do polityki Lecha Wałęsy. Innym, dosyć zaskakującym i niekonsekwentnym wyborem Wołki był jego udział w wyjeździe wraz Michałem Kamińskim i Markiem Jurkiem do Londynu w celu przeprowadzenia wywiadu z byłym chilijskim prezydentem Augustem Pinochetem, który, oskarżony w Hiszpanii o zbrodnie przeciwko ludzkości, trafił do aresztu domowego w Wielkiej Brytanii. W tym wypadku, jak się zdaje, był to jeden z ostatnich jego nawiazań do pryncypialnego antykomunizmu z epoki tekstów w polityce polskiej w latach 1983–1988.

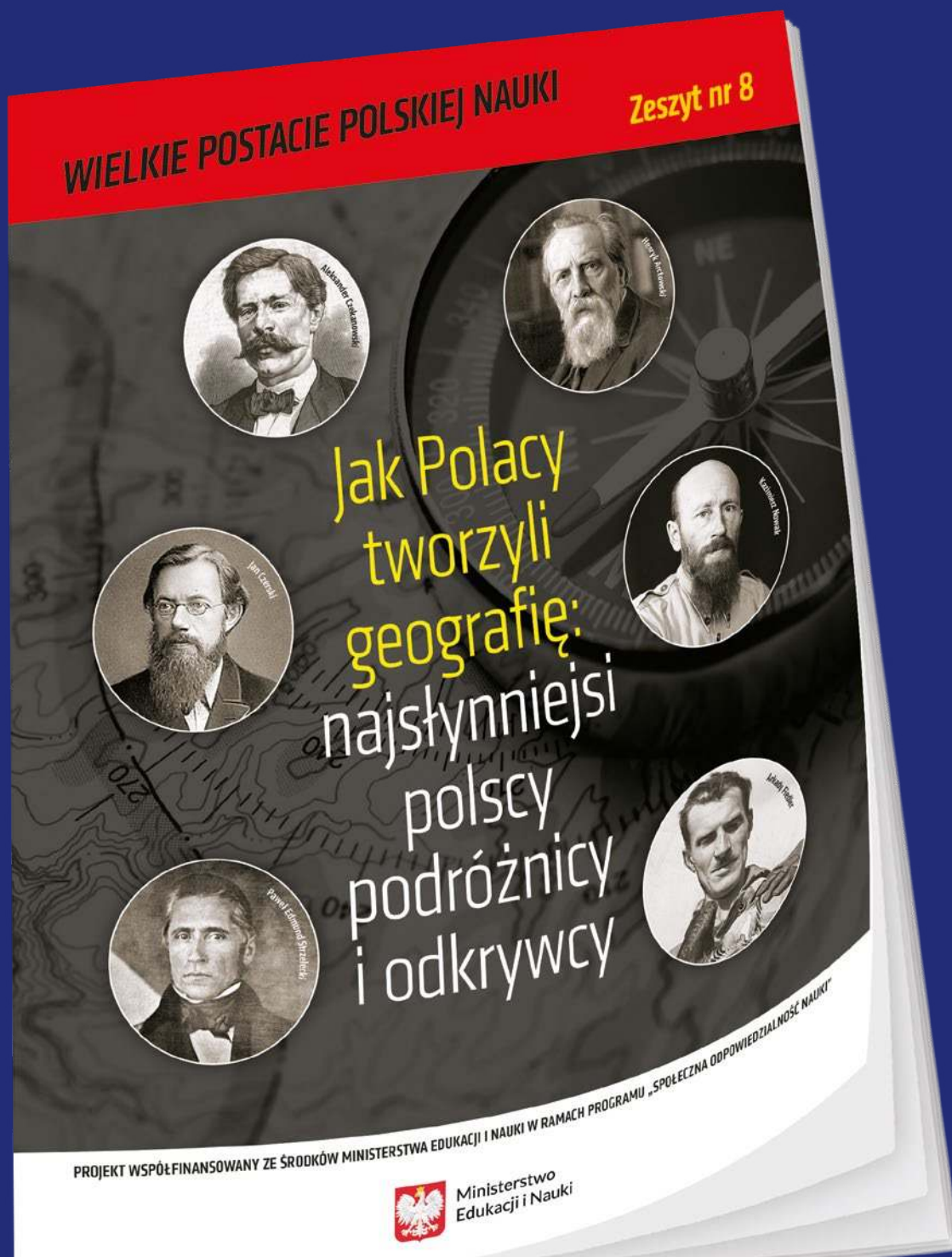
CORAZ BARDZIEJ STOPIONY Z TŁEM

W 2001 r. Wołek odchodzi z „Życia Warszawy”, a potem patronuje próbie wskrzeszenia gazety w latach 2004–2005. Ale nie jest to udana próba. Staje się publicystą niezależnym. Jego teksty to głównie wspieranie obozu III RP przeciwko „parweniuszom” spod znaku Jarosława Kaczyńskiego. Jeśli jest zapraszany, to zazwyczaj do audycji piłkarskich, gdzie o futbolu południowo-amerykańskim potrafi opowiadać jak mało kto. W 2005 r. zostaje dyrektorem redakcji publicystyki stacji Tele 5, ale nie jest to jakiś wielki sukces. Dwa lata wcześniej zostaje zaproszony przez Jacka Żakowskiego, swego starego druha, do piątkowych komentarzy zwanych obiegowo „tródką”, w Radiu TOK FM.

Do historii polskich mediów przejdzie niewątpliwie jako twórca „Życia Warszawy”, a zwłaszcza potem „Życia” z kropką, które wychowało całą plejadę znanych nazwisk medialnych sytuujących się w centrum bądź po prawej stronie debaty publicznej. Być może wszystkim tym młodym dziennikarzom bardzo na zdrowie wyszła konieczność ucierania się z niegdysiejszym wskrzesicielem popularności idei Romana Dmowskiego. Ale sam Wołek niewątpliwie, wchodząc do kierownictwa „Życia”, planował zupełnie inną gazetą niż ta, która powstała pod jego kierownictwem. To paradoks, który starannie omijają liczni autorzy pośmiertnych sylwetek Tomasza Wołki. Ale należy go po latach pochwalić za to, że nie rządził „Życiem” żelazną ręką i tolerował poglądy, z którymi się nie zgadzał. W „Gazecie Wyborczej” Adama Michnika taka swoista gra między redaktorem naczelnym a grupą jego podwładnych zakończyłaby się bardzo szybko. I ten aspekt kierowania „Życiem” przez Tomasza Wołkę będę zawsze pamiętał.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Pobierz i czytaj za darmo dodatek w wersji elektronicznej!
tygodnik.dorzeczy.pl/dodatki-specjalne



PROJEKT WSPÓŁFINANSOWANY ZE ŚRODKÓW MINISTERSTWA EDUKACJI I NAUKI W RAMACH PROGRAMU „SPOŁECZNA ODPOWIEDZIALNOŚĆ NAUKI”



Ministerstwo
Edukacji i Nauki

eprasa.pl 3b83f4e06f



Łukasz Zboralski

Nauka przed komputerami w domach to koszmar rodem z czasów pandemii, którego powrotu nie chciałyby ani dzieci, ani rodzice, ani nauczyciele. Niestety, samorządy będą mieć kłopot z ogrzaniem szkół

Od wielu lat prawo pozwalało dyrektorom szkół – w porozumieniu z organami założycielskimi, którymi są samorządy – na zawieszanie zajęć. Można było tak zarządzić w przypadku zbyt niskiej temperatury. Została zresztą dokładnie określona. Zajęcia mogą się w Polsce nie odbywać, gdy (jak mówi Rozporządzenie ministra edukacji narodowej i sportu z dnia 31 grudnia 2002 r. w sprawie bezpieczeństwa i higieny w publicznych i niepublicznych szkołach i placówkach) w klasie jest mniej niż 18 st. C. Można też było zawiesić nauczanie, gdy temperatura na zewnątrz (mierzona o godz. 21 w dwóch kolejnych dniach poprzedzających zajęcia) wynosiła –15 st. C. lub mniej.

Szczerze mówiąc, nie przypominam sobie zbyt wiele przypadków, gdy z powodu temperatur zamykano szkoły. Tej zimy wszystko może być jednak inne.

FURTKA W PRAWIE

Rząd zaprzecza, by miał ochotę wysłać dzieci na zdalne nauczanie, i uważa też, że samorządy nie powinny tego robić. To oficjalnie. Tymczasem akurat teraz dostosowano rozporządzenie dotyczące możliwości zawieszania zajęć ze względu na temperaturę.

9 września 2022 r. ogłoszono w Dzienniku Ustaw (poz. 1903) nowe rozporządzenie ministra edukacji i nauki z 2 września 2022 r. w sprawie organizowania i prowadzenia zajęć z wykorzystaniem metod i technik kształcenia na odległość. To rozporządzenie określiło warunki organizowania zajęć na odległość w przypadku zawieszenia zajęć, o których mowa w art. 125a ust. 1 ustawy Prawo oświatowe. A artykuł ten mówi właśnie o zawieszaniu zajęć m.in. w razie wystąpienia „temperatury zewnętrznej

Uczniowie znów w domach?



FOT. ADAM STOK

lub w pomieszczeniach, w których są prowadzone zajęcia z uczniami, zagrażającej zdrowiu uczniów”. Jak to mówią nastoletni uczniowie: Przypadek? Nie sądzę...

MEiN oczywiście zaprzecza: „Wprowadzenie od 1 września 2022 r. przepisów umożliwiających przejście na naukę zdalną w sytuacji zagrożenia zdrowia i bezpieczeństwa uczniów z powodów nadzwyczajnych, np. wichury, zalania szkoły, nie stanowi podstaw do rezygnacji z realizacji zadań własnych gminy, w szczególności z organizacji zaopatrzenia w ciepło jakiejkolwiek placówki edukacyjnej na obszarze gminy” – napisał resort w komunikacie.

SAMORZĄDY JASNO: „NIE ZAPŁACIMY”

I choć rząd może publicznie zaklinać, że samorządy nie powinny zamykać placówek ze względu na dużo wyższe ceny energii elektrycznej, gazu czy węgla, to samorządowcy już teraz mówią jasno: „Nie znajdziemy tylu pieniędzy”.

Jako jeden z pierwszych publicznie powiedział to już Piotr Grzymowicz, prezydent Olsztyna. Wyliczał, że miasto będzie musiało wydać o 41 mln zł więcej niż do tej pory, bo operator zaproponował nowe stawki. Do tej pory Olsztyn płacił 437 zł za megawatogodziny, nowa propozycja sięgnęła prawie 3 tys. zł. – Nie chcemy powrotu do czasu szczytu pandemii, kiedy obowiązywała nauka zdalna. Niestety, zagrożenie jest ogromne – powiedział Money.pl Grzymowicz.

Olsztyn na razie nie podpisze umowy ze spółkami energetycznymi i wraz z partnerami z grupy zakupowej unieważnił przetarg i przygotowuje rozpisanie nowego.

Grupa zakupowa przygotowała też oświadczenie dla premiera, w którym daje do zrozumienia, że to poważny problem i nie dotyczy tylko jednego samorządu: „Utrata płynności finansowej przez samorząd olsztyński i partnerów z grupy zakupowej obnaży, w konsekwencji przyjęcia oferowanych cen, słabość polityki energetycznej realizowanej w naszym kraju, tym bardziej że z naszej wiedzy wynika, iż nie będziemy jedynym samorządem znajdującym się w tak trudnej sytuacji”.

Grzymowicz wyjaśnił też, dlaczego chce zamknąć akurat szkoły. „Bo przecież zamknąć szpitali czy DPS-ów nie

możemy” – powiedział lokalnej „Gazecie Wyborczej”.

Szkoły mogą zostać zamknięte nie tylko ze względu na ceny prądu. Gigantryczne opłaty za węgiel też stanowią samorządowy problem. Najbardziej dramatyczna sytuacja jest w gminie Smętowo Graniczne (województwo pomorskie), która korzystała z ciepła dostarczanego do bloków i jednej szkoły z prywatnej kotłowni węglowej. Jej właściciel nie wytrzymał wzrostu cen surowca i braku jego dostępności – zaplanował zakończenie działalności 15 października.

Anita Galant, wójt gminy Smętowo, przyznała mediom, że w pośpiechu trwają prace nad stawianiem stacji gazowych do ogrzewania budynków. Uważa, że do 15 października mogą zacząć działać, choć dodawała, że jest to „bardziej nadzieja niż pewność”. Gmina przygotowuje się też do gazyfikacji gazem płynnym i zakłada, że będzie już gotowa w przyszłym roku.

Jako jeden z pierwszych o groźbie zamknięcia szkół powiedział prezydent Olsztyna. Wyliczył, że nowe ceny energii oznaczają dla miasta wydatek większy o 41 mln zł

Najtrudniejszą sytuację mają gminy, w których placówki ogrzewane są olejem opałowym. Choć i w innych gminach lekko nie będzie. Pomysły na oszczędności na razie mają różne. Są takie gminy, które np. planują wyłączać oświetlenie ulic.

Gmina Brzeg Dolny (województwo dolnośląskie) już zamknęła basen. Opłaty za prąd i gaz służący do jego utrzymywania do tej pory sięgały 20 tys. zł miesięcznie, a obecnie wzrosły do 250 tys. zł. „W związku z sytuacją związaną z podwyżkami cen nośników energii oraz planowaną termomodernizacją, która rozpocznie się niebawem, a zakończy w 2024 r., Gmina Brzeg Dolny – Miejski Ośrodek Sportu i Rekreacji informuje, iż obiekt pływalni będzie nieczynny do momentu zakończenia prac termomodernizacyjnych pozwalających zastosować nowoczesne rozwiązania oszczędzające

gaz i energię elektryczną” – napisali urzędnicy w komunikacie.

Z kolei w Poznaniu szkoły, przedszkola i żłobki mają nadal mieć „komfortową temperaturę”, jednak kosztem tego, że mieszkańcy w domach temperatury będą mieć niższe – ok. 19–20 st. C. – Sądzę, że obniżenie temperatury o dwa stopnie przyczyni się tylko do lepszego zdrowia – kwitował to w RMF FM prezydent miasta Jacek Jaśkowiak. I dodał: – Ja taką temperaturę utrzymuję od wielu lat, a u siebie w gabinecie mam temperaturę na poziomie 16 stopni, co skutkuje tym, że wszyscy, którzy przychodzą relacjonować mi pewne rzeczy, muszą to zrobić w miarę szybko, bo jest na tyle zimno, że muszą szybko wyjść.

Władze nie wszystkich miejscowości zakładają takie rozwiązanie. Leszek Świątalski, dyrektor biura Związku Gmin Wiejskich RP, ostrzegał niedawno w „Rzeczpospolitej”, że „z pewnością znajdą się też gminy, które w proteście przeciwko polityce energetycznej państwa, nie mając wystarczających możliwości finansowych, zamkną szkoły i przejdą na naukę on-line”.

W STYCZNIU WAKACJE, A LATEM NAUKA

Niektórzy zamiast nauczania on-line zaplanowali przesunięcie nauki na lato. Na taki nietypowy pomysł wpadła Szkoła Filmowa w Łodzi. Z powodu wzrostu cen ogrzewania i energii – oszacowano nawet 10-krotną podwyżkę od stycznia – władze tej uczelni już zdecydowały, że studenci nie będą uczestniczyć w zajęciach w styczniu. Za to semestr letni zostanie przedłużony o miesiąc.

Minister edukacji Przemysław Czarnek zwracał niedawno uwagę, że rząd przekazał samorządom 13,7 mld zł, które mogą wydać m.in. na ogrzewanie. Problem w tym, że w przypadku braku węgla na rynku – a z tym mamy do czynienia – samorząd musiałby palić banknoty, żeby z tych dotacji skorzystać.

Gdy samorząd oszczędzi na ogrzewaniu szkół, to znów więcej zapłacą rodzice. Bo to w domu czy mieszkaniu przez cały dzień temperatura będzie musiała być taka, by dawało się wytrzymać. I to i tak będzie najmniejszy koszt. Największy poniosą dzieci – one już dobrze wiedzą, z czym wiązały się izolacja, brak rówieśników i zamknięcie w czterech ścianach podczas lockdownów.

Gates jednak nieświąty



Tomasz Rowiński

Śledztwo „Politico” i „Die Welt” wskazało, że Bill Gates i powiązane z nim organizacje praktycznie przejęły od państw światowe zarządzanie podczas pandemii COVID-19. Za takie same teksty krytykowano w Polsce „Do Rzeczy”

Dziennikarze portalu „Politico” i niemieckiego dziennika „Die Welt” przeprowadzili śledztwo w sprawie Billa Gatesa i jego organizacji, które okazały się głównymi rozgrywającymi światowej polityki szczepionkowej w czasie pandemii COVID-19. Z tego bardzo ciekawego tekstu wynika, że aktywność miliardera i jego pozarządowych instytucji zdecydowanie wymknęła się spod demokratycznej czy – szerzej – politycznej kontroli oraz że najprawdopodobniej wydano olbrzymie kwoty pieniędzy, uzyskując za tę cenę dość marne efekty.

Obszerny materiał został opublikowany także w języku polskim przez współpracujący z „Politico” portal Onet.pl pod sensacyjnym tytułem „Jak Bill Gates i jego partnerzy kontrolowali reakcję świata na pandemię COVID-19. Śledztwo dziennikarskie”. Gdy na łamach „Do Rzeczy” (nr 17/2021) pojawił się w zeszłym roku duży tekst Wojciecha Golonki „Nieświąte wojny Billa Gatesa”, przybliżający biznesową i filantropijną aktywność miliardera, nasz tygodnik był atakowany ze wszystkich stron pomimo tego, że autor korzystał z dostępnych i wiarygodnych źródeł. Tymczasem druzgocący w wymowie artykuł dziennikarzy „Politico” i „Welt” nie wywołał żadnych nadzwyczajnych reakcji, jak gdyby krytyka skierowana w stronę Gatesa była czymś zupełnie zwyczajnym w liberalnym mainstreamu. Reakcja jednak być powinna, ponieważ tekst „Jak

Bill Gates...” potwierdził i rozwinął informacje, które podawał Wojciech Golonka, dla którego wątek szczepionkowy był przecież tylko jednym z wielu.

JAK ATAKOWANO „DO RZECZY”

Oczywiście „Nieświąte wojny Billa Gatesa” były krytykowane, zanim ktokolwiek sięgnął po tekst, głównie z powodu okładki tamtego numeru „Do Rzeczy”. Można było na niej zobaczyć zdjęcie założyciela Microsoftu trzymającego w rękach ampułki ze szczepionkami. Krytycy odwoływali się także do okładkowej zapowiedzi: „Ja was wszystkich zaszczepię! Bill Gates i jego plan uszczęśliwiania świata”.

Wirtualnemedi.pl pisały, że „okładka może wywoływać wątpliwości co do szczepień na koronawirusa i kojarzyć się z teoriami spiskowymi o szczepieniach”. Szczerze mówiąc, dziennikarz, który wie, że ma za zadanie coś skrytykować, ale ma nikłe pojęcie o sprawie, używa właśnie okrągłych sformułowań nasyconych takimi wyrażeniami, jak „może wywoływać”, „może kojarzyć się”.

W zasadzie jedyna próba – przynajmniej pozornie – merytorycznego zmierzania się z artykułem Wojciecha Golonki, podjęta przez Adama Bednarka z portalu Spiderweb.pl, spęzła na niczym. „5 największych głupot z tekstu »Do Rzeczy« o Billu Gatesie” to głównie czepianie się publicystycznej retoryki naszego autora. Trudno bowiem zaprzeczać faktom, takim jak cytaty z samego Gatesa czy wartości,

FOT. JAM

jakie przedstawiają liczby. Nikt przecież nie będzie zaprzeczał, że od czasu, gdy Gates – po kryzysie, w jaki wszedł Microsoft, jego główne biznesowe dziecko – zajął się na szeroką skalę tzw. filantropią, znacznie się wzbogacił, jednocześnie wydając znaczne kwoty pieniędzy. Mówimy o wroście zamożności z 54 do 111 mld dol.

Podobnie – kto miałby w Polsce ochotę i śmiałość podważać to, co o Gatesie pisał prestiżowy i naukowy „Lancet”? Pismo to, owszem, chwaliło zaangażowanie Gatesa w projekty zdrowotne. Jednak równocześnie wskazywało wiele problemów związanych z aktywnością organizacji, za pomocą których on działa i osiąga swoje zamiary. Na czym polegały zarzuty sformułowane na łamach „Lancetu”, które referował Wojciech Golonka? Między innymi na tym, że cele, jakie stawia sobie Gates, nie pokrywają się z celami i wyzwaniem, przed jakimi stoi światowy system zdrowia. Zarzucano miliardrowi, że jego wybory dotyczące tego, kogo wspiera i jakiego typu projekty, miały charakter całkowicie arbitralny, często oparty na osobistych koneksjach i znajomości. Autorzy „Lancetu” wytykali





Gatesowi także to, że rzeczywistymi beneficjentami jego programów zdrowotnych w krajach biednych są zachodnie koncerny, że zamiast budować autonomię tych państw w zakresie zdrowia publicznego, w rzeczywistości uzależniał je od dużych podmiotów przemysłu farmaceutycznego. W dodatku „Lancet” pisał o tym już w roku 2009, a przecież Gates nabierał dopiero w tym obszarze rozmachu.

W chórze krytyków „Do Rzeczy”, który objawił się po publikacji artykułu Wojciecha Golonki, był m.in. Michał Protaziuk, wydawca w Onet.pl. „Ciekawy case dla zwolenników tzw. repolonizacji mediów” – stwierdził tajemniczo Protaziuk w opinii, którą opublikował portal Wirtualnemedia.pl. Co jednak miałyby do sprawy

wnieść to akurat zdanie Protaziuka, trudno powiedzieć. Może tyle, że lepiej, jeśli Polacy czytają tylko polskojęzyczne niemieckie i amerykańskie media, bo ich własna opinia o sprawach wielkiego świata nie jest im do niczego potrzebna?

Niewątpliwie powracającą w naszym kraju niezdolność do krytycznego spojrzenia na wpływowych przedstawicieli zachodniej cywilizacji obecnej doby wciąż pozostaje cechą polskiego postkolonialnego i postkomunistycznego prowincjonalizmu. Z pewnością teraz, kiedy Gates znalazł się na celownikach dziennikarzy „Politico” i „Die Welt”, znalazłoby się wielu, którzy powiedzieliby, że przecież Gatesa zawsze można było krytykować. Tylko trzeba wiedzieć, kiedy to zrobić! W Polsce najgorzej to się wychylić, a nasz tygodnik to zrobił.

MECHANIZM PRZEJMOWANIA KONTROLI

Śledztwo „Politico” i „Die Welt” potwierdziło, że amerykański miliarder jest zainteresowany nade wszystko budowaniem własnej autonomii politycznej, opierając się na swoich organizacjach typu NGO, a nie na służbie społeczności międzynarodowej. Jak na dłoni został pokazany mechanizm wykorzystywania sfer słabości

państw, służący przejmowaniu kontroli tam, gdzie Gates widzi pola swojego zainteresowania. Kiedyś były one dość szerokie, obejmowały inwestycje w GMO, a nawet zbrojeniówkę, a od ponad dekady są to przede wszystkim szczepienia. „Kiedy masz do czynienia z Fundacją Gatesów, to prawie tak, jakbyś miał do czynienia z dużym krajem” – czytamy w opinii byłego urzędnika ds. zdrowia w rządzie Stanów Zjednoczonych przytoczonej w artykule „Politico”. Sektor NGO stanowi zatem tylko przykrywkę dla rzeczywistych ambicji miliardera

Efekty śledztwa Erina Banco, Ashleigha Furlonga i Lennaryta Pfahlera, opublikowane w tekście „Jak Bill Gates...”, są przerażające. Cztery organizacje powiązane z twórcą Microsoftu: Fundacja Melindy i Billa Gatesów, Gavi – struktura zajmująca się lobbieniem szczepiennym w biedniejszych krajach, Wellcome Trust – fundacja badawcza współpracująca z Gatesem od lat, oraz Coalition for Epidemic Preparedness Innovations – współtworzona przez Gatesów od 2017 r. grupa badawczo-rozwojowa, praktycznie przejęły od państw kontrolę nad światową polityką wobec pandemii COVID-19. Przekazano im władzę oraz fundusze, jednocześnie nie przekazując – bo przecież nie byłoby to możliwe – politycznej odpowiedzialności za efekty ich działań. Ta, w porządku międzynarodowym i wewnętrznym, spoczywa zawsze na uznanych głowach państw.

W przypadku krajów demokratycznych oznaczało to scedowanie ważnego elementu suwerenności na człowieka, który nie posiada żadnego demokratycznego mandatu. Co więcej, Gates nie ma też przecież mandatu naukowego – jedyne, czym dysponuje, to niemal nieograniczony kapitał ekonomiczny, umożliwiający kupowanie zarówno ekspertów, polityków, jak i aktywistów.

Perspektywa sprawczości Gatesa sprawiła, że z dużą łatwością uzyskiwał on od zagubionych w pierwszej fazie pandemii rządów fundusze na sfinansowanie obiecywanego przez jego organizacje powszechnego i możliwie równego dostępu całej ludzkości do szczepień. Cztery wspomniane organizacje wydały już od roku 2020 ok. 10 mld dol. na walkę z pandemią COVID-19. Czyli tyle, ile amerykańska agencja rządowa dedykowana temu samemu celowi. To jednak nie wszystko, środki przeznaczone na lobbienie, który umożliwił ludziom Gatesa – jak czytamy – „bezprecedensowy dostęp do najwyższych

szczebli rządowych”, zostały oszacowane na 8,3 mln dol. Za pieniądze Gates buduje także sieć ludzi, którzy myślą tak jak on lub po prostu są gotowi popierać jego inicjatywy. Urzędnicy poszczególnych państw stają się pracownikami filantropijnych korporacji i odwrotnie. Można mieć wątpliwość, gdy patrzy się na przepływy ludzkie i kapitałowe, czy Światowa Organizacja Zdrowia realizuje jeszcze interesy społeczności międzynarodowej czy raczej „zainteresowania i pasje rodziny Gatesów”.

CO POSZŁO NIE TAK?

A jak otrzymane pieniądze zostały wykorzystane przez podmioty powiązane z Gatesem? Zespół diagnostyczny ACT-A, w którym decydującą rolę odgrywały organizacje miliardera, informował polityków i urzędników, że do połowy roku 2021 udostępni on krajom o średnich i niskich dochodach 500 mln testów covidowych. Udostępniono ich jednak zaledwie 84 mln, co oznacza 16 proc. założonej kwoty. Zespół terapeutyczny ACT-A miał dostarczyć do 2021 r. 245 mln terapii covidowych. Cele te z czasem zostały obniżone do 100 mln, z czego ostatecznie dostarczono 1,8 mln jednostek. Do końca roku 2021 kraje o średnich i niskich dochodach miały otrzymać 2 mld szczepionek, ale dostarczono ich zaledwie 319 mln. Powszechne wyszczepianie populacji, które miało być priorytetem w Afryce, sięgnęło zaledwie 20 proc. Pieniądze jednak zniknęły, a organizacje Gatesa zapewniają, że prowadzą refleksję nad tym, co poszło nie tak. Mają zapewne za co.

Powyższe dane to tylko część różnorodnych i szczegółowych informacji, do których dotarli dziennikarze „Politico” i „Die Welt”.

Dobrze, że tekst „Jak Bill Gates i jego partnerzy kontrolowali reakcję świata na pandemię COVID-19” powstał, dobrze też, że został przedstawiony polskiemu czytelnikowi w medium głównego nurtu. Szkoda, że wcześniej próbowano wykpić solidną pracę Wojciecha Golonki, który postawił w zasadzie to samo pytanie, co swego czasu Kate Edler, doradca ds. polityki szczepionkowej Lekarzy bez Granic: Co sprawia, że Bill Gates ma kwalifikacje do udzielania rad i doradzania społeczności międzynarodowej, a nawet mocarstwom w kwestii zdrowia publicznego?

Szczerze mówiąc, też chciałbym wiedzieć. No, chyba że chodzi o to, że bardzo chce i ma pieniądze, by to chcenie wprowadzać w życie.



Piotr Gociek

O zwycięzcach Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych przyjdzie nam rozmawiać, gdy nowe tytuły trafią do kin. Ale o trendach rozmawiać można już teraz.

CO TO JEST POLSKI FILM? Czeski scenarzysta Jiří Kržan mógł za scenariusz filmu „Zabić Sekala” zdobyć w swojej kategorii ważne nagrody w dwóch różnych krajach. W Czechach dostał Lwa (odpowiednik naszych Orłów przyznawanych przez Stowarzyszenie Filmowców Polskich), w Gdyni go nie nagrodzono, ale w konkursie miał sporą szansę. A teraz najciekawsze: „Zabić Sekala” była to koprodukcja polsko-słowacko-francuska. Mimo to film nie tylko został nagrodzony w Pradze za scenariusz, lecz także został ogłoszony najlepszym czeskim filmem roku. Owszem, jego reżyser to Czech, Vladimír Michálek. I tyle. Na liście filmów uznanych za „najlepsze czeskie” znajduje się również „Gorejący krzew” Agnieszki Holland. Kinową wersję miniseriale wyróżniono bowiem Lwem. Najlepszym czeskim filmem może być więc zarówno taki, którego reżyserem jest Polka, jak i taki, do którego Czesi nie dołożyli ani korony.

Przypominam tę historię sprzed niemal ćwierćwiecza, żeby pokazać, o jak skomplikowanej materii mówimy. Mieliliśmy takie przypadki, gdy w jednym z zespołów eksperckich PISF ocenialiśmy scenariusze. Ile polskich elementów musi być w propozycji, by dostała wsparcie od polskiej instytucji? Czy projekt Hiszpana, w którym 90 proc. akcji rozgrywa się w Hiszpanii, a tylko 10 proc. w Polsce, powinien być uwzględniony? I tak dalej.

Tegorocznym zwycięzcą Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych ogłoszono film, który z Polską, polskimi problemami ani z polskim finansowaniem czy obsadą nie ma nic wspólnego („The Silent Twins” Agnieszki Smoczyńskiej). A może nie powinno nas to martwić. Gdyby był to np. film polskiego reżysera, ale według czeskiego scenariusza, za francuskie pieniądze, w walskiej obsadzie, lecz opowiadający – w dodatku, wyobrażmy sobie, że udanie – o Adamie Mickiewiczu, to chciałbym go widzieć w konkursie głównym. Jak wyznaczyć kryteria? Czym w erze składkowych koprodukcji i rza-



FOT. ANNA BOBROWSKA/FFP

dów globalnych streamingowych gigantów ma być film godny uznania za polski? Jak to ocenić? Tegoroczny festiwal nie przynosi odpowiedzi na to pytanie.

CZY NADSZEDŁ CZAS DOBREGO KINA GATUNKÓW? Niestety nie, choć pozornie tak. Pokazano w Gdyni filmy, które miały być: dramatem wojennym („Orzeł. Ostatni patrol”), thrillerem survivalowym („Infinite Storm”), dramatem „człowiek kontra natura” („Broad Peak”). Wszystkie technicznie wyśmienite, a jednocześnie nudne, bo pozbawione dramaturgii, pozbawione suspense. Niezwykła rzecz, zwykle kiedy narzekaliśmy na polskie kino, to wyglądało to tak: dopóki było kameralnie, dopóty wszystko najczęściej wychodziło, dobrzy aktorzy wznosili nawet przeciętne dialogi wwyż. Kłopot zaczynał się przy próbie nadania opowieści rozmachu. Wtedy kłops, bo nie ma pieniędzy, bo nie ma speców od efektów specjalnych, bo nie ma pieniędzy, bo u nas się tego tak nie robi, bo nie ma pieniędzy. A teraz jest... odwrotnie. Wrogie morze, wrogie Himalaje, wroga

Mount Washington wyglądają na ekranie przepięknie. A w skali mikro? Dramaturgii brak. Od dialogów zęby bołą, banał goni banał.

JAK OPOWIADAĆ O POLSKIEJ HISTORII? Patrząc na najlepszy film historyczny festiwalu, czyli „Filipa” – beczelnie i w sposób nieoczywisty. Tu akurat się udało. Tragikomedia o małym człowieku mielonym przez żarna wielkiej historii pokazywała ludzki dramat równie dobrze jak – proszę się nie obrażać – niedgdyś „C.K. dezenterzy”. Janusz Majewski swoją farsą trafił idealnie w klimat zdychającej monarchii habsburskiej, Michał Kwieciński oddał horror czasów drugiej wojny światowej, walkę o przetrwanie, sięgając po zgrywę pomieszaną ze smutkiem i wspomnianą beczelnością.

CZY MOŻNA UCZCIWIE OPOWIADAĆ O RELACJACH POLSKO-ŻYDOWSKICH? Uczciwie, to znaczy bez powtarzania bredni o polskim antysemityzmie wyssanym z mlekiem matki, bez mitów o „dobrych Niemcach” i „zbrodniarzach z AK”. Można, choć

po Gdyni



pozostaje uczucie niedosytu. Wspomniany „Filip”, ekranizacja powieści Leopolda Tyrmanda o młodym Żydzie z Warszawy udającym francuskiego kelnera w hitlerowskich Niemczech, nakręcony jest bez antypolskich tez.

„Orlęta. Grodno '39” to film bardzo ciekawy, choć dla wielu kontrowersyjny. Jednym za mało patosu i opowieści o młodych polskich obrońcach Grodna, inni mają kłopot z tym, że przedwojenna Polska widziana jest przez polskich Żydów – zwłaszcza w pierwszej połowie filmu – jako macocha, a nie kochająca matczka. Cóż, bywała macochą, ale przeszkadza fakt, że wśród rdzennie polskich bohaterów filmu niemal nie ma postaci pozytywnych. Natomiast ONR-owski antysemityzm znalazł się tu, podpowiadam, „na drugą nożkę”, bo jednocześnie reżyser i scenarzysta Krzysztof Łukaszewicz poważał się na rzecz niesłychaną dotąd w polskim kinie: pokazał Żydów komunistów, którzy są po prostu zdrajcami Polski, którzy strzelają z węgla do polskich żołnierzy i którzy ślepą nadzieję pokładają w Sowietach.

Gdyby w „Orlętach” była tylko „żydokomuna”, uznano by ten film za antysemicki. A tak daje się sprzedać jako wyważony (przynajmniej w kwestii żydowskiej). No i zauważmy inną unikatową figurę w polskim kinie: młodego Żyda, który jest zafascynowany polskością, czyta Sienkiewicza, chce zostać harcerzem itd. Mały Leon Rotman mógłby jak dorosły Marian Hemar rzec, że jest „Polakiem ochotniczym, z zaciągu, nie z poboru”.

CO ZROBIĆ Z MISTRZAMI? Paradoks: film „IO” Jerzego Skolimowskiego, który zdobył nagrodę jury podczas festiwalu w Cannes, startuje w konkursie w Gdyni i nie dostaje nic. Null. Zero. Jednocześnie jeszcze przed festiwalem ogłoszony zostaje polskim kandydatem do Oscara. Dobry na Los Angeles i Cannes, za słaby na Gdynię? Raczej nie. Chyba wygrała kalkulacja: i tak jest o nim wystarczająco głośno, a Skolimowskiego wszyscy znają. Cóż za różnicę zrobi mu brak jednej statuetki z Gdyni? No tak, ale to znaczy, że problem jest szerszy. Czym właściwie ma być festiwal w Gdyni?

Autorskim przedsięwzięciem komitetu selekcyjnego? Przeglądem trendów? Salonem wystawowym? Miejscem promocji nowych twarzy? A może po prostu konkursem, w którym wygrywa najlepszy? Pamiętam festiwale, podczas których uznani mistrzowie decydowali się pokazywać swoje nowe filmy poza konkursem (tak było choćby z „Ogniem i mieczem” Jerzego Hoffmana). Jest to jakieś rozwiązanie: uznajemy, że giganci zrobili dość, niech teraz się posuną i ustąpią miejsca innym. Będziemy ich honorować pokazami na otwarcie albo zamknięcie imprezy. Jeśli jednak już ich do konkursu zapraszamy, to taryfy ulgowej nie powinno być ani dla jury, ani dla mistrzów, ani dla debiutantów.

NOWA PRYWATNOŚĆ CZY NOWE UNIKI?

Wiele w tym roku w Gdyni było opowieści o zwykłych ludziach poddawanych ciężkim próbom. Matka szukająca uparcie córki, matka walcząca z biurokracją w imię poprawy losu swego autystycznego syna, kobieta na skraju załamania nerwowego, gdy nagle jednocześnie dotkną ją poważne kłopoty na kilku płaszczyznach, dramat rodziny, w której dziadka dotyka choroba Alzheimera. Usłyszałem od jednego z krytyków filmowych, że widzi w tym trend do pokazywania ludzi dotąd na ekranie niewidzialnych. Czy ja wiem? Każdy bohater jest niewidzialny, dopóty, dopóki się go nie pokaże, każda historia, w której Dawid toczy walkę z Goliatem, jest dla kina i dla widza ciekawa, bo łatwo nam kibicować underdogowi. Nie odmawiając słuszności tezie, którą podałem powyżej, proponuję inną: poszukiwanie przez twórców polskiego kina miejsca, które będzie bezpieczne, w którym nie narażą się żadnej stronie światopoglądowych sporów. Moda na nową prywatność, która może być jednocześnie unikiem. Bo wiecie, inaczej zawsze się komuś nadeprnie na odcisk. Cóż, ważniejsze żeby powstawały dobre filmy. Kilka takich było.

CZY TZW. ŚRODOWISKO SIĘ OPAMIĘTAŁO?

Tu sprawa najprostsza. Odpowiedź brzmi: nie, nie opamiętało i nie zamierza. Im więcej pieniędzy bohaterscy filmowcy dostają od państwa na nowe filmy, tym głośniej krzyczą, że są prześladowani. Za rok kolejny festiwal. Pewnie nurtowały mnie będą po nim rozmaite pytania, niektóre inne niż te wyliczone dziś. Ale to jedno będzie takie samo, jestem pewien. I odpowiedź też będzie taka sama. © © Wszelkie prawa zastrzeżone



Filmowcy w kleszczach kaczyzmu



Remigiusz Włost-Matuszak

No i wykrakałem. Złote Lwy zdobył anglojęzyczny, brytyjski film Agnieszki Smoczyńskiej pt. „The Silent Twins”. Nie na darmo w jury „totalna opozycja” miała 80 proc. miejsc

Jako suport wieczornej gali 47. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni wystąpili Błażej Hrapkiewicz i zagłuszający go – ceniony za „odwagę” wypowiedzi – redaktor Łukasz Adamski. Obaj mówili jednocześnie. Krytyk Adamski wygrywał konkurs zagłuszania. Po kwadransie tej zabawy transmisja TVP przeniosła się do sali galowej. Publiczność, reprezentując „środowisko, które nie dało się podzielić” (cytat z Agnieszki Holland), ciągle była zmotywowana zwiastunem z inauguracji FPFF, w którym prezydentka wszystkich filmowców Europy stwierdziła: „W wypadku Polski to jest dość oczywiste, że żyjemy w świecie, gdzie cenzura (cenzura?!) powoli zaczyna przypominać cenzurę PRL-owską” (aplauz sali!). I dalej: „Kinu brakuje odwagi. Bardzo trudno jest dzisiaj mówić o trudnych rzeczach,

bo bardzo trudno jest zdobyć na nie pieniądze ze strony instytucji związanych z państwem” (czytaj: PISF, FINA i NCK). Tylko Polski Instytut Sztuki Filmowej co roku przekazuje filmowcom „tego kraju” ok. 160 mln zł dotacji bezpośrednich i ok. 240 mln zł z tzw. zachęt filmowych. Razem – ok. 400 mln zł. FilMOTEKA Narodowa Instytut Audiowizualny i Narodowe Centrum Kultury ze swoich funduszy przekazują filmowcom dalsze kilkadziesiąt milionów złotych.

Pani Agnieszka Holland kolejno raz mija się z prawdą i serwuje opinii publicznej propagandę w najgorszym stylu TVN i Onetu. Gdyby w III RP była cenzura, to Holland nigdy by nie mogła wygłaszać podobnych insynuacji w publicznej telewizji, a ona sama i jej rodzina nie mogłyby realizować napastliwych wobec katolicyzmu i Polski filmów.

Według wyliczeń dostępnych w Internecie Holland i jej rodzina oraz powi-nowaci w ostatnich latach „tych kosztownych czasów” dostali ok. 21 mln zł państwowych dotacji i honorariów. Antoni Komasa-Łazarkiewicz i Mary Komasa (oboje na emigracji w Berlinie) są najbardziej zapracowanymi kompozytorami muzyki filmowej w Polsce. Polityczny zwiastun (do obejrzenia na stronie internetowej 47. FPFF) jest autorstwa pilnego studenta Gdynińskiej Szkoły Filmowej. A kto jest szefem (rektorem?) GSF? Dyrektor FPFF Leszek Kopeć, który na inauguracji festiwalu zapewniał: „Cieszę się, że otwieram tegoroczny festiwal bez happeningów, które odbywały się wcześniej”. Po czym odbyła się projekcja majstersztyku agresywnej propagandy politycznej w postaci inkryminowanego zwiastuna, gdzie wykorzystano wypowiedzi od dawna nieżyjących Krzysztofa Kieślowskiego i Andrzeja Wajdy dla uwiarygodnienia wystąpienia Agnieszki Holland.

KOGO NAGRODZONO?

Przejdźmy do gali ogłoszenia nagród 47. FPFF. W „Do Rzeczy” nr 36/2022 postulowałem, by nagrodzić filmy: „Strzępy” Beaty Dżianowicz, „Śubuka” Jacka Lusinińskiego, „Orlęta. Grodno '39” Krzysztofa Łukaszewicza, „Iluzję” Marty Minorowicz i dalej i Cichą ziemię” Agi Woszczyńskiej, „Johnny’ego” Daniela Jaroszka i „Kobietę na dachu” Anny Jadowskiej. Obawiałem się, że jury nagrodzi „Głupców” Wasilewskiego, „10” Skolimowskiego i anglojęzyczne filmy Szumowskiej i Smoczyńskiej. No i wykrakałem. Złote Lwy zdobył anglojęzyczny, brytyjski film Agnieszki Smoczyńskiej pt. „The Silent Twins”. Nie na darmo w jury „totalna opozycja” miała 80 proc. miejsc. Jakże jury, takie i Złote Lwy. W zeszłym roku film o AgroUnii i „katolickim” LGBT pt. „Wszystkie nasze strachy”, a teraz brytyjskie bliźniaczki.

Na pierwszej i drugiej kolaudacji w PISF, patrząc w autentycznie piękne oczy reżyser Agnieszki Smoczyńskiej, gratulowałem jej szczerze zrealizowania świetnego, brytyjskiego filmu, którego angielscy reżyserzy powinni jej zazdrościć (ale który nie ma nic wspólnego z Polską i FPFF; powinien być prezentowany w sekcji „Polonica”). Jako pierwszy doceniłem też scenografię Jagny Dobesz (nagrodzoną w Gdyni), zdjęcia i muzykę. „The Silent Twins” to wybitny brytyjski,

FOT. ANNA REZULAK/FPFF

anglojęzyczny film ze świetnymi rolami amerykańskich i angielskich aktorek. Zachwyceni nim redaktorzy z Onetu i Wirtualnej Polski nie raczyli zauważyć, że ciemnoskórą emigrantkę z Barbadosu – siostry bliźniaczki – nie zostały skazane i umieszczone w zakładzie psychiatrycznym za milczenie, tylko za umyślne podpalenia, kradzieże itd. (rok 1980!). Dzisiaj zostałyby uniewinnione i dostałyby jedynie kuratora. Ciemnoskórą emigrantom wolno na Zachodzie więcej.

Agnieszka Smoczyńska, odbierając nagrodę, podkreśliła, że pochodzi „z kraju (ten kraj), który definiuje wykluczenie” (!), wskazując na rzekome antyimigranckie nastroje w Polsce. A te 5,5 mln imigrantów z Ukrainy? Te miliardy złotych przekazane na pomoc dla Ukraińców? Ponadto mamy narrację Kurdej-Szatan wspierającą zalanie Polski i UE milionami nielegalnych emigrantów z Azji i Afryki.

Srebrne Lwy zdobył „Filip” Michała Kwiecińskiego (zasłużenie), Beata Dżianowicz dostała nagrodę za debiut. Magdalena Rutkiewicz-Luterek zdobyła nagrodę za najlepsze kostiumy (film „Wesele” 2). Laureatka pozwoliła sobie

Sam PISF co roku przekazuje filmowcom „tego kraju”

ok. 160 mln zł dotacji bezpośrednich i 240 mln zł z tzw. zachęt filmowych

na długą tyradę wobec WFDiF za nieudostępnienie jej hal wytwórni na magazyn kostiumów itd. W WFDiF jest ponoć miejsce na hurtownie pism erotycznych i garnków itd., a minister „kultury i sztuki” (!) powinien natychmiast udać się do WFDiF i zobaczyć ten koszmar.

Filip Bajon otrzymał Platynowe Lwy za całokształt i trafnie stwierdził, że należy walczyć ze zmianą znaczenia słów.

Za scenariusz filmu „Śubuk” nagrodę dostali Jacek Lusiński i Szymon Augustyniak. Byłem filmem zachwycony i wzruszony. Dorota Pomykała (60 lat) zdobyła nagrodę za najlepszą rolę kobiecą festiwalu. Aktorka zagrała też rewelacyjnie w 2020 r. w filmie „Jakoś to będzie” Sylwestra Jakimowa (który to film nie może dotrzeć na ekrany FPFF). Nagrodę

za najlepszą rolę męską zdobył Piotr Trojan za film „Johnny”. Za reżyserię Jacek Bławut – „Orzeł. Ostatni patrol”. Świetny film „Iluzja” został wyróżniony tylko za drugoplanową rolę kobiecą Małgorzaty Hajewskiej-Krzysztofik.

GNIOT O GEJACH NA PODHALU

Z siedmiu filmów mikrobudżetowych za najlepszy uznano film o LGBT pt. „Słoń” w reżyserii Kamila Krawczyckiego. Film jest fatalnie zagrany gniotem o prześladowaniu gejów i psów na Podhalu. Daleko mu do filmów o tematyce LGBT, takich jak „Ostatni komers” Dawida Nikla czy „Matthias i Maxime” Xaviera Dolana. Reżyser ze sceny stwierdził, że „Pomimo wszystko, co się teraz dzieje – damy radę...”. Co takiego „dzieje się” reżyserowi, który za publiczne pieniądze z PISF zrealizował swój filmik i na pewno „da radę” nakręcić następne dotowane filmy?

Jury znalazło w sobie siłę i zignorowało faworytów środowiska: „IO” Skolimowskiego, „Głupców” Wasilewskiego (tylko 4409 widzów!), „Infinite Storm” Małgośki Szumowskiej czy „Wesele” 2 Smarzowskiego.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

29,90 zł ~~49,90 zł~~

TA KSIĄŻKA WSTRZĄSNĘŁA WSPÓŁCZESNĄ AMERYKĄ!

Książka zawiera odpowiedzi na najważniejsze, egzystencjalne pytania, które musi sobie stawiać współczesny człowiek. Ahmariemu pomaga w tym odwołanie się do życia wybranych duchowych mistrzów. To swoisty przewodnik na przyszłość dla syna autora, ale też dla każdego z nas. Książka głęboka, przenikliwa. Polecam.

–PAWEŁ LISICKI

Dodatkowe -5% z kodem

Ahmari

Kod ważny do
15 października

ZAMÓW NA WWW.ESPRI.COM.PL LUB
POD NUMEREM TELEFONU: 12 267 05 69

DARMOWA DOSTAWA OD 120 zł!

esprit



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Siwe wilki



★★★★★

SEZON 1

„STARY CZŁOWIEK”

(„THE OLD MAN”)

USA 2022

wyst. Jeff Bridges,
John Lithgow

Stary człowiek ucieka. Nie potrafią go zatrzymać ani zwykli policjanci, ani specjalna grupa operacyjna, ani nawet zawodowy kiler. Choć we łbie mu się miesza, włos siwy, a mięśnie już zwiotczałe, to Dan Chase (używa też innych nazwisk) to wciąż maszyna do zabijania. Trzydzieści lat wcześniej walczył z Sowietami w Afganistanie, u boku dobrze rokującego lokalnego watażki Faraza Hamzada. Szefom z CIA nie bardzo się to podobało. Teraz ktoś z jakiegoś powodu chce Chase’a dorwać, a trop oczywiście wiedzie w przeszłość. Połowaniem kieruje Harold Harper, dawny druh bohatera, który waha się, czy go uciszyć (na zawsze) czy uratować.

Wszystko to brzmi jak streszczenie B-klasowego thrillera szpiegowskiego, ale aktorzy weterani zamieniają „Starego człowieka” w opowieść równie emocjonującą, jak pierwsze sezony „Homeland”. Uciekiniera gra Jeff Bridges, łowcę John Lithgow; gdy dołożymy do tego sprytnie rozpisany na głosy narratorów z offu scenariusz, okazuje się, że rzecz działa nadspodziewanie dobrze. Zresztą zaraz po premierze pierwszego sezonu (siedem odcinków) zamówiono produkcję sezonu drugiego. Równie ważną rolę odgrywają w tej historii mocne postacie kobiece – piękna i tajemnicza żona Hamzada oraz przybrana córka Harpera, która jest jego prawą ręką w FBI. To



z nimi wiążą się tajemnice, które wprawiają w ruch fabułę.

Sporo tu dialogów o specyfice szpiegowskiego fachu, ale inspirowany powieścią Thomasa Perry’ego „Stary człowiek” szybko opuszcza terytoria moralnych szarości penetrowane ze znanostwem przez Johna Le Carre i zamienia się w emocjonujący thriller wzbogacony pomysłami z telenoweli (zrozumiecie, skąd to porównanie, gdy doczekacie rewelacji na temat tego, kto z kim i jak jest tu spokrewniony). Ładnym grepssem jest pozostawienie w niedopowiedzeniu informacji o tym, który „stary człowiek” jest tu właściwie najważniejszy, bo w starciu siwych wilków bierze udział przynajmniej pięciu stojących nad grobem graczy. Wyprodukowany przez sieć FX, a dystrybuowany w Polsce przez Disney+ serial to idealny przykład dobrej współczesnej telewizyjnej rozrywki, w której to, jak fabuła została opowiedziana, ważniejsze jest od tego, czy warto ją opowiadać. ©©



NOWE SERIALE: „OPERACJA RATUNKOWA W TAJLANDZKIEJ JASKINI”

Dokumentalna opowieść o wydarzeniach z 2018 r., kiedy to nagle ulewy uwięziły w jaskini Tham Luang młodzieżową drużynę futbolową wraz z trenerem. Dzieje ryzykownej akcji ratunkowej oglądaliśmy niedawno w filmie Rona Howarda „Thirteen Lives” (Amazon Prime), a rok temu w dokumencie National Geographic. Nowa

seria wyróżnia się tym, że ekipa pracująca dla Netflix (za reżyserię odpowiadają Kevin Tancharoen i Nattawut Poonpiriya) jako jedyna mogła nagrać świadectwa ocalonych chłopców. ©© **Piotr Gociek**

• miniseria „Operacja ratunkowa w tajlandzkiej jaskini” („Thai Cave Rescue”), Tajlandia/USA 2022

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- sezon 2 „Gwiezdne wojny: Parszywa zagra” („Star Wars: The Bad Batch”), USA 2022
- reż. Andrew Dominik „Blondynka” („Blonde”), USA 2022
- miniseria „Dziewczyna z Plainville” („The Girl From Plainville”), USA 2022

Trójkąt paryski

KINO

Miłość to przywilej młodości, ale nie nad Sekwaną. Tutaj panuje równość i nawet kobiety dojrzałe są zdolne do emocji na poziomie zadurzonych nastolatów. Scenariusz „Niewiernej” napisały dwie Francuzki w wieku emerytalnym, film nagrodzono na festiwalu w Berlinie. Któż by więc

śmiał podważać jego psychologiczną wiarygodność? Zaczyna się od idylli: Sara i Jean sprawiają wrażenie pary idealnej. W następnej scenie szczęśliwa małżonka ślania się jak rażona piorunem, widząc swego niegdysiejszego chłopaka. Na domiar złego François jest starym kumplem Jeana i po 10-letniej przerwie panowie znów chcą razem pracować. Dobiegająca zza kadru przemijająca muzyka nie pozostawia wątpli-

wości, że nic dobrego z tego nie wyniknie. Jak w greckiej tragedii, fatum dopadnie bohaterów bez względu na to, co zrobią. Atmosfera jest ciężka jak na dworze Putina, bo tylko w prawdziwym życiu czasem bywa śmiesznie. Oglądając „Niewierną”, łatwiej zrozumieć, dlaczego melo-



★★★★★
REŻ. CLAUDE DENIS
„NIEWIERNA”
 („AVEC AMOUR ET
ACHARNEMENT”)
FRANCJA 2021

wyst. Juliette Binoche, Vincent Lindon, Grégoire Colin

dramaty przeżyły rywalizację z komediami romantycznymi. Lindon ma 63 lata, Colin 47, na ekranie różnica wieku między mężem i enigmatycznym kochankiem wydaje się jeszcze większa. Wątek rasowy wyskakuje niczym królik z kapelusza. Ciemnoskórzy gwiazdor francuskiego futbolu bajdurzy o „przemocy egzystencjalnej”. Sartre by się zdziwił. A może i nie. ©

Wiesław Chełmniak



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

POŻEGNANIE Z ROZUMEM



★★★★★
REŻ. MARCIN ZIĘBIŃSKI
„KIEDY ROZUM
ŚPI”
POLSKA/
FRANCJA 1992

wyst. Jonathan Zaccai, Ute Lempert, Philippine Leroy-Beaulieu

Osobliwy prezent urodziny dla Janusza Gajosa. Rola podupadłego śpiewaka, choć rzuca się w oczy, jest wszak drugoplanowa. Reżyserski debiut Marcina Ziębińskiego przypomina „Rękopis znaleziony w Saragossie”. Mimo polskiego (w sporej części) wykonania ma francuską duszę. Akcja

rozgrywa się u schyłku epoki światła, w Austrii. Bohater, młody zegarmistrz, zostaje zaproszony do rezydencji zddziwaczałego wynalazcy, który zmarł, nie zostawiając spadkobierców. Co gorsza, zabrał do grobu sekret największego odkrycia. Maksymilian, zdeklarowany racjonalista, negując jego istnienie, naraża się wierzycielom nieboszczyka. Wpadnie w poważne kłopoty, lecz najbardziej zaboli go opinia pewnej damy, że „należy do świata piwa i kapusty”. Tytuł filmu zwiastuje nadejście nowej ery: czarnego romantyzmu. Znamienne, że po tak obiecującym początku Ziębiński całkiem się pogubił. Pięćdziesięciodwuletni Gajos wręcz przeciwnie.

DYLEMAT KŁAMCY



★★★★★
REŻ. ATTILA SZÁSZ
„NIEWIARYGODNA HISTORIA”
 („APRÓ MÉSÉK”)
WĘGRY 2019

wyst. Tamás Szabó Kimmel, Vica Kerekes, Levente Molnár

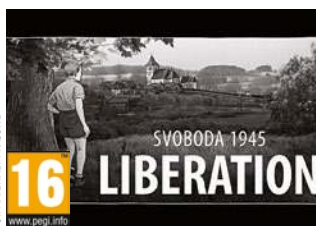
Czy ktoś udający bohatera może stać się nim naprawdę? Dylemat godny luminary polskiej szkoły filmowej. Twórcy „Niewiarygodnej historii” mieli trochę skromniejsze ambicje. Zamierzali wskrzesić noir, królujący w amerykańskim kinie w połowie lat 40. XX w. Węgry, ostatni sojusznik III Rzeszy, zostały wówczas przejechane stalinowskim walcem, a w zdemolowanym Budapeszcie odradzało się życie. Hankó radzi sobie lepiej niż inni, gdyż jest oszustem, ale gdy nasz młodzieniec przeholował, od razu wpadł w tarapaty. Ażyl znalazł w zabitej deskami prowinacji, w domu Judit, czekającej na powrót z wojny męża – myśliwego. Reguły gry są jasne. Gdy na horyzoncie pojawia się rudowłosa kusicielka, wiadomo, że nic nie uchroni widzów przed krwawym, choć w sumie banalnym finałem. Brawa dla słowackiej aktorki, jednak hollywoodzki odcień czerni uwodził skuteczniej. ©

recenzuje Wiesław Chełmniak

GRA TYGODNIA: „SVOBODA 1945: LIBERATION” (SWITCH)

Ta gra – podobnie jak w Polsce „This War of Mine” – mogłaby znaleźć się na liście lektur w naszych południowych sąsiadach. Trafiamy na pogranicze czesko-niemieckie do wioski Svoboda, by przyrzeć się pewnej starej sprawie. Szybko nasza mała historia miesza się z tą wielką i okazuje się, że

sprawa, której chcemy się przyrzeć ma związek z drugą wojną światową i późniejszą dyktaturą komunistyczną. Stare fotografie i przerywniki filmowe z relacjami świadków przypominają o okropieństwie wojny i komunistycznego reżimu. A gracz stara się odkryć rodzinne karty i tajemnicę



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

swojego dziadka. Czy przyłożył rękę do cierpienia swoich rodaków? ©

Radosław Wojtas

- Gatunek: przygodowa
- Platforma: Switch, PC, iOS
- Producent, dystrybutor: Charles Games, ConQuest Entertainment a.s.

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Poskaczcie sobie, **bękarty**

Po „Przedziwnej śmierci Europy” i „Szafeństwie tłumów” Douglasa Murraya, brytyjskiego pisarza nazywanego po imieniu głupstwa, oszustwa, występki oraz zbrodnie, dokonywane w imię obłąkanych, poprawnościowych teorii, nie trzeba specjalnie reklamować. Teraz, w „Wojnie z Zachodem” dostarcza argumentów na obronę cywilizacji zachodniej atakowanej dosłownie za wszystko, i to nie tylko w Trzecim Świecie, co od biedy można by zrozumieć, lecz także na swoim terenie, przez całe zastępy najprzeróżniejszych popaprańców, znajdujących bądź to szczególnie upodobanie w kulturowym masochizmie uprawianym dziś na gigantyczną już skalę, bądź najzwyczajniej kręcących lody i na swoim zaprzaństwie robiącym znakomite interesy.

Murray wzywa do obrony wartości utożsamianych z Zachodem, zadając przy tym pytania, zdawałoby się, retoryczne, jakże jednak rzadko, o ile w ogóle, stawiane. Choćby takie: Dlaczego przeniecujemy naszą przeszłość, skupiając się wyłącznie na popełnionych błędach, na wadach, jednym słowem nie wspominając o zaletach? „Každy uczeń – powiada autor »Wojny z Zachodem« – wie o niewolnictwie, lecz ilu potrafi opisać – bez sarkazmu, zażenowania i zastrzeżeń – wielkie dary tradycji zachodniej dla świata?”. Wykoncypowana przez cynicznych pseudonaukowców przy masowym wsparciu ewidentnych niedouków tzw. krytyczna teoria rasy wprowadziła do dyskursu społecznego nic innego jak rasizm właśnie. Stawiając pod ścianą białego człowieka już nie tylko jako podejrzanego o rasizm, lecz także z tego jedynie powodu, że ma taki, a nie inny kolor skóry, winnego całego zła mającego miejsce w przeszłości, dzisiaj i jutro. Fala protestów, która rozlała się dwa lata temu po zabójstwie George’a Floyda



FOT. ROBERTO RICCIUTI/GETTY IMAGES

w Minneapolis, osiągnęła pewnie wtedy swoje apogeum (choć co nas jeszcze czeka w tej materii, trudno orzec), ale warto pamiętać – przypomina Murray – że „już ponad trzydzieści lat temu wielbny Jesse Jackson rzucił podczas demonstracji na Uniwersytecie Stanforda hasło: »Hej, hej, ho, ho, zachodnia kultura musi odejść«”.

A czy wiedzą państwo, kto najbardziej się oburzał po tym, jak policjant pozbawił życia Floyda? Sprawdziłem to w trakcie lektury „Wojny z Zachodem”; oczywiście, że Chiny, które wyraziły solidarność z protestującymi, wzywając rząd USA do zagwarantowania obywatelom respektowania praw człowieka oraz podjęcia zdecydowanych działań w celu ochrony interesów mniejszości. W awangardzie „oburzonych” znalazły się również Rosja, Czeczenia, Iran i Kuba. Ale cóż, Chińczycy podlegają innym standardom i ani w części nie wywołują oni takiej wściekłości, jaka – czytamy – „codziennie wylewa się na Zachód z jego własnego wnętrza”.

A czy nasza chata jest z kraju? Nic podobnego. Bo naprawdę nie chodzi o żadne mniejszości (np. białych w USA ubywa, w przeciwieństwie do czarnych i brunatnych), ale o to, że wypuszczane zostają demony i potem za cały polityczny program wystarczy darcie mordy i skandowanie, by j... a to policję, a to władzę, a to cały system, szkołę i listę lektur; księży, wszystkich, z którymi nie

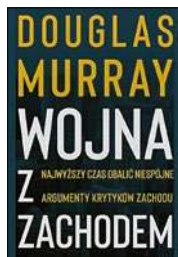
po drodze tym rewolucjonistom od siedmiu boleści, spóźnionym bękartom po Marksie usiłującym wywrócić świat dla samej zasady, bo – przepraszam za docieklivość – co mają do zaferowania?

Książka Murraya jest pewnie dla nas, w każdym razie taką była dla mnie, nazbyt anglocentryczna. Na przykład zachwyty autora nad postacią Churchilla, który jakoby niemal w pojedynkę pokonał Hitlera, potraktowałbym z należytym dystansem. Tak się jednak złożyło, że czytałem „Wojnę z Zachodem”, zerkając co chwilę w telewizor; na transmisję uroczystości pogrzebowych Elżbiety II, monarchini brytyjskiej, ale i kanadyjskiej. Jakoś nie wspomniano o tym, że w zeszłym roku w Winnipeg „rewolucjoniści” z hakami i linami w rękach ściągnęli z cokołu jej posąg. Zresztą Kanada w swoim dążeniu do antykanadyjskości przekroczyła już chyba wszelkie granice rozsądku i przyzwoitości.

Murray nie za mocno może, ale jednak stanowczo wzywa do kontrofensywy. A zacząć trzeba od łopatologii. No bo skoro świat białego człowieka jest obrzydliwy, to dlaczego tak się pchają do niego uchodźcy z Afryki i Azji? I czym każe się nam zastąpić Michała Anioła i Bacha? Hip-hopem? Czy tak trudno wzbudzić w sobie zwykłą ludzką wdzięczność za to, że egzystujemy na jakim takim poziomie, przy tym mogąc – czytamy – „podziwiać paryską Sainte-Chapelle, Cappella Sansevero w Neapolu, florencką Duomo czy dziesiątki tysięcy katedr, kościołów, kaplic i innych zabytków? Dlaczego nie mielibyśmy po prostu patrzeć i się cieszyć, że odziedziczyliśmy te skarby, że możemy pośród nich żyć?

Są to dary dla całej ludzkości”.

Niech będzie, że nawet dla tych, którzy na razie wykazali się tylko chęcią do j..... wszystkiego. Niech tam. ©e



★★★★★
DOUGLAS
MURRAY
„WOJNA
Z ZACHODEM”
ZYSK I S-KA,
POZNAN 2022



POCZYTANKI

Dwie utopie

Dla samego wstępu warto przeczytać nowe wydanie „Odysei kosmicznej 2001”.

Arthur C. Clarke opowiada, jak powstawały książka i film, z ilu opowiadań skompilowano całą historię, co i jak się zmieniało, co porzucono, przytacza anegdoty (kiedyś napisał o tym książkę „The Lost Worlds of 2001”). Tym, którzy tej historii nie znają, podpowiem tylko, że właściwie pisanie scenariusza i powieści było jednym wysiłkiem, owocem kilku miesięcy intensywnej współpracy ze Stanleyem Kubrickiem.

Wracam do książek Clarke’a nie dla fascynujących bohaterów czy wyszukanego języka (jednego i drugiego brak), ale dla ducha jego najlepszych książek („Odyseja...” jest jedną z nich). Króluje dziś przekonanie, że poza Ziemię pchać się nie ma po co, kosmos jest pusty i wrogi. Clarke wołał za Ciołkowskim powtarzać, że Ziemia to „kołyska rozumu, ale przecież wiecznie nie można żyć w kołysce”. Ten charakterystyczny dla dawnej SF optymizm wciąż niesie dzieła sir Arthura: „Fontanny raj”, „Imperialna Ziemia”, „Koniec dzieciństwa” (niedawno odkryłem, że tę ostatnią cenili wielcy C.S. Lewis; ciekawe, bo łatwo jej zarzucić wymowę antyreligijną).

Ten optymizm ma swoje granice. Skoro

w światach Clarke’a brak Boga, to jego miejsce zajmuje Ktoś. Potężny rozum, inna rasa, obcy i ten ktoś ingeruje w rozwój ludzkości i zmienia nas z małą w istoty rozumne – wracamy do fabuły „Odysei kosmicznej”, nie będę się rozpisywać, bo każdy ją zna. Potem obserwuje efekt eksperymentu. I ocenia. Nie będąc bogiem, bierze więc na siebie prawa boskie, bo decydować chce, czyśmy godni czy niegodni, gotowi albo nie do rzeczy większych. Lepsze to od prymitywnego heglizmu, który Asimov uprawiał w cyklu „Fundacja”. I zastanawiające: ta tęsknota za siłą wyższą, czymkolwiek by była, za przewodnikiem, pomocną dłońią. A że reszta tylko w naszych rękach? Wolną wolę mamy, między złem a dobrem wybieramy w każdej chwili, każdy to wie. Clarke’a jednak interesuje bardziej los zbiorowy. Czy my, jako ludzkość, zdołamy lepiej ukształtować naszą przyszłość. Ale nie ma takiego demosu, co zowie się

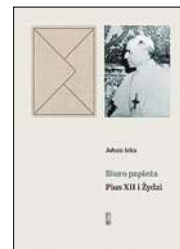
ludzkość; poza tym jedni chcą gwiazd, inni tylko chleba, a jeszcze inni podrzynania gardeł. Utopistą jest nie Clarke inżynier, lecz Clarke obserwator duszy ludzkiej. Łatwiej zbudować napęd międzygwiazdny lub windę orbitalną niż zjednoczony świat. Zresztą czy akurat takiego nam potrzeba? ©©



★★★★★
ARTHUR C. CLARKE
„ODYSEJA KOSMICZNA 2001”
REBIS 2022

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Praca fundamentalna dla odkłamania wizerunku Piusa XII i opisanie jego wysiłku na rzecz ocalenia narodu żydowskiego. Oparta na dokumentach kurii rzymskiej z czasów wojny, udostępnionych w 2020 r. przez papieża Franciszka



JOHAN ICKX
„BIURO PAPIEŻA. PIUS XII I ŻYDZI”
PIW

Ateny, rok 420 przed Chrystusem. Kto nosi himation, a kto peplos? Dokąd udać się na zakupy? Czy wróżbitów ceniono tak jak architektów, a lekarzy tak jak pieśniarzy? Świetne wprowadzenie w życie codzienne starożytności.



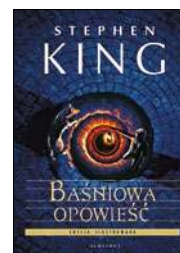
ROBERT GARLAND
„JAK PRZEŻYĆ W STAROŻYTNEJ GRECJI”
WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

Szkice o twórczości pisarskiej Bronisława Wildsteina. Wśród autorów m.in. Antoni Libera, Andrzej Waśko, Wojciech Kudyma, Maciej Mazurek. Całość uzupełniają fragmenty prozy oraz mało znany wywiad „Sztuka to epifania”.



AUTORZY RÓŻNI
„PISARZ WOBEC NICOŚCI I KŁAMSTWA”
ZYSK I S-KA

Wyprawa do baśniowej krainy Empis, którą uratować może jedynie przybysz z naszego świata – nastolatek Charlie. Nowa powieść Kinga przypomina, że bazar z niego przedni, wystarczy wspomnieć „Oczy smoka” czy „Talizman”. ©© **Piotr Gociek**



STEPHEN KING
„BAŚNIOWA OPOWIEŚĆ”
ALBATROS

KOMIKS TYGODNIA: „FADO ILUSTROWANE”

Historia wywiedziona ze słynnego obrazu „O Fado”, którego autorem był portugalski malarz José Malhoa (powstało kilka wersji w latach 1909–1910). Jorge Miguel wymyśla i dopisuje do tego, co uwiecznił Malhoa, dzieje oddanych na obrazie ubogiej fadistki i jej groźnie wyglądającego gitarzysty. Jednocześnie wplata w historię powstania dzieła (Malhoa jest jednym



JORGE MIGUEL
„FADO ILUSTROWANE”
TIMOF I CISI WSPÓLNICY 2022

z bohaterów komiksu) ważne chwile w historii Portugalii. Oglądamy zatem schyłek monarchii, działania spiskowców dynamitardów oraz proklamowanie republiki. ©©

poleca Piotr Gociek



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Łempicka. Po prostu

Blisko 40 prac Tamary Łempickiej z muzeów oraz prywatnych kolekcji z Europy i ze Stanów Zjednoczonych ściągnięto na wystawę do Muzeum Narodowego w Krakowie. Są to prace pochodzące z różnych okresów twórczości artystki – od lat 20. do 60. XX w. I te powszechnie znane, kojarzące się od razu z nazwiskiem Łempickiej portrety oraz akty będące dziś

symbolem stylu art déco i całej epoki w ogóle. I te znane mniej – martwe natury, kompozycje abstrakcyjne z lat 50. i impresyjne dzieła malowane szpachlą z lat 60. i 70. Są także dzieła o tematyce zaangażowanej społecznie.

„Obrazy, uderzające widza od pierwszego spojrzenia charakterystycznym stylem, kryją w swoim »manieryzmie« głęboki zmysł obserwacji świata i ludzi” – piszą organizatorzy wystawy, podkreślając, że głównym tematem twórczości Łempickiej był człowiek.

Twórczość to jedno, barwne życie, to publiczne w dużym stopniu przez Łempicką kontrolowane, to drugie. Stąd na wystawie zatytułowanej po prostu „Łempicka” także część poświęcona autokreacji artystki. ©©

GDZIE? Muzeum Narodowe w Krakowie
KIEDY? do 12 marca



FOT. PATRYK JEZERSKI



FOT. BARTOSZ ZIMERSKI

CYRK JAK TELEWIZJA

Cyrkowa arena przyciągała wszystkich bez względu na płeć, wiek, pozycję społeczną. Była rozrywką egalitarną, atrakcyjną i zrozumiałą dla większości. Fascynowała artystów. Za kuliszy tego wielobarwnego świata, w którym rozrywka i śmiech przeplatały się z cierpieniem i ze łzami, zabiera nas wystawa, którą jeszcze tylko przez kilka dni oglądać można w warszawskiej Królikarni. ©©

GDZIE? Muzeum Rzeźby im. Xawerego Dunikowskiego w Królikarni
KIEDY? do 2 października

NA SŁUCH

Świat bez złudzeń



GRZEGORZ BRZozowicz

Basista Rafał Borycki i perkusista Michał „Dimon” Jastrzębski, związani z zespołem Lao Che, wraz z gitarzystą Michałem Wójcikiem założyli Monofon dwa lata temu. O napisanie tekstów i ich zaśpiewanie poprosili Jacka „Budynia” Szymkiewicza. Zmarły w kwietniu 2022 r. lider zespołu Pogodno tłumaczył, że dostał zamówienie na opisanie „życia mężczyzny już po kryzysie wieku średniego, po przejściach czasem wykraczających poza dobry smak”. Zarówno teksty, jak i ich iście teatralna interpretacja są wielkim atutem tej płyty. „Budyni” (są to ostatnie nagrania wokalisty) tworzy obraz samotnika bez złudzeń, który z dystansem spogląda na swoją męską przeszłość. W swych

spowiedziach nie przypadkiem wykorzystuje fragmenty tekstów Kasi Nosowskiej i Krzysztofa Ostrowskiego (Cool Kids of Death), które definiowały czasy jego młodości.

Muzycznie to też jest płyta „przebrana”. Zamiast ścigania się na bity, elektroniczne pustki myślowe i skompresowane inspiracje, muzycy Monofona zwrócili się „do klasycznych, analogowych rozwiązań, wbrew aktualnie przyjętym metodom pracy”. Efekt jest rewelacyjny. Ta płyta buja za sprawą oldschoolowych brzmień klawiszowych, instrumentów perkusyjnych, smyczków czy pulsujących dęciaków. To zasługa również gości-przyjaciół, którzy swoją grą i deklamacjami (Magda Dubrowska) ubarwili całość. ©©



★★★★★
MONOFON
„MONOMIASTO”
MYSTIC



★★★★★
ARS LATRANS
ORCHESTRA
„Y2K”
AGORA

Ars Latrans jest projektem związanym z festiwalem sztuki o tej samej nazwie. Na drugiej płycie Orkiestra, wykorzystując współczesne, taneczne rytmy, opowiada o przełomach, które w muzykach zaszły na przełomie wieków. Kolorowo, pogodnie i w większości po angielsku.



★★★★★
THE AFGHAN WHIGS
„HOW DO YOU BURN?”
BMG

Po wydaniu przełomowych albumów „Congregation” i „Gentlemen” pionierzy grunge’u spuścili z tonu. Nowa edycja zespołu Grega Dulliego pływa w innych wodach. W brzmieniu dominują klawisze ze smyczkami i chóralne wokale, i tylko od czasu do czasu band toi należyć. ©©

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!



TYLKO U NAS!

**Kulisy mordu
na Mikołaju II**

Sean McMeekin – **Dlaczego bolszewicy wygrali?**

Mikołaj Iwanow – **Mroczna tajemnica Lenina**

Michał Patryk Sadłowski – **Śmiertelne błędy białych**

Tomasz Stańczyk – **Polacy w piekle rewolucji**

Jarosław Syrnyk – **Skąd się wzięli Ukraińcy?**

Blendi Fevziu – **Hoxha: krwawy dyktator Albanii**

Rafał A. Ziemkiewicz – **Dziaders i „Dziady”**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

Duet Wiktora Rubina i Jolanty Janiczak to ciekawy fenomen polskiej sceny. Ta para reżyserko-dramaturgiczna produkuje w teatrach repertuarowych spektakle, w których ładunek ideowy z założenia dominuje nad estetyką, zasłaniając mielizny reżyserii Rubina i pretensjonalny, najeżony napuszonymi sentencjami scenariusz Janiczak. Cuda te skrywają się pod kostiumem historycznym, bo pod pretekstem gawędy historycznej można opowiadać wszystko i o wszystkim, co brzmi poważnie oraz dobrze się sprzedaje, szczególnie na teatralnych festiwalach.

Nie inaczej było tym razem w Gnieźnie, w Teatrze im. Fredry. Fabułę spektaklu „Mrowisko: z życia dobrej służącej” da się krótko streścić: służąca, prosta wiejska dziewczyna, trafia do domu zamieszkanego przez dziwną galerię libertyńskich zwyrodnialców. Wykorzystana przez syna właścicieli zachodzi w ciążę i po porodzie, zdesperowana, porzuca noworodka w lesie. Złapana przez policję, staje przed sądem. Scenariusz uzupełniają wypisy z kilku książek poświęconych pracy służących w XIX i XX w., rozpisane na głosy i postaci. Mamy więc narratora-śledczego (Michał Karczewski), przewidywalnego i nudnego. Bo jaki ma być, skoro jako pars pro toto reprezentuje cały światowy patriarchyat? Mamy też rolę główną, służącą Zofię Stefaniak. Karolina Staniec z zaangażowaniem wciela się w tę postać i przy okazji, jak każe scenariusz, daje przypisy, w których „siebie wyjaśnia”. Bywa przekonująca, wiarygodna. Ale z tą wiarygodnością zwycięża monotonia, wypowiedziany w gadatliwym meta-komentarzu patos. Staniec jest tu jednym, prostym, krzyczącym znakiem – jedna zamiast milionów bezimiennych. Jest oskarżeniem, unieruchomiona, w posągowej, patetycznej pozie. Do tego wszystkiego Janiczak



FOT. DAWID STUBIE



Grzegorz Kondrasiuk

Meldowanie widowni, że świat jest od stuleci źle urządzony, to mało odkrywcze zajęcie. „Mrowisko: z życia dobrej służącej” da się krótko streścić: służąca, prosta wiejska dziewczyna, trafia do domu zamieszkanego przez dziwną galerię libertyńskich zwyrodnialców

nieustannie próbuje eseizować, nie biorąc pod uwagę faktu, że esej jest bardzo wymagającą i skrajnie nieateatralną formą. W rezultacie ze sceny wylewają się potoki jakiegoś dziwnego języka, napuszony, pretensjonalny zlepek inteligenckich dywagacji, kserówek z lektur filozoficznych i socjologicznych, podlanych mętną, pełną oczywistości poezją. Daje to efekt niezamierzonego komizmu, kiedy służąca odzywa się – pomiędzy wypowiedziami w języku prostego człowieka – tymi słowami: „Uczę się nowej choreografii”, „państwa potrzeby wyznaczyły mi mapę, plan, pejzaż zarówno wewnętrzny, jak i zewnętrzny”, „czekam na dyspozycję, niech się mój czas fizycznie wypełnia”.

Meldowanie widowni, że świat jest od stuleci źle urządzony, to mało odkrywcze zajęcie. Nie zauważa się tego, jeśli meldowanie takie odbywa się w kunsztownym języku albo w niepodobnej do innych metaforze teatralnej. Jest banalne i nużące, kiedy robi

się to w manierze weryzmu skatologicznego, przeplataną tanią ironią, spelzłą kopią z Brechta (piosenki), z elementami performance'u cielesnego (obowiązkowa nagość). Jest nużące, kiedy ci, którym przydzielono rolę złych i zepsutych, od początku do końca grają to samo i tak samo, na jednej nucie, w jednym ostrym kolorze emocjonalnym. Żli i zepsuci bogaci właściciele są od początku do końca żli i zepsuci, co przedstawiają repertuarem tych samych min, przegieć, wyuzdanych spojrzeń i gestów, władczych póz albo pełnego hipokryzji uśmiechu. Nie ma się co dziwić tej ubożyźnie środków, jest to profesjonalna robota zespołu idąca za scenariuszem i reżyserią – ponieważ każda scena, od początku do końca, jest o tym samym. Pozostają pytania do reżysera i scenarzystki. Dlaczego Ludwiczek – sprawca ciąży – jest grany przez kobietę i jest to jedyna podmiana płciowa w obsadzie? Za śmierć noworodków (z przywoła-

niem statystyk) oskarża się tu en bloc cały system społeczny kultury mieszczańskiej opartej na katolickim fundamencie światopoglądu i religii (parodie godzin, teksty w stylu: „Jak ma przestać być tak upokorzona, jak tylko Ewangelia mogła wymyślić?”). Tymczasem oprawcy w kostiumach (tak jak scenografia kiczowatych, przerysowanych, tautologicznych, a przecież camp też może, a nawet powinien być żartobliwy i wyrafinowany), w wypowiedziach i sposobie zachowania scharakteryzowani są na XVII-wiecznych libertynów. Dlaczego? I tak dalej...

W końcowej sekwencji z góry zjeżdża (na dwóch linkach, kiwając się na boki) wielki obiekt, aby po długich, przykrych sekundach krzywo wylądować w centrum sceny, niczym statek UFO na glamrockowym koncercie. Ma to być tytułowe mrowisko, w które Zofia wrzuciła noworodka, ale przypomina bardziej kupę liści albo siana... Przez cały spektakl obiekt dominował nad sceną, przyciągał wzrok, niepokoił, dręczył... Teraz gramoli się nań facet, ubrany zdaje się wyłącznie w pampersa. Czyżby ten spektakularny finał miał być nagrodą za dotrwanie do końca? ©©

JOLANTA JANICZAK
„MROWISKO: Z ŻYCIA DOBREJ SŁUŻĄCEJ”
REŻ. WIKTOR RUBIN
TEATR IM. ALEKSANDRA FREDRY W GNIEZNE



DODATEK SPECJALNY – część 14

Kościół wobec LGBT

- Stosunek Kościoła katolickiego do LGBT
 - LGBT w Kościele
 - „Lawendowa mafia”



WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPOONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO
SPRAWIEDLIWOŚCI



FUNDUSZ
SPRAWIEDLIWOŚCI

www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl
eprasa.pl 3b83f4e06f



Grzegorz Kucharczyk

Od „grzechu wołającego o pomstę do nieba” do „etyki inkluzywnej”

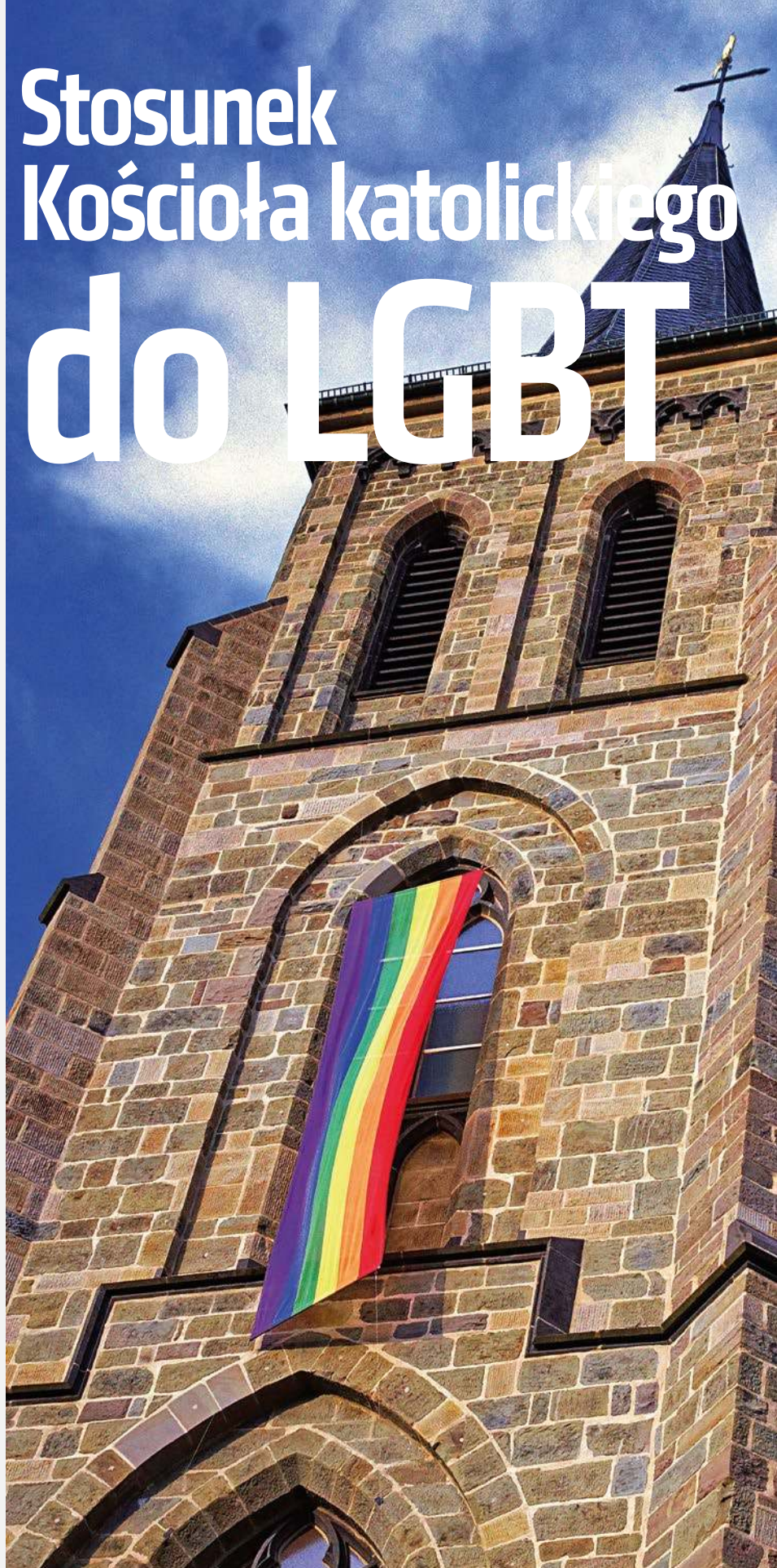
Wolę być wrzucony do cysterny, jak to się stało z patriarchą Józefem, który wobec ojca oskarżał braci o największe zbrodnie (Rdz 37, 24), niż być podobnym do kapłana Helego (1 SM 2, 23–26), świadka przestępstw swych synów, który milczał, aby nie narazić się na gniew Boży. Dlaczego mnie potępiać? To, co obecnie czynię przeciw rozwiązłości, św. Hieronim czynił przeciw arianom, św. Augustyn przeciw manichejczykom i donatystom”.

Zacytowane słowa pochodzą z XI-wiecznego traktatu „Liber Gomorianus” („Księga Gomory”), napisanego przez kard. Piotra Damianiego. Ten doktor Kościoła był jedną z czołowych postaci ruchu zmierzającego do odnowy Kościoła „in capita et in membra” (w głowie i w członkach). Ruch ten przeszedł do historii jako „reformy gregoriańskie” – od postaci papieża św. Grzegorza VII (1073–1085). Zazwyczaj kojarzony jest z tzw. walką o inwestyturę, czyli sporem między papieżem a cesarstwem, którego symboliczną kulminacją było ukorzenie się wyklętego cesarza Henryka IV przed Grzegorzem VII w Canossie.

Jednak emancypacja Kościoła rzymskiego spod władzy cesarzy (i jednocześnie królów niemieckich) nie była początkiem, ale zwieńczeniem ruchu rzeczywistej odnowy Kościoła. Najpierw musiał on wyzwolić się z cięższych oków – zaniedbania właściwego kultu Bożego i moralnej dyscypliny wśród duchowieństwa. Mozolna praca trwa długie dziesiątki lat za murami rozrastającej się benedyktyńskiej kongregacji z Cluny, która postawiła sobie za cel powrót do splendoru liturgii i surowości pierwotnej reguły św. Benedykta.

Z tą duchowością, z tym rozumieniem reformy Kościoła związany był autor „Księgi Gomory”, który cały ten traktat poświęcił krytyce przykładów moralnego upadku wśród duchowieństwa. Na czele tej listy przypadków zepsucia tych, którzy powinni wieść rzesze wiernych do zbawienia, doktor Kościoła wymieniał

Stosunek Kościoła katolickiego do LGBT



plagę homoseksualizmu, który szerzył się – jak podkreślał św. Piotr Damiani – wśród księży. Przyjawszy taki „styl życia”, nic nie chcieli oni słyszeć o konieczności odnowy Kościoła w „głowie” (papiestwo) i „członkach” (stan duchowny).

Zacytowane słowa „Księgi Gomory” były odpowiedzią autora na zarzuty już wtedy pojawiające się, że zwolennicy radykalnego oczyszczenia Kościoła z zepsucia moralnego grzeszą brakiem miłosierdzia wobec ułomnej ludzkiej natury. Kierowano pod adresem św. Piotra Damianiego retoryczne pytanie: „Czyż nie byłoby bardziej miłosiernie nie wiedzieć o takich okropnościach?”. Doktor Kościoła odpowiedział tak, jak zacytowano, i dodawał: „Moje sumienie mnie popiera. Nie szukam przychylności u żadnego śmiertelnika. Nie boję się gniewu nikogo z wyjątkiem Boga. Świadek mojego sumienia jest tym, do czego się odwołuję”.

CYWILIZACYJNE KONSEKWENCJE WALKI Z GRZECHEM

Na szczęście dla Kościoła i cywilizacji, która przy nim wyrosła, takich ludzi sumienia uformowanego w blasku prawdy było w XI w. więcej niż tych, którzy mylili miłosierdzie z pobłażliwością. Jeśli zważymy na fakt, że program zawarty w „Księdze Gomory” ostatecznie przyczynił się do emancypacji Kościoła spod przewagi władzy świeckiej, czyli triumfu cywilizacji łacińskiej nad „bizantynistami”, że uwolniony w ten sposób Kościół przyczynił się do rozkwitu cywilizacji christianitas z jej etosem rycerskim, gotyckimi katedrami i uniwersytetami – to widać wyraźnie, że walka z moralnym rozprężeniem wśród duchowieństwa (na czele z sodomią) miała cywilizacyjne konsekwencje trwające całe stulecia.

W epoce, w której żył św. Piotr Damiani, nauczanie o tym, że „grzech przeciw naturze” („grzech sodomski”) – jak nazywano homoseksualizm – należał do „grzechów wołających o pomstę do nieba”, nie było niczym nowym. Należało do wielowiekowej tradycji. Należy podkreślić, że w podobny sposób ujmowali tę kwestię twórcy reformacji protestanckiej. W Genewie rządzonej według nauk Jana Kalwina sodomii karano śmiercią.

Co innego część średniowiecznych ruchów heretyckich, które traktowały praktykowanie homoseksualizmu jako sposób walki z ciałem, które jest dziełem „złego Boga”. W ten sposób orgie

seksualne były usprawiedliwiane przez niektórych manichejczyków, znanych w średniowiecznej Europie jako katarzy (albigensi).

Nauczanie o tym, że „grzech przeciw naturze” to jeden z „grzechów wołających o pomstę do nieba”, należało do wielowiekowej tradycji

Z przypadkami homoseksualizmu wśród duchowieństwa walczyły trybunały Świętej Inkwizycji (zarówno tej rzymskiej – podporządkowanej papieżowi i biskupom, jak i hiszpańskiej – podporządkowanej władzom państwowym). Widziano w tym tyleż przejaw moralnej degeneracji, co symptom skażenia herezją (podejrzanie o manicheizm).

JUŻ MY WAM TAK ZMIENIMY KOŚCIÓŁ...

Ogłoszony w 1994 r. przez św. Jana Pawła II Katechizm Kościoła katolickiego nie kwalifikuje wprost homoseksualizmu jako „grzechu wołającego o pomstę do nieba”. Traktuje jednak aktywny homoseksualizm (wprowadza się bowiem rozróżnienie między czynami a skłonnościami) jako czyn „wewnętrznie nieuporządkowany”. Niemal po 30 latach od opublikowania Katechizmu nawet nazywanie czynów homoseksualnych jako „wewnętrznie nieuporządkowane” jest problematyczne dla wielu biskupów, na czele z obecnym biskupem Rzymu, który wypowiadając słynne już słowa: „Kim ja jestem, aby ich sądzić?” w reakcji na pytanie o jego stosunek do homoseksualistów (czy szerzej „ludzi LGBTQ”), dał do zrozumienia, że jak najdalej jest od „niemiłosiernej” postawy św. Piotra Damianiego i tych, którzy by chcieli w naszym stuleciu nawiązywać do programu XI-wiecznego doktora Kościoła.

Na naszych oczach spełnia się częściowo zapowiedź niezwykle cenionego przez papieża Franciszka kard. Waltera Kaspera z czerwca 2012 r., który niespełna rok przed abdykacją Benedykta XVI stwierdził podczas obrad niemieckiego Zjazdu Katolików w Mannheim: „Za 10, 20 lat Kościół będzie wyglądał zupełnie inaczej, niż jest dzisiaj, i bardziej będzie przypominał Kościół pierwotny”.

■ Prognoza niemieckiego purpurata ziściła się częściowo, ponieważ w 2022 r. zgadza się z rzeczywistością tylko pierwsza część zdania. Kościół – zwłaszcza w zakresie podejścia do nierozdzielności sakramentu małżeństwa czy do „ludzi LGBT” – rzeczywiście wygląda zupełnie inaczej niż jeszcze w 2012 r. Niemala w tym zresztą zasługa wypowiadającego te słowa kard. Kaspera, który w 2014 r. należał do głównych promotorów podłożenia „bomby atomowej pod katolickie nauczanie o małżeństwie” (prof. J. Seifert) w czasie synodu o rodzinie (tzw. synod rozwodowy).

Z pewnością nie ma to nic wspólnego z Kościołem pierwszych wieków, w którym nie znano pojęcia „duszpasterskiego towarzyszenia” służącego obecnie dla usprawiedliwiania życia w grzechu, w tym także w grzechu tradycyjnie określanym jako „wołający o pomstę do nieba”. Surowe pokuty nakładane w Kościele pierwszych wieków na grzeszników z pewnością nie mieszczą się w promowanej przez kard. Kaspera „rewolucji czułości i miłosierdzia” jako parawanu dla stopniowego rozmontowywania katolickiego nauczania o życiu rodzinnym i ludzkiej seksualności.

PRZYKŁAD DAŁ RAHNER

Niemiecki kardynał wie, co mówi, i wie, jak robić to, o czym mówi. Wywodzi się przeciw z Kościoła, który w ciągu półwiecza przeszedł drogę od buntu wobec Magisterium podtrzymującego w 1968 r. w encyklice Pawła VI „Humanae vitae” sprzeciw wobec antykoncepcji do błogosławienia od 2020 r. „związków jedнопłciowych”. Niezwykle wpływowy (nie tylko w Niemczech) teolog, o. Karl Rahner – do jego uczniów należy m.in. kard. Kasper – uzasadniał w 1968 r. konieczność odrzucenia „rygoryzmu” encykliki Pawła VI, twierdząc, że „co prawda, prezentuje ona jasne stanowisko, ale go nie udowadnia”, że zawarta w niej nauka nie jest nieodwołalna, a katolicy są wezwani do rozstrzygnięcia wszystkiego w swoim sumieniu, że dokument wskazuje „normę docelową”, która na podobieństwo linii horyzontu jest nieosiągalna, a co najwyżej można się do niej tylko zbliżyć.

Rahnerowskiej matrycy używają dzisiaj niemieccy duchowni, uzasadniając dokładnie w ten sam sposób swoje decyzje o błogosławieniu „związków jedнопłciowych”. Nauczanie Kościoła

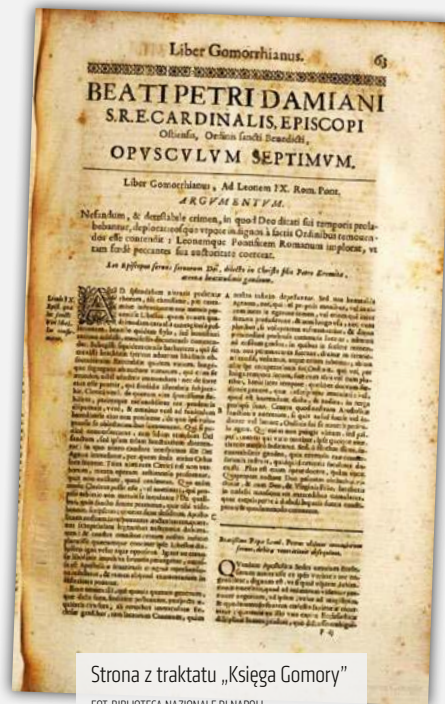


Święty Piotr Damiani na obrazie włoskiego malarza Andrei Barbianaiego. FOT. DOMENA PUBLICZNA

w odniesieniu do czynów homoseksualnych – mówią oni – jest zbyt wysoko ustawioną poprzeczką, do której można tylko się zbliżyć, że najważniejsze jest sumienie (zero wzmianek o jego formowaniu) i szczęście rozumiane jako dobre samopoczucie i fizyczna przyjemność. Pojawia się również pojęcie „etyki inkluzywnej” („nikogo nie wykluczamy”), do której odwołuje się metropolita Monachium kard. Reinhardt Marx, były przewodniczący Konferencji Episkopatu Niemiec, a dzisiaj jeden z głównych promotorów zmiany podejścia Kościoła do homoseksualizmu w ramach tzw. drogi synodalnej.

Zwolennicy tzw. etyki inkluzywnej dominujący na niemieckiej „drodze

synodalnej” często odwołują się w swoich planach wywrócenia moralnego nauczania Kościoła do miłosierdzia. Warto w tym kontekście przypomnieć słowa, które w 1980 r. do niemieckich biskupów zgromadzonych w Fuldzie wypowiedział św. Jan Paweł II: „Wielu pragnęłoby uczestniczyć w życiu Kościoła, ale nie widzą związku między światem, w którym sami żyją, a zasadami życia chrześcijańskiego. Uważa się, że Kościół tylko z powodu swej surowości trwa przy swoich normach i że sprzeciwia się miłosierdziu, które ukazał Jezus w Ewangelii. Nie dostrzega się twardych wymagań Jezusa, Jego słów: »Idź i nie grzesz więcej« (J 8, 11). Często odwołuje się w tych sprawach do własnego sumie-



Strona z traktatu „Księga Gomory”

FOT. BIBLIOTECA NAZIONALE DI NAPOLI

nia, zapominając, że sumienie jest okiem, które samo z siebie nie posiada światła, ale ma je wtedy jedynie, kiedy spogląda w prawdziwe Źródło Światła”.

Cały problem polega na tym, że według zwolenników „etyki inkluzywnej” ewangeliczna scena, do której nawiązywał JP II, kończyłaby się zupełnie inaczej, słowami: „Idź i nie przejmuj się więcej”. Bo przecież grzechu nie ma, jest tylko inna forma miłości, inna forma wierności oraz inny wyraz szacunku.

STRATEGIA „TAK, ALE”

W październiku 2014 r. kard. Marx w jednym z prasowych wywiadów stwierdził, że „wykluczenie nie jest językiem Kościoła”. Jako sakramentalne małżeństwo może być uznawany jedynie związek między mężczyzną a kobietą, „jednak nie można mówić, że wszystko jest czarne albo wszystko białe, wszystko albo nic”, ponieważ – podkreślał przewodniczący Konferencji Episkopatu Niemiec – „jeśli istnieje związek homoseksualny żyjący w wierności ponad 30 lat, to nie można powiedzieć, że to jest nic”.

W całej krasie mamy tutaj do czynienia z postawą „tak, ale”, którą biskupi niemieccy prezentowali już przy okazji odrzucenia „Humanae vitae” („tak” – werbalnie jesteśmy za zakazem antykoncepcji, „ale” – o wszystkim rozstrzygają w swoim sumieniu małżonkowie). Podobny wzorec argumentacji jest stosowany dzisiaj przy okazji forsowania w Kościele niemieckim zmian odnośnie do nauczania w sprawie homoseksualizmu. Co ciekawe, taki sposób myślenia prezentują również hierarchowie uchodzący w niemieckim episkopacie za „konserwatystów” (przynajmniej, zadanie dzisiaj niezwykle łatwe).

Metropolita kołoński kard. Rainer Maria Woelki – zdający się dystansować obecnie od najbardziej rewolucyjnych pomysłów propagatorów niemieckiej „drogi synodalnej” – występując w 2012 r. podczas Zjazdu Katolików (Katholikentag), jeszcze jako arcybiskup Berlina stwierdził, że „gdy dwie osoby homoseksualne biorą za siebie wzajemną odpowiedzialność, ich związek jest długotrwały i wierny, należy traktować ten związek podobnie jak związek osób heteroseksualnych”. Generalnie ówczesny metropolita berliński uważał, że „ten, kto podchodzi poważnie do katechizmu [Kościoła Katolickiego], nie powinien

widzieć w związkach homoseksualnych wyłączenie wykroczenia przeciw prawu naturalnemu”.

Arcybiskup Berlina Woelki jako pierwszy niemiecki hierarcha od września 2011 r. zaczął urządzać regularne spotkania z reprezentantami berlińskiego środowiska LGBT. Jesienią 2012 r. berliński Związek przeciw Homofobii przyznał kard. Woelkiemu coroczną nagrodę Respektpreis dla osób wiodących prym w walce z „homofobią”. Świeżo mianowany purpurat odmówił przyjęcia nagrody, ponieważ „dla niego jako katolika szacunek dla wszystkich ludzi jest oczywistością”.

UCIEŃ RATZINGERA I „BABA Z BRODĄ”

Przez długi czas za „konserwatystę” uchodził metropolita Wiednia, kard. Christoph Schönborn, należący do tzw. Ratzinger Kreis, czyli grona najwybitniejszych uczniów ks. prof. Josepha Ratzingera (przysłego „pancernego kardynała” i papieża Benedykta XVI). W 2012 r. kard. Schönborn nakazał jednemu z wiedeńskich proboszczów, wzdragającemu się przed przyjęciem do rady parafialnej aktywnego homoseksualisty, zmianę decyzji. Wiedeński metropolita uzasadniał swoje stanowisko tym, że skład rady parafialnej „odzwierciedla żywotność Kościoła. W swojej różnorodności odzwierciedlają oni różnorodność obecnych postaw względem życia i wiary”.

W maju 2014 r. wiedeński kardynał publicznie gratulował „babie z brodą” (Conchita Wurst), która wygrała konkurs Eurowizji, w następujących słowach:

„Jak wiemy, w Bożym ogrodzie jest wiele kolorów. Nie każdy, który urodził się mężczyzną, czuje się jak mężczyzna, i to samo odnosi się do kobiet. Tacy ludzie zasługują na taki sam szacunek, do jakiego my wszyscy jako istoty ludzkie mamy prawo”. Przy tej okazji kard. Schönborn wyraził swoje ubolewania, że „mniejszości seksualne ciągle spotykają się z nietolerancją”.

Z kolei w listopadzie 2014 r. w wywiadzie dla włoskiego dziennika „Corriere della Sera” ten sam purpurat podzielił się z czytelnikami wiadomością, że od lat zna parę homoseksualistów z Wiednia, która żyje „w wierności”. Dzielił się austriacki purpurat swoim wzruszeniem na widok ich zachowania w chwili choroby: „To było wspaniałe, po ludzku i po chrześcijańsku, patrzeć, jak jeden o drugiego się troszczył”. „Takie rzeczy należy uznawać” – konkludował kardynał z Wiednia.

DAMIANI CZY MARX?

W czasach św. Piotra Damianiego odnowiony duchowo i moralnie Kościół dobroczynnie oddziaływał na otaczający świat. Dzisiaj trudno oczekiwać od niemieckich czy austriackich chadeków, by zgłaszali sprzeciw wobec forsowanych przez lewicę projektów „małżeństwo dla każdego”, skoro w samym Kościele chwiał się ci, którzy mają umacniać braci w wierze.

Błogosławiony kard. Stefan Wyszyński, który wraz z kard. Karolem Wojtyłą należał do tych nielicznych członków Kolegium Kardynalskiego, którzy w latach 60. ubiegłego wieku powiedzieli zdecydowane non possumus wobec planów „dostosowania” moralnego nauczania Kościoła do potrzeb „współczesnego człowieka”, pod koniec 1966 r. mówił: „Mowa Chrystusowa od początku była twarda i do dziś dnia jest obrazą niepobożnych uszu. Najmilsi! Mało nas to interesuje, że ona jest twarda. Ważne jest dla nas to, że zbawia, że jest ratunkiem świata”.

Pytanie przed Kościołem dzisiaj jest proste i zarazem dramatyczne: Czy pójdzie za wizją odnowy św. Piotra Damianiego i bł. kard. Wyszyńskiego czy tą, którą prezentują kardynałowie Marx, Schönborn et consortes? Twarde słowa prawdy wiodącej do zbawienia czy wygodna „etyka inkluzywna” przystosowana do synodalnej „road to hell”?



Czego oni od nas

Na wstępie warto przypomnieć za prof. Jackiem Bartyzelem, że – owszem – LGBT jest ideologią. To szczególnie istotne, gdyż od pewnego czasu wyznawcy tejże próbują mieć opinię publiczną, wylewając łzy nad rzekomym „dehumanizowaniem” osób identyfikujących się z którąkolwiek z tych literek. Profesor Bartyzel dwa lata temu na łamach PCh24.pl precyzyjnie wypunktował poglądy i działania aktywistów ruchu występującego pod sztandą-



Krystian Kratiuk

Wydawać by się mogło, że naturalną drogą dla wyznawców ideologii LGBT byłoby opuszczenie szeregów Kościoła i niezawracanie sobie głowy jego wiarą i nauką. I rzeczywiście część z nich dokonała oficjalnych lub nieoficjalnych aktów apostazji. Niemala grupa jednak postanowiła zostać, by rozbić katolicką moralność od środka



FOT. ADRIAN STOK

porządku prawnego (w zakresie spraw dotyczących interesów grupy), panującej moralności oraz kultury społecznej.

Po czwarte, grupa wykształciła własny, specyficzny i pseudonaukowy język („nowomowę”).

I wreszcie po piąte, ruch preferuje działania prowokujące i obrażające przekonania moralne i poczucie smaku ogółu społeczeństwa oraz nie stroni od używania przemocy, a przynajmniej jej usprawiedliwiania, oraz domaga się cenzurowania opinii i zachowań nieprzychylnych celom ruchu.

Ruch polegający na promocji ideologii LGBT stanowi dziś w świecie zachodnim najprężniejszy, najbogatszy i odnoszący najwięcej sukcesów spośród wszystkich istniejących tam ruchów społeczno-politycznych. Koryfeusze tej ideologii potrafili przekonać do swoich poglądów liczne rządy państw, wielkie instytucje międzynarodowe, ośrodki kultury masowej i niemasowej, a także najlepiej prosperujące maszyny ze świata biznesu. Istnieje jeszcze tylko jedna ważna instytucja utożsamiana ze światem zachodnim, która nie przyznała racji ideologom tego ruchu. To Kościół katolicki. Dlatego to on stanowi dziś główny cel ideologów.

DWIE TAKTYKI

Jak w historii każdej rewolucji, tak w tej prowadzonej przez ruch LGBT istnieją dwie drogi niszczenia wrogów ideologicznych. Pierwszą z dróg stanowi oczywiście bezpośredni atak na wroga. I to jest właśnie droga, którą dobrze już rozpoznają Polacy.

Pamiętamy przecież antykatolickie wybryki aktywistów spod znaku tęczowej flagi, przyczepiających ją do drogiego warszawiakom pomnika Chrystusa przy Krakowskim Przedmieściu. Pamiętamy wpisywanie tęczowego logotypu w nimb Matki Bożej Częstochowskiej i obklejanie takim „dziełem sztuki” szaleńców. Pamiętamy także męczyznę przebranego za księdza symulującego odprawianie Mszy z durszlakiem na głowie podczas jednej z parad homoseksualistów (zresztą podczas większości z nich mamy do czynienia z antykościelnymi prowokacjami). To właśnie efekty przyjęcia jednej z taktyk przez część homośrodowiska: ataku na wroga. Objawia się ona oczywiście nie tylko ulicznymi happeningami, lecz także dziesiątkami materiałów prasowych i telewizyjnych atakujących Kościół,

duchowieństwo, katolików i katolicką moralność.

Ale istnieje także druga taktyka – próba przeniknięcia do szeregów wroga i przejścia jego instytucji. Z tym obrazem rewolucji również mamy dziś do czynienia, chociaż bardziej jaskrawo unaocznia się to katolikom na Zachodzie niż w Polsce.

MARSZ PRZES KOŚCIÓŁ

Postulowany przez Antonia Gramsciego i niezwykle skutecznie realizowany przez lewicę (w tym LGBT) „marsz przez instytucje” został już doskonale zdiagnozowany i wielokrotnie opisany przez konserwatywnych publicystów. Wiemy więc doskonale, w jaki sposób przedstawiciele nurtów rewolucyjnych zdobywali przyczółki kulturalne, w jaki sposób wpływają na społeczeństwo ich organizacje pozarządowe, jak i dlaczego zdobyli przychylną wielkiego biznesu oraz partii politycznych, rządów i organizacji takich jak Unia Europejska czy ONZ.

Rzadko jednak zdajemy sobie sprawę, że wciąż trwa próba marszu ideologów LGBT przez Kościół katolicki. I choć marsz ten trwa dłużej niż w przypadku innych instytucji, to ostatnimi laty przyspieszył, a kierujący nim aktywiści z coraz większą nadzieją spoglądają w przyszłość.

Opisany na tych łamach przez prof. Grzegorza Kucharczyka powolny proces zmiany mentalności katolickiego duchowieństwa w kwestiach dla homoseksualistów najważniejszych nie byłby przecież możliwy sam z siebie. Katolicy duchowni z dnia na dzień nie zmienili przecież zdania – nad ich formacją intelektualną od dziesiątków lat pracują zawzięcie grupy, które Kościół z jego tradycyjną tożsamością traktują jako wroga. Zdając sobie jednak sprawę z tego, że Kościół nie da się tak łatwo zniszczyć, postanowili go po prostu zmienić.

INFILTRACJA JAKO GRUNT POD LOBBING

Najbardziej spektakularną historią potwierdzającą tę obserwację pozostaje opisana przez nawróconą na katolicyzm byłą amerykańską komunistkę Belle Dodd operacja wprowadzenia do katolickich seminariów duchownych agentów komunistycznych. Dodd pod przysięgą zeznała, że sama brała udział we wprowadzeniu w amerykańskie struktury kościelne ponad tysiąca komunistów i... homoseksualistów. „W latach 30.

rem LGBT, uznając, że z politologicznego punktu widzenia jak najbardziej mogą być oceniane jako ideologiczne, gdyż:

Po pierwsze, stanowią zbiór przekonań niewielkiej grupy o sprecyzowanych interesach, używającej działań politycznych do radykalnej zmiany stosunków prawnych, społecznych i politycznych.

Po drugie, postulaty grupy dotyczą rudymentarnych instytucji społecznych.

Po trzecie, motorem aktywności tej grupy jest wrogość do istniejącego

■ wprowadziliśmy 1100 mężczyzn do kapłaństwa, aby zniszczyć Kościół od wewnątrz. Chodziło o to, aby ci ludzie zostali wyświęceni, a następnie wspięli się po drabinie wpływów i władzy jako prałaci i biskupi” – relacjonowała podczas sądowego przesłuchania. Co szczególnie ciekawe, pomysłodawcą wprowadzenia komunistycznej agentury do Kościoła katolickiego był Józef Stalin. Bella Dodd zwracała uwagę, że przywódca ZSRS w młodości był prawosławnym seminarzystą i doskonale zdawał sobie sprawę, jaką rolę w życiu wielu ludzi odgrywa religia i Kościół: „To on nakazał sięgać po ludzi bez wiary i moralności, by – zgodnie z zasadami sztuki wojny Sun Tzu – rozkładać społeczeństwo wroga od środka”.

Pomysłodawcą wprowadzenia komunistycznej agentury do Kościoła katolickiego był Józef Stalin

Historia ta pozostaje nie bez znaczenia dla dalszych losów lobbingu LGBT na ludzi Kościoła, który – m.in. poprzez tego typu zabiegi, a także przez pokładanie wiary przez część biskupów w inne fałszywe idee – po Soborze Watykańskim II popadł w olbrzymi, niespotykany w dziejach kryzys, zaczął coraz chętniej wsłuchiwać się w głosy nieortodoksyjne. Dotyczyło to wielu środowisk – zarówno przedstawicieli innych religii, jak i innych wrogich wierze oraz moralności ideologów.

Kryzys Kościoła objawiał się również rzecz jasna upadkiem moralnym niemałej części duchownych, którzy w końcu zdecydowali się otworzyć już nie tylko na argumenty innowierców, komunistów, liberałów, lecz także na lobbing liberynów i homoseksualistów. A niektórzy sami nimi zostali.

Wraz z powstaniem silnych ruchów LGBT zaczęły one działać również w Kościele. Najbardziej znanym ośrodkiem jest grupa skupiona wokół o. Jamesa Martina, amerykańskiego jezuitę, redaktora, osoby niezwykle wpływowej wśród katolików w USA. To zwolennik zmiany katolickiego nauczania na temat homoseksualizmu – postuluje błogosławienie par jedнопłciowych i krytykuje sprzeciw

Kościół wobec adopcji dzieci przez takie pary. Wspólnoty przez niego budowane mają wpływ na amerykańskich biskupów, a sam o. Martin występował na Światowym Spotkaniu Rodzin zaraz po papieżu Franciszku. W lipcu 2022 r. kard. Timothy Dolan porównał zaś pracę nad zmianą podejścia katolików do ideologii LGBT do ewangelizacyjnej misji apostołów (sic!).

Bardzo silne wewnątrzkościelne ugrupowania pro-LGBT istnieją również w krajach Beneluksu, w Wielkiej Brytanii i w Niemczech. Bez obaw o pomyłkę można stwierdzić, że osoby, które uległy czarowi „tolerancji”, stanowią większość wśród aktywistów katolickich w tych krajach. Dość powiedzieć, że sekretarz prominentnego Komitetu Niemieckich Katolików (ZDK) Marc Frings wprost stwierdził kilka tygodni temu, że celem tamtejszej „drogi synodalnej” jest zmiana nauczania Kościoła na temat homoseksualizmu. Dodał, że dokumenty „drogi” są „świadomą wypowiedzią przeciwko obecnemu katechizmowi katolickiemu, który od połowy lat 70. jest krytyczny i lekceważący wobec homoseksualizmu i nadal wytyka aktywność homoseksualną jako grzech”. Cytując dokumenty „drogi synodalnej”, Frings napisał również, że „pilnie wymagane jest uznanie równości i prawomocności orientacji nieheteroseksualnych, ich praktyk i związków, jak również wyeliminowanie dyskryminacji ze względu na orientację seksualną”.

To właśnie działalność takich lobbyistów – z których część sama praktykuje homoseksualizm lub „tylko” go promuje – doprowadziła nie tylko do bluźnierczej akcji błogosławienia gejowskich par w katolickich kościołach Niemczech w 2021 r., lecz także do prób wprowadzenia agendy ideologii LGBT do dokumentów Synodu Biskupów o rodzinie i Synodu Biskupów o młodzieży. Wówczas się to nie udało, wydaje się jednak, że dobiegający właśnie półmetka „synod o synodalności”, może wreszcie przynieść oczekiwane przez homoaktywistów rezultaty.

A W POLSCE?

Nad Wisłą od lat działają ośrodki mające to samo zadanie co na Zachodzie – przekonać biskupów, a także świeckich wiernych do zmiany mentalności, a po-



tem do nauczania moralnego Kościoła. Najbardziej znaną tego typu organizacją jest fundacja Wiara i Tęcza, której autoprezentacja na stronie internetowej wprost mówi o celach jej działania i doskonale obrazuje szersze cele LGBT-owskiego marszu przez instytucję Kościoła: „Działamy na rzecz chrześcijan homoseksualnych, biseksualnych, transpłciowych, niebinarnych i interpłciowych, opowiadając się za pełną akceptacją LGBT+ w Kościołach i w społeczeństwie. Uważamy, że każda orientacja seksualna i tożsamość płciowa jest darem od Boga i można ją pogodzić z wiarą. Sprzeciwiamy się wszelkim formom dyskryminacji osób LGBT+, zwłaszcza motywowanej religijnie, oraz wszelkim formom tzw. terapii reparatywnej. Tworzymy przyjazne środowisko, w którym polscy chrześcijanie LGBT+ są w pełni akceptowani – również ze swoją seksualnością, w którym mogą rozwijać swoją wiarę i życie duchowe. Staramy się przyspieszyć zmianę nauczania Kościołów w kierunku uznania pełnej wartości małżeństw i innych związków zawieranych przez osoby LGBT+, w tym tęczy rodzin wychowujących dzieci.

Wierzmy, że zmieniając świadomość wewnątrz Kościołów, przyczyniamy się do zwiększenia dobrostanu całego społeczeństwa”.

Zbudowana na Piśmie Świętym i Tradycji wiara katolicka – jak widać – ma zatem być mniej istotna niż wiara aktywistów w homoseksualizm i w „zmienianie Kościołów”.

Oczywiście w Polsce istnieją także silne katolickie ośrodki medialne promujące agendę LGBT. Do ich najsłynniejszych wspólnych działań w ostatnich latach należała kampania „Przekażmy sobie znak pokoju”, promowana m.in. przez środowiska „Więzi”, Znaku i „Tygodnika



Powszechnego”. Polskę zalały wówczas plakaty dwóch splecionych w uścisku dłoni, z których jedna ozdobiona była różańcem, a druga tęcza opaską. Od organizatorów akcji mogliśmy się dowiedzieć, że „osoby homoseksualne są w Polsce dyskryminowane ze względu na orientację, a postawa katolików się do tego przyczynia”. Postawa katolików – to znaczy wyznawanie przez nich zasad Bożego prawa zapisanych m.in. w podpisanym przez Jana Pawła II katechizmie.

W ostatnim czasie w Polsce z zaciekawieniem mediów głównego nurtu spotkała się jeszcze jedna inicjatywa katolików oparta na zachodnich, konkretnie niemieckich, wzorcach – mowa oczywiście o powstaniu Kongresu Katolików i Katoliczek. Jego liderzy także zapowiadali działanie na rzecz zmiany podejścia Kościoła do LGBT. Kongres organizował nawet spotkanie z Martinem Pendergastem, wpływowym brytyjskim działaczem LGBT (członkiem grupy LGBT Catholics Westminster Pastoral Council), a przy tym byłym karmelitą, który żyje w związku z mężczyzną. Zanim wystąpił z zakonu, organizował Msze

Święte dedykowane homoseksualistom, pragnąc – jak mówił – „połączyć ze sobą katolicyzm oraz homoseksualny sposób życia”.

PO CO TO WSZYSTKO?

Wydawać by się mogło, że ambicje przedstawicieli ruchu LGBT są bezsensowne. Wszak istnieje już wiele protestanckich wspólnot chrześcijańskich, które dawno temu zaakceptowały sodomie, nazwały kobiety księżmi, a nawet powołały na „biskupki” kobiety żyjące w lesbijskich związkach. Przecież osoby deklarujące, że potrzebują takiej swoistej wiary bez tradycyjnej katolickiej moralności, spokojnie mogą realizować swe potrzeby poza Kościołem katolickim. Ale przecież nie o wiarę osób o skłonnościach homoseksualnych chodzi. Chodzi o to, by cały świat zachodni, z najważniejszą jego instytucją, a więc Kościołem, przyznał im w końcu rację. Pobłogosławił. A najlepiej powiedział przy tym: róbta, co chceta, hulaj dusza, piekła nie ma. To dopiero będzie ostateczny triumf homoideologii.

Ideolodzy LGBT okłamują bowiem nie tylko te osoby o skłonnościach homoseksualnych, które rzeczywiście poszukują prawdziwej wiary (sugerując im, że to oni wiedzą lepiej, jak powinna wyglądać wiara katolików, niż katolicy przez dwa tysiące lat), lecz także – w celu zdobycia rzędu dusz – okłamują całe społeczeństwa.

Kłamią, że domagają się jedynie równouprawnienia – w rzeczywistości żądając specjalnych przywilejów (wszak porządek prawny nie odróżniał nigdy ludzi ze względu na zachcianki seksualne, każdy może założyć firmę albo nie, zawrzeć małżeństwo – mężczyzny z kobietą – albo nie).

**Wydaje się, że dziś nad Wisłą
jesteśmy już po oddaniu
szeroko rozumianej kultury,
ale jeszcze nie oddaliśmy
instytucji państwa**

Kłamią, mówiąc, że skoro nie jeden ksiądz to homoseksualista, to homoseksualizm powinien być dla katolików OK. Tak nie jest – bo nie jeden ksiądz może być również narkomanem, a to nie oznacza, że narkomania jest dobra.

Kłamią, mówiąc, że wprowadzenie „związków partnerskich” nie niesie ze sobą postulatów legalizacji „małżeństw jedнопłciowych” i adopcji – podczas gdy praktyka ostatnich lat uczy, że to zawsze następowało po sobie.

Kłamią też, sugerując, że katolicka nauka o homoseksualizmie jest okrutna, bo skazuje takie osoby na samotność i odbiera im radość życia. Tymczasem wiele pozycji spośród katalogu grzechów oferuje ludziom pozorną radość życia, ale w związku z tym nikomu nie powinno przychodzić do głowy odwoływanie przykazań Bożych, np. szóstego. Listę takich kłamstw można by wydłużać w nieskończoność.

CO DALEJ?

Kościół katolicki niestety, jak już wspomniałem, pogrążony jest dziś w niebywałym kryzysie, dotykającym absolutnie każdego fundamentu jego istnienia. Niewykluczone zatem, że w ciągu najbliższych lat homoaktywiści doczekają się jakichś dokumentów, być może nawet papieskich, podważających dotychczasowe nauczanie o czynach homoseksualnych i grzesznym stylu życia. Pamiętajmy jednak, że być może będzie to nauczanie któregoś synodu i części ludzi Kościoła początku XXI w., ale nigdy nie będzie to nauczanie katolickie. Ono bowiem pozostaje niezmiennie.

A polskim katolikom, słusznie załamującym ręce nad kryzysem Kościoła powszechnego, warto uświadomić dwie kwestie. Po pierwsze – ideologia LGBT w polskim Kościele i wśród polskich hierarchów nie odniosła jeszcze takiego sukcesu jak na Zachodzie. Wręcz przeciwnie – podczas synodu ds. rodziny polscy biskupi stanowczo bronili katolickiego nauczania.

Po drugie – warto pamiętać, że w czasach wzajemnego zblatowania hierarchów katolickich i postępowych władz świeckich biskupi krajów zachodnich zmieniali swoje podejście do homoseksualizmu już po tym, jak ideolodzy LGBT zdobyli dwa poprzednie przyczółki – instytucje kultury i popkultury oraz instytucje państwowe. To zawsze następowało w tej kolejności. Wydaje się, że dziś nad Wisłą jesteśmy już po oddaniu szeroko rozumianej kultury, ale jeszcze nie oddaliśmy instytucji państwa. Państwa, którego terytorium wciąż zamieszkuje większość nominalnych katolików.

LGBT w Kościele





Z ks. prof. Pawłem Bortkiewiczem TChr rozmawia Tomasz D. Kolanek

TOMASZ KOLANEK: Rok 2019. We Francji mają miejsce święcenia kapłańskie, które w ostatniej chwili zatrzymuje ówczesny prefekt Kongregacji ds. Kultu Bożego kard. Robert Sarah. Okazało się, że święcenia miały zostać udzielone kobiecie, która „zmieniła płeć” i w dokumentach miała wpisane, że jest mężczyzną. Czy takie święcenia, gdyby zostały przeprowadzone, byłyby ważne?

KS. PAWEŁ BORTKIEWICZ: Oczywiście nie. Kościół jednoznacznie orzekł i orzeka nadal co do podmiotu święceń kapłańskich, którym są mężczyźni. Tak jest z woli samego Chrystusa, który ustanowił apostołami mężczyzn, i to się w Kościele nie zmieniło.

Oczywiście w przywołanym przez pana przykładzie pozornie mamy do czynienia nie tyle ze święceniem kobiety, która „zmieniła płeć” i według prawa jest mężczyzną, ile – powiedzmy sobie szczerze – tzw. zmiana płci ma charakter wyłącznie nominalny, a nie realny. Ta osoba nadal pozostaje od strony swojej struktury biologicznej, genetycznej kobietą i jako taka po prostu przyjąć święceń nie może. Takie święcenia byłyby nieważne.

Dlaczego w związku z tym pojawiły się również w Kościele głosy, że kard. Sarah, mówiąc najdelikatniej, przesadził?

Pana pytanie jest bardzo zwięzłe, ale odpowiedź wymagałaby na pewno uwzględnienia wielu różnych aspektów. Najważniejszym z nich jest bez wątpienia inwazja rewolucji seksualnej, która rozpełzła się po całym świecie, a skoro po całym świecie, to niestety także po Kościele.

To jest jeden z najbardziej zasadniczych problemów współczesności. Żyjemy w dobie deformacji i degradacji znaczenia seksualności i płciowości. Pomimo wyraźnych wysiłków Stolicy Apostolskiej i poprzednich papieży – Jana Pawła II i Benedykta XVI – którzy jednoznacznie ukazywali wartość, godność ludzkiej płciowości, pomimo ukazywania się dokumentów poświęconych ludzkiej płciowości prawda o niej jest dzisiaj niestety zafałszowana także w samym Kościele.

Drugim czynnikiem generującym taki stan rzeczy jest ogromna presja ideologii

LGBT, która jest jednym z elementów trwającej rewolucji seksualnej. Ideologia ta jest równie zakłamana, co agresywna. Zakłamana, ponieważ odrzuca prawdę o ludzkiej płciowości, odrzuca z punktu widzenia teologii prawdę o stworzeniu człowieka mężczyzną i kobietą i w znaczeniu tym płciom konkretnego powołania osobowego. Jednocześnie jest to ideologia agresywna, domagająca się uznania roszczeń jako praw osoby ludzkiej.

Niestety, część katolików ulega tej narracji i daje się po prostu oszukać w tym zakresie, uważając, że żądania tej ideologii stają się wyrazem miłości bliźniego, miłosierdzia, poszanowania godności i praw człowieka. To jest oczywiście, mówiąc najdelikatniej, nieporozumienie, a mówiąc nieco dobitniej – wierutne kłamstwo.

Użył ksiądz profesor kilkakrotnie słowa „ideologia”. Odnoszę jednak wrażenie, że w Kościele LGBT nie jest postrzegane przez część kapłanów, teologów etc. jako ideologia, tylko jako ludzie...

Niestety, tak. Wśród części członków Kościoła ideologia LGBT zyskała „ludzkie oblicze”. Nie można jednak zapominać, że Kościół od początku bardzo mocno odróżnia zło obiektywne od winy konkretnego człowieka.

Kiedy spoglądamy na ideologię LGBT, to z jednej strony dostrzegamy zło systemowe, a z drugiej konkretnych ludzi, którzy mogą wpisywać się, brać czynny udział, współdziałać w budowaniu tego zła systemowego. Mogą oni zostać przez to zło uwiedzeni, mogą zostać w jakiś sposób wciągnięci, nie do końca świadomie, w tę sieć zła ideologicznego i stąd stopień ich odpowiedzialności jest bez wątpienia zróżnicowany. Nie zmienia to jednak faktu, że każda z takich osób w sposób mniej lub bardziej świadomy uczestniczy w złu, którego nie można nazwać inaczej jak złem, i to złem ideologicznym.

Dlaczego to zło ideologiczne próbuje na siłę wprowadzić się do Kościoła? Wystarczy przecież wywołać tzw. drogę synodalną, która ma miejsce w Niemczech, a także pomysły niektórych polskich biskupów, którzy na Synod o synodalności zapraszają organizacje LGBT. Można odnieść wrażenie, że to ideologia LGBT jest dzisiaj najważniejszym problemem w Kościele, a nie np. problem z wiarą wiernych, a nawet kapłanów w realną obecność Chrystusa w Najświętszym Sakramencie...

To, co pan przytoczył, jest niewątpliwie wyrazem tego, że niektórzy



FOT. ADRIEN STOCK

■ duchowni i wierni chcą, aby Kościół odwrócił się od Chrystusa i zwrócił ku światu. Aby odwrócił się od ducha Prawdy, a zwrócił ku duchowi czasu.

Być może część hierarchów Kościoła dostrzega w tym szansę dla siebie. Być może wierzą oni, że takimi działaniami uda im się poszerzyć liczbę członków Kościoła...

Liczbę członków?

Celowo użyłem słów „liczba członków”, a nie „liczba wiernych”, ponieważ są to co najwyżej członkowie nominalni, którzy zostaną ujęci w statystykach. Tacy ludzie nie mogą być wiernymi, czyli wierzącymi w Chrystusa i Jego słowa. To, co mówił Zbawiciel, wyklucza taką możliwość.

Rzeczywiście tzw. droga synodalna w Niemczech jest procesem, który ma na celu demokratyzację Kościoła. Tamtejsi hierarchowie próbują dostosować Kościół do jednej z wielu agend społecznych czy wręcz politycznych, zmieniając zarówno struktury władzy, jak i zasady przynależności do Kościoła. Problem polega na tym, że w takim procesie Kościół przestaje być Kościołem.

Jeżeli zaś chodzi o trwający Synod o synodalności, to w moim przekonaniu istnieje pewna dwoistość. W Kościele w Polsce pomimo przykładów, o których pan wspominał, generalnie temat ideologii LGBT nie jest mocno akcentowany, natomiast na stronach Synodu o synodalności w wersji międzynarodowej istnieje wiele wypowiedzi i opracowań, które wyraźnie próbują przeformatować stanowisko Kościoła w stosunku do tzw. osób LGBT. Są to np. materiały filmowe promujące działalność amerykańskiego jezuita o. Jamesa Martina. Są to działania wspierające jednego z holenderskich duchownych, który prowadzi ruch na rzecz ideologii LGBT i tzw. osób LGBT oraz ich miejsca w Kościele. Są to wypowiedzi niektórych hierarchów, m.in. ze Stanów Zjednoczonych, którzy wyraźnie domagają się radykalnej zmiany stosunku Kościoła do ideologii LGBT i tzw. osób LGBT. Przykłady można mnożyć.

Niestety, jest to zjawisko, które jest oficjalnie zamieszczane na stronach internetowych Synodu o synodalności i musi budzić nasz niepokój.

W polskich realiach to wszystko nie jest tak mocno akcentowane, a w wielu miejscach jest po prostu nieobecne, ale tak, jak pan zauważył, mamy poczynania

niektórych z biskupów, którzy z różnych powodów uznali, że problem obecności tzw. osób LGBT w Kościele to jedna z najistotniejszych kwestii do natychmiastowego rozwiązania. W pewnym sensie mają oni rację. Tak jak Kościół nie może pozostać obojętny w stosunku do osób niewierzących czy do osób mu wrogich, tak nie może pozostać obojętny w stosunku do tzw. osób LGBT, tyle że relacja Kościoła do tych osób musi być relacją wyraźnie działającą na rzecz nawrócenia tych osób, a nie akceptacji dla ich grzechu i jego promowania.

Święty Paweł pisał: „Nie wpręgajcie się z niewierzącymi w jedno jarzmo. Cóż bowiem na wspólnego sprawiedliwość z niesprawiedliwością? Albo cóż ma wspólnego światło z ciemnością? Albo jakż jest wspólnota Chrystusa z Beliarem lub wierzącego z niewiernym?” (2 Kor 6, 14–15). Takiej wspólnoty po prostu nie da się zbudować, bo ona jest wewnętrzną sprzecznością.

Kościół nie może pozostać obojętny w stosunku do tzw. osób LGBT, tyle że musi działać na rzecz ich nawrócenia, a nie akceptacji

Wywołał ksiądz profesor Jamesa Martina. Co ten człowiek robi jeszcze w stanie kapłańskim? Dlaczego nie został on nawet w odpowiedni sposób napomniany?

Nie potrafię odpowiedzieć na te pytania. Faktem jest, że zachowanie i wypowiedzi o. Jamesa Martina są niezwykle bulwersujące – m.in. te, w których sugeruje on, że ma kontakty z samym papieżem Franciszkiem, że ponoć ma aprobatę papieża dla swoich poczynania etc. Są to oczywiście informacje jednostronne, ale nie spotykają się one z żadnym dementi Biura Prasowego Stolicy Apostolskiej.

To wszystko budzi niepokój, ale ośmielię się powiedzieć z całą pokorą, że stanowisko Jamesa Martina pozostaje w rażącej niezgodności z doktryną Kościoła katolickiego.

Dlaczego więc nikt nie wyciąga wobec niego żadnych konsekwencji?

Powtórzę: nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. Dotykamy tutaj bardzo szerokiego zjawiska, które jest wielkim

problemem współczesnego Kościoła. Tym zjawiskiem jest erozja doktrynalna, która w ostatnich latach stała się bardzo dramatycznym faktem i jeszcze bardziej bolesną raną Kościoła. Stosunek Jamesa Martina do Ewangelii oraz stosunek urzędu nauczycielskiego Kościoła do Jamesa Martina to niestety dwa dobitne przykłady tej właśnie rany...

Jak ocenia ksiądz profesor sytuację, do których nagminnie dochodzi w USA i coraz częściej w Europie Zachodniej: podczas Mszy Świętej kazania wygłaszają tzw. osoby LGBT, które bardzo często wchodzą na ambonę z adoptowanymi dziećmi i opowiadają, jak bardzo są dyskryminowane przez Kościół i jak bardzo im się wszystko należy?

Dokumenty Kościoła jednoznacznie określają, kto ma przywilej, prawo, możliwość głoszenia Słowa Bożego, wygłaszania homilii w czasie Liturgii. Chociażby już z tego względu takie wystąpienia są złamaniem tych norm.

Osoby, które przyzwalają na takie coś, powinny być z miejsca pociągnięte do odpowiedzialności i muszą, podkreślam, muszą być wyciągnięte wobec nich konsekwencje co najmniej kanoniczne.

Jeśli zaś chodzi o tzw. osoby LGBT głoszące homilię. No cóż... Szczególnie bulwersującą sprawą jest to, że właśnie te osoby poprzez natarczywe trwanie w swoich skłonnościach seksualnych oraz w praktyce życia LGBT pozostają w niezgodzie z doktryną Kościoła, a praktyką moralną Kościoła i stąd też szerzą zamęt wewnątrz całej wspólnoty. Jest to bez wątpienia sytuacja będąca bardzo poważnym niebezpieczeństwem dla ludzi mniej zorientowanych, którzy żyją w ogromnym chaosie medialnym i łatwo myślą tolerancję z miłością bliźniego, akceptację zła z miłosierdziem etc.

Za to ponoszą jednak przede wszystkim odpowiedzialność ci, którzy sprawują daną Liturgię i którzy dopuszczają tzw. osoby LGBT do sprawowania Liturgii. Przypomnę: udział w Liturgii Słowa Bożego, czytanie Słowa Bożego, głoszenie homilii w czasie Mszy Świętej jest sprawowaniem Liturgii i może to robić jedynie kapłan, a nie ktoś inny.

Boję się, że takie sceny mogą niedługo mieć miejsce również w kościołach w Polsce. Niektórzy kapłani i hierarchowie twierdzą bowiem, że motu proprio papieża Franciszka należy interpretować następująco: jeśli wierny dostanie zgodę biskupa miejsca do wygłoszenia homilii, to proboszcz nie może mu tego odmówić.

Każdy biskup nie tylko podlega zwierzchności personalnej w osobie papieża, lecz także podlega wszystkim normom Kościoła, a te pozostają jednak jednoznaczne: nawet biskup nie ma prawa, aby w ramach Liturgii upoważniać kogokolwiek, kto nie jest wyznaczony przez dokumenty Kościoła do głoszenia homilii czy odprawiania Mszy Świętej, czego domagają się chociażby wierni i duchowni w Niemczech.

Czy to przypadek, że akurat w roku 2022 mamy do czynienia ze swego rodzaju erupcją tzw. osób LGBT w Kościele? Przecież coraz więcej kapłanów ogłasza, i to podczas Mszy Świętej, że są homoseksualistami...

„Nie ma przypadków, są tylko znaki” – jak mówił ks. Bozowski. Jest to zjawisko bulwersujące i bardzo bolesne. Nie potrafię wyjaśnić, dlaczego dzieje się to właśnie teraz, ale faktem jest, że obserwujemy jakąś eskalację tego typu sytuacji.

Widać wyraźnie, że mamy do czynienia z wielką wojną dobra i zła. Z jednej strony mamy do czynienia z próbą zatrzymania ideologii LGBT, a z drugiej coraz częściej podczas Mszy Świętej kapłan dokonuje tzw. coming outu. Moim zdaniem trzeba patrzeć na to szerzej – na bitwę cywilizacji miłości z cywilizacją pogardy dla miłości. Nie jest to walka teoretyczna, tylko rzeczywista.

Tutaj jednak znowu mamy do czynienia z niemal zerową reakcją Stolicy Apostolskiej. Kilka tygodni temu nowym przełożonym franciszkanów w Niemczech został zadeklarowany homoseksualista, który zapowiedział, że będzie reformował Kościół w duchu ideologii LGBT i haseł znanych z rewolucji francuskiej.

Ludzie, którzy deklarują takie postawy, prawdopodobnie nie zauważają, że są poza Kościołem. Ich działania będą raniły wspólnotę Kościoła, ponieważ człowiek głoszący idee sprzeczne z nauką Kościoła jest poza Kościołem. Tacy ludzie nie są w stanie dokonać żadnej reformy ani zrobić niczego konstruktywnego.

Jedyne, co mogą, to pójść drogą reformacji Marcina Lutra i dokonać aktu niszczenia Kościoła. Niestety, ale w poszczególnych wspólnotach lokalnych takie rzeczy już się dzieją.

Ubolewam nad tym, że brakuje jednoznacznych decyzji i działań ze strony Watykanu. Nie słyszymy wyraźnego głosu Kongregacji Nauki Wiary. To, co miało miejsce w roku 2019, kiedy

Metody, którymi posługują się siły zła, po prostu przybierają nowe formy, a celem jest zniszczenie Kościoła, rodziny, człowieczeństwa

Kongregacja ta negatywnie wypowiedziała się na temat błogosławienia tzw. związków LGBT, było, mówiąc najdelikatniej, niepoważne. Jaka była bowiem reakcja Kościoła w Niemczech? Był nią sprzeciw i zapowiedź, że tzw. związki LGBT będą błogosławione w kościołach w Niemczech. Jak zareagował Watykan? Milczeniem...

Mamy do czynienia z potwornym kryzysem autorytetu i kryzysem instytucji Kościoła. To bardzo bolesne i smutne zjawisko, ale tym bardziej musi nas to mobilizować jako wspólnotę, jako lud Boży, jako członków Mistycznego Ciała Chrystusa do tego, żebyśmy się jednoczyli z Chrystusem, który jest Drogą, Prawdą i Życiem.

Dlaczego dla ludzi, którzy chcą dokonać rewolucji w Kościele, tak ważną kwestią jest błogosławienie, a w przyszłości udzielanie ślubów tzw. związkom LGBT?

Jeżeli doszłoby do akceptacji takiego czegoś i rzeczywistego błogosławienia tzw. związków LGBT, to będziemy mieli do czynienia z ostatecznym atakiem na tradycyjne małżeństwo i rodzinę.

Proszę zauważyć, że atak na małżeństwo i rodzinę jest wpisany w tzw. agendę zrównoważonego rozwoju, która dzisiaj dominuje w światowej polityce i która w gruncie rzeczy ma charakter depopulacyjny. Kościół jest jedną z ostatnich instytucji, która opiera się... przepraszam: próbuje się opierać temu zjawisku. Robi się jednak wszystko, aby wciągnąć Kościół w to bagno antycywilizacyjne, aby służył on tzw. Wielkiemu Resetowi i przestał być Kościołem Chrystusa, a stał się Kościołem globalistów.

Ostatecznym celem będzie tutaj stworzenie jakiejś pseudoreligii, jakiegoś pseudo-Kościółu dostosowanego do świata i dominujących ideologii, w tym ideologii LGBT. Takie projekty są faktem, o czym możemy usłyszeć chociażby podczas Forum Ekonomicznego w Davos, ale nie tylko. Kościół od zawsze miał wrogów, którzy są również dzisiaj, którzy

mają konkretny plan, aby zniszczyć Kościół i nieustannie go realizują.

Metody, którymi posługują się siły zła, nie są szczególnie nowatorskie. One po prostu przybierają nowe formy, a ich celem jest zniszczenie Kościoła, zniszczenie rodziny, zniszczenia człowieczeństwa etc. Zdaję sobie sprawę z tego, jak brzmią moje słowa, ale takie są, niestety, fakty.

A co, jeśli obecny stan rzeczy, jeśli chodzi o ideologię LGBT w Kościele, to pokłosie wychowania przyszłych kapłanów w seminariach? Co, jeśli oni naprawdę wierzą w hasło „Przez LGBT do zbawienia” i promują całą tęczową agendę, bo nauczono ich, że to jedyna słuszna droga?

Niewykluczone, że umysły młodych kandydatów do kapłaństwa są zainfekowane takimi tezami. Każdy człowiek żyje w konkretnym świecie, spotyka się z różnymi wypowiedziami, tendencjami etc.

Nie wiem, w jakim stopniu taka „infekcja” ideologią LGBT ma miejsce w seminariach. Wiem jednak, że w ramach porządných wykładów z teologii moralnej trzeba uświadamiać przyszłym kapłanom prawdę o ludzkiej seksualności i płciowości. Należy konkretnie wyjaśnić, jakie jest podłoże biblijne oceny homoseksualizmu przez Kościół. Powinno się pokazać prawdziwą historię ruchu LGBT, która jest oparta na oszustwie Kinseya, który sam był dewiantem otoczonym przez dewiantów.

Mając na uwadze, że nasza rozmowa zbliża się do końca, chciałbym jeszcze zwrócić uwagę, że kwestie, o których rozmawiamy, mimo że są niezwykle bolesne, są mimo wszystko w mniejszości. Mogę powiedzieć z całym przekonaniem, że w mojej pracy spotkałem się dosłownie z kilkoma osobami w seminarium, które miały skłonności homoseksualne. Zostały one odpowiednio wcześniej rozpoznane, zdiagnozowane i usunięte z seminarium.

Wśród kapłanów, z którymi się spotykam, jest bardzo wiele postaci żyjących w pięknej czystości poświęconej Panu Bogu i chciałbym, żebyśmy nie spoglądali na Kościół i na kapłanów jedynie przez pryzmat tych spektakularnych i raniących Ciało Chrystusa postaci, tylko żebyśmy dostrzegli to, że istnieje potęga dobra w Kościele, która świadczy o tym, że Kościół jest dziełem Chrystusa Pana, który posługuje się ludźmi. Od początku w gronie „ludzi Chrystusa” byli zdrajcy, ale ostatecznie na pierwszym planie zawsze były, są i będą postacie, które kierują nas ku świętości.

„Lawendowa mafia”



Paweł Chmielewski

Wśród licznych problemów, z którymi zмага się dziś Kościół katolicki, niewiele jest tak palących jak działalność tzw. lawendowej mafii. W strukturach kościelnych w wielu państwach świata ukształtowała się nieformalna sieć powiązań między homoseksualnymi duchownymi, którzy wspierają się w karierze i stopniowo przejmują kontrolę nad kluczowymi obszarami i instytucjami

W Kościele dużo mówi się o zbrodni wykorzystywania seksualnego dzieci, ale rzadziej wspomina się, że ofiarą przestępców padają przede wszystkim chłopcy, zwykle w wieku 10–14 lat. To pokazuje, że nie mamy do czynienia z typową pedofilią, ale raczej ze zbrodniami motywowanymi przez skłonności homoseksualne. W Polsce nie przeprowadzono jak dotąd żadnego poważnego badania analizującego problem wykorzystywania nieletnich, co może być związane z brakiem rozliczenia współpracy części duchownych z aparatem bezpieczeństwa PRL. W kilku zachodnich krajach udało się jednak wykonać obszerne analizy. Jedną z nich, tzw. MHG-Studie, opublikowano w 2019 r. w Niemczech. Niezależni eksperci, pracujący na zlecenie episkopatu, przebadali przypadki wykorzystywania nieletnich przez duchownych w latach 1946–2014. Studium pokazało, że przestępczych czynów na dzieciach dopuściło się w tym okresie 5,1 proc. spośród księży, których akta wzięto pod lupę. 62,8 proc. ich ofiar stanowili chłopcy, przede wszystkim w okresie doj-

rzewania. Badanie zostało w kolejnych latach zweryfikowane przez szczegółowe studia diecezjalne; ostatnio podano dane dotyczące zachodnioniemieckiej diecezji Münster, gdzie potwierdzono ogólną tendencję molestowania przez księży przede wszystkim chłopców (ponad 60 proc. przypadków).

MHG-Studie opublikowane w Niemczech pokazało, że 62,8 proc. ofiar księży stanowili chłopcy, głównie w okresie dojrzewania

Jeszcze większy odsetek ofiar płci męskiej odnotowano w Stanach Zjednoczonych. W 2004 r. John Jay College of Criminal Justice z Nowego Jorku opublikował gruntowne badanie przygotowane na prośbę Episkopatu USA, znane jako John Jay Report. Wynika z niego, że w latach 1950–2002 ok. 4 proc. wszystkich amerykańskich księży dopuściło się





nadużyć. 81 proc. ich ofiar było płci męskiej, z czego 51 proc. miało od 10 do 14 lat. Wykorzystywanie miało przeważnie ciężki charakter: sprawcy tylko w nielicznych przypadkach ograniczali się do dotykania ofiar przez ubranie, o wiele częściej dotykali ich ciał pod ubraniem, a w ponad 25 proc. przypadków dochodziło do pedofilskich stosunków seksualnych.

Ofiary o podobnym profilu dominują też we Francji. Przygotowane z inicjatywy tamtejszego episkopatu badanie z 2021 r. bywa wprawdzie krytykowane za przyjętą metodologię, która mogła skutkować ogólnie nieco rozdętą liczbą ofiar, ale tak czy inaczej proporcje płci i wieku są jednoznaczne: 80 proc. ofiar było płci męskiej, zwłaszcza w wieku od 10 do 13 lat.

Wykorzystywanie seksualne w Irlandii istniało też w szkołach dla dziewcząt, ale na mniejszą skalę, nie było problemem „systemowym”

Z kolei badanie z Irlandii, znane jako Ryan Report, opublikowane w roku 2009, mówiło o „endemicznym” wykorzystywaniu seksualnym w katolickich szkołach dla chłopców; w szkołach dla dziewcząt problem nadużyć również występował, ale według autorów badania na o wiele mniejszą skalę – nie był „systemowy”.

HOMOSEKSUALIZM SPRAWCÓW

Próżne byłoby wobec takich danych zakładywanie związku między plagą wykorzystywania nieletnich a skłonnościami homoseksualnymi części duchowieństwa. W niemieckim badaniu MHG-Studie podano na podstawie wywiadów przeprowadzonych z oskarżonymi, że aż 72 proc. sprawców wykorzystywania mogło być homoseksualistami. Na podstawie innych metod badawczych taka orientacja seksualna została w studium wyraźnie „stwierdzona” u 19 proc. sprawców. Autorzy badania podkreślili, że to ponad trzykrotnie więcej niż wśród sprawców wykorzystywania nieletnich w innych instytucjach, np. w szkołach. Według MHG-Studie typowych pedofilów było wśród przestępczych księży tyłu, ■

FOT. ADRIEN STUCK

■ ilu bywa gdzie indziej (ok. 28,2 proc. sprawców).

„GEJOWSKA KULTURA” W SEMINARIACH

Wykorzystywanie dzieci to tylko część problemu. Nieznana jest skala nadużyć wobec dorosłych, zwłaszcza wobec seminarzystów. Problem napastowania kleryków jest tymczasem niezwykle poważny. W 2020 r. Stolica Apostolska zamknęła seminarium kapłańskie w Kaliszu. Dwa lata wcześniej ówczesny rektor tej placówki, ks. dr Piotr Górski, złożył do nuncjatury skargę na bp. Edwarda Janiaka, m.in. z powodu „tolerowania aktywnego homoseksualizmu wśród duchownych”, o czym mówił publicznie w prasie. Wiele lat temu podobne skandale wstrząsały diecezją płocką.

Nie jest to polska specyfika. W roku 2016 arcybiskup Dublina Diarmuid Martin podjął decyzję o tym, by kierować kleryków do Kolegium Irlandzkiego w Rzymie zamiast do seminarium w Maynooth, gdzie, jak mówił, rozpowszechniła się „gejowska kultura”; seminarzyści mieli chętnie korzystać z aplikacji Grindr służącej do umawiania się na homoseksualny seks (korzystanie z tej samej aplikacji kosztowało w 2021 r. posadę ks. Jeffreya Burrilla, sekretarza generalnego Episkopatu USA). Z kolei w roku 2004 austriacki magazyn „Profil” opublikował zdjęcia rektora i wicerektora seminarium w St. Pölten, na których całowali seminarzystów; wcześniej na komputerach w seminarium znaleziono duże ilości materiałów z dziecięcą pornografią (w wyniku skandalu funkcję subregensa seminarium utracił ks. Wolfgang Rothe, w Polsce znany z oskarżeń skierowanych przeciwko ks. prof. Dariuszowi Oko). To oczywiście tylko kilka przykładów, bo fenomen jest dość stary. Benedykt XVI zwrócił kilka lat temu uwagę, że w latach 60. w wielu seminariach „ukształtowały się homoseksualne kluby, które działały mniej lub bardziej jawnie”. W intrygujący sposób zjawisko przejmowania seminariów przez „lawendowe kliki” opisał Michael S. Rose w książce „Żegnajcie, dobrzy ludzie”, pokazując problem na przykładzie Ameryki, zwłaszcza w latach 90. Gejowskie szajki prześladowały heteroseksualnych i pobożnych kleryków, promując rozpustę i doktrynalny modernizm.

OTWARTA LISTA HAŃBY

Rozwiązanie problemu utrudnia umocowanie „lawendowej mafii” w struktu-

Doniesienia o sprawie abp. Paetza trafiły do św. Jana Pawła II wyłącznie dzięki ekstraordynaryjnym zabiegom Wandy Półtawskiej

rach Watykanu. Z polskiej perspektywy szczególnie godna uwagi jest sprawa abp. Juliusza Paetza. Został on w roku 1982 biskupem diecezjalnym w Łomży. Nominacja przerwała jego karierę w Stolicy Apostolskiej. Jak mówił publicznie szef KAI Marcin Przeciszewski, w Watykanie postanowiono pozbyć się go ze względu na domniemane skłonności homoseksualne. Charakterystyczne, że decydenci nie widzieli w tej sytuacji przeszkód, aby uczynić go biskupem w Polsce – nie chcieli jedynie, aby taki człowiek przebywał w samym Rzymie.

Nad Wisłą Juliusz Paetz ustawił się znakomicie, osiągając wreszcie metropolię poznańską. Doniesienia o molestowaniu przezeń kleryków trafiły po wielu latach do ucha św. Jana Pawła II wyłącznie dzięki ekstraordynaryjnym zabiegom Wandy Półtawskiej, która musiała pominąć wszelkie oficjalne drogi dotarcia do papieża. Do dziś nikt nie odpowiedział za karierę Paetza, o czynach nie wspominając. Decyzja o tym, by pochować go poza katedrą w Poznaniu, to tylko symboliczne przyznanie przez władze Kościoła, że sprawa nie była bynajmniej „czysta”.

Krycie homoseksualnych ekscesów przez Watykan to powracający schemat. W sierpniu 2021 r. bp Tomé Ferreira da Silva z Brazylii złożył rezygnację na ręce papieża, którą Franciszek przyjął. Da Silva pełnił posługę ordynariusza diecezji São José do Rio Preto od 2012 r. Oskarżenia o molestowanie kleryków pojawiły się już w 2015 r. Watykan przeprowadził dwie kontrole; jedna z nich wykazała, że w diecezji panuje rozpustna atmosfera. Pomimo tego nie wyciągnięto żadnych konsekwencji. Przełomem okazała się dopiero publikacja filmu, na którym biskup onanizował się podczas połączenia wideo z innym mężczyzną. W tej sytuacji nawet ewidentne watykańskie „plecy” nie były w stanie go ochronić.

W marcu 2022 r. na cztery i pół roku więzienia skazany został bp Gustavo Zanchetta, były ordynariusz diecezji Orán w Argentynie. Sąd uznał, że Zanchetta

uwodził kleryków, którym dawał prezenty i których, wykorzystując swoją władzę, skłaniał do kontaktów seksualnych. Sprawy Zanchetty nie byłoby nigdy bez publikacji w roku 2015 zdjęć jednoznacznie wskazujących na jego homoseksualną aktywność. Sprawa biskupa ciągnęła się długo, bo w jego obronie stanęło wielu wpływowych ludzi Kościoła, w tym sam Franciszek. Papież pozwolił mu osiedlić się w Watykanie i obdarzył go synekurą w Domu św. Marty. Nie wiemy, jakimi racjami się kierował, ale ostatecznie sąd przyznał rację molestowanym klerykom.

Sprawy byłego kardynała Theodore’a McCarricka nie ma nawet sensu opisywać: jeden z najważniejszych kardynałów w Stanach Zjednoczonych, który współdecydował przez całe lata o nominacjach biskupich w Ameryce, okazał się wyjątkowym rozpustnikiem, odpowiedzialnym za wykorzystywanie wielu młodych mężczyzn. Dzięki olbrzymiej siatce wpływów pozostawał bezkarny przez kilka dziesięcioleci, aż do momentu, w którym został oskarżony o wykorzystanie nieletnich. Dopiero wówczas McCarrick spektakularnie upadł; wcześniejsze doniesienia o kontaktach intymnych z dorosłymi nie wywoływały żadnej reakcji.

CASUS ŚREDNIOWIECZA

Kościół katolicki z problemem homoseksualizmu duchownych zmagają się nie pierwszy raz. Niedawno ukazało się w Polsce tłumaczenie napisanej w XI w. „Księgi Gomory” św. Piotra Damianiego. Ten doktor Kościoła w dedykowanym papieżowi dziele skupił się wyłącznie na pladze rozpusty wśród duchowieństwa. Choć ówczesny Kościół zmagał się z wieloma trudnościami, to święty uznał właśnie homoseksualizm za problem priorytetowy. Dzięki wysiłkom naprawczym podjętym przez św. papieża Grzegorza Wielkiego degrengoladę moralną udało się przezwyciężyć i Kościół odzyskał siły konieczne do skutecznego głoszenia Ewangelii i budowania chrześcijańskiego ładu.

Dzisiaj potrzebny jest analogiczny wysiłek. Na razie zmagania z problemem homoseksualizmu duchownych są płonne, choć trwają od kilkudziesięciu lat. Już w 1961 r. – jeszcze przed Soborem Watykańskim II, za pontyfikatu św. Jana XXIII – Watykan opracował instrukcję „Religiosorum institutio”, która wprowadziła wyraźny zakaz przyjmowania do zakonów i wyświęcania tych, którzy „dotknięci są

złymi skłonnościami do homoseksualizmu lub pederastii”. Pokazuje to, że problem homoseksualizmu wśród duchowieństwa zaczął być w ocenie przynajmniej części hierarchów Watykanu poważny wiele lat przed wybuchem rewolty 1968 r. Niestety, atmosfera „otwartości”, która opanowała Kościół przy okazji Soboru Watykańskiego II, i świecki duch lat 60. sprawiły, że instrukcja „Religiosorum institutio” nigdy nie została skutecznie wdrożona w życie. „Zapomniano” o niej, pozwalając sprawom toczyć się własnym rytmem, co przyniosło katastrofalne konsekwencje. W dodatku w ogólnym klimacie permissywizmu i zafałszowanego obrazu miłosierdzia podjęto decyzję o złagodzeniu przez Kodeks prawa kanonicznego z 1983 r. kar nakładanych na rozpustnych duchownych.

CZASY PRZEŁOMU

Bardziej systematyczna próba rozwiązania problemu została podjęta dopiero u schyłku pontyfikatu św. Jana Pawła II. Było to absolutnie konieczne w związku z nagłaśnianiem od lat 90. przypadków wykorzystywania seksualnego dzieci przez księży w Stanach Zjednoczonych. Tło homoseksualne tych przestępczych ekscesów było w związku z profilem ofiar oczywiste. W 1995 r. wybuchła dodatkowo olbrzymia afra wokół arcybiskupa Wiednia kard. Hansa Hermanna Gröera, oskarżanego o utrzymywanie homoseksualnych relacji z młodymi mężczyznami. Purpurat nie został nigdy skazany, ale specjalna watykańska komisja uznała zarzuty za uzasadnione.

Skandal wstrząsnął całym Kościołem niemieckojęzycznym, a zaangażowany w jego rozwiązywanie był m.in. ówczesny prefekt Kongregacji Nauki Wiary, kard. Józef Ratzinger. Pod jego kierunkiem przygotowywano przez wiele lat nowe przepisy dotyczące homoseksualizmu kandydatów do kapłaństwa. Zostały ogłoszone jako „Instrukcja dotycząca kryteriów rozeznawania powołania w stosunku do osób z tendencjami homoseksualnymi” w 2005 r., już za pontyfikatu Benedykta XVI. W instrukcji zawarto zakaz przyjmowania do seminariów i wyświęcania kandydatów „wykazujących głęboko zakorzenione tendencje homoseksualne” oraz takich, którzy „praktykują homoseksualizm” lub „wspierają tzw. kulturę gejowską”. Niestety, użyte w dokumencie zwroty były pozbawione koniecznej jasności, co utrudniło jego implementację. W związ-

ku z oporem wywołanym przez już głęboko osadzone w Kościele homoseksualne kliki „Instrukcja...” tak naprawdę nigdy nie weszła w życie i nie wywarła pożądanых skutków.

SCHIZOFRENIA

Za pontyfikatu Franciszka podejście do problemu jest głęboko schizofreniczne. W 2016 r. Watykan ogłosił dokument „Dar powołania kapłańskiego”, w którym zakaz przyjmowania do seminariów i wyświęcania kandydatów o skłonnościach homoseksualnych został powtórzony. Dwa lata później papież wypowiedział się bardzo jednoznacznie przeciw przyjmowaniu do seminariów i zakonów osób homoseksualnych.

Stolica Apostolska czyni w ostatnich miesiącach i latach **niezliczone** ukłony pod adresem środowisk LGBT

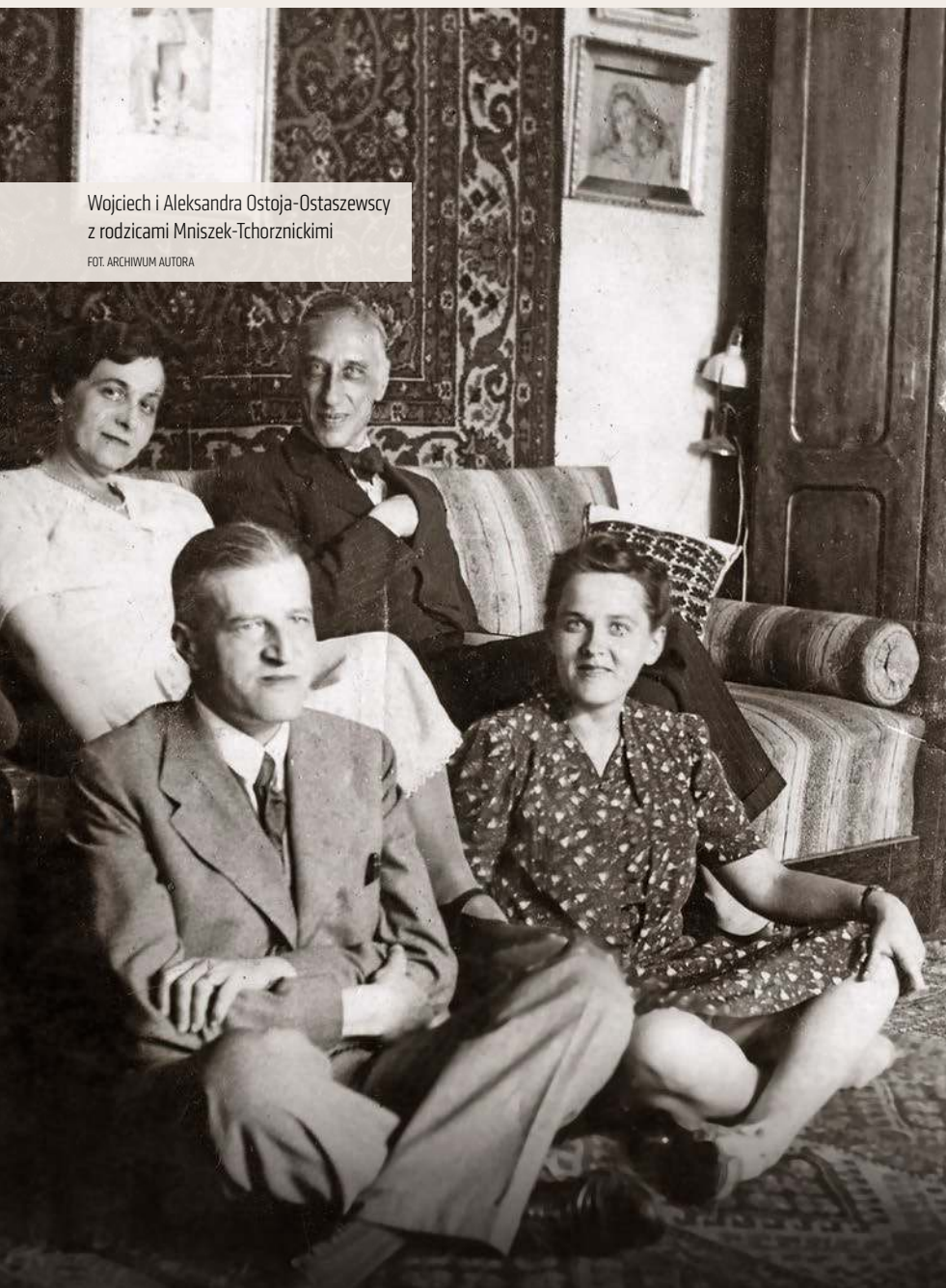
Nie ma to jednak żadnego przełożenia na rzeczywistość. Liberalni biskupi w wielu krajach świata deklarują zupełnie otwarcie, że ignorują te wytyczne i nadal akceptują homoseksualnych kandydatów. Celują w tym przedstawiciele Kościoła w Niemczech, wobec których nikt nie wyraża żadnych konsekwencji. Przykładowo w czerwcu 2022 r. niemieccy franciszkanie wybrali na prowincjała zakonnik, który chlubi się swoim homoseksualizmem. W Polsce problemu oficjalnie nie ma: żaden biskup ani rektor seminarium nie przyznaje się do akceptowania kandydatów do kapłaństwa z takimi zaburzeniami. Wciąż świeża sprawa Kalisza pokazuje jednak, że rzeczywistość jest daleka od ideału; potwierdzają to też liczne w naszym kraju przypadki samobójstw księży, przez kapłanów walczących z plagą rozpusty w Kościele wiązanych nierzadko z tematyką gejowską i pedofilską.

Sama Stolica Apostolska czyni w ostatnich miesiącach i latach niezliczone ukłony pod adresem środowisk LGBT. Robi to zarówno papież, pochwalając różne formy „duszpasterstwa” wobec osób homoseksualnych – także takie jak organizacja New Ways Ministry z USA, której oficjalnym celem jest wprowadzenie homoseksualnych pseudomałżeństw w Kościele.

Z kolei jedna z najważniejszych instytucji współczesnego Kościoła, Sekretariat Synodu Biskupów, regularnie publikuje na swojej stronie internetowej treści progejowskie, np. historie opowiadające o rzekomych zaletach adopcji dzieci przez pary tej samej płci. W co najmniej kilku krajach błogosławi się też w Kościele pary homoseksualne: księża, sami będący nierzadko zadeklarowanymi „gejami”, udzielają od lat pseudosłubów w Niemczech i Szwajcarii. Ostatnio do pierwszego kościelnego „homoślubu” doszło we Włoszech, na terenie archidiecezji Bolonii, gdzie władzę sprawuje jeden z czołowych papabile, kard. Matteo Zuppi. Watykan wydał w 2021 r. pismo zakazujące tej praktyki, ale kilka miesięcy później z Kurii Rzymskiej wyrzucono odpowiedzialnego za jego przygotowanie abp. Giacomo Morandiego. W tej sytuacji trudno się spodziewać, by jakikolwiek liberalne środowiska katolickie mogły na poważnie traktować oficjalne wytyczne Stolicy Apostolskiej. Jak na dłoni widać, że zwierzchnicy Kościoła nie przejmują się własnym nauczaniem.

KU ODNOWIE KOŚCIOŁA

W Kościele katolickim od zakończenia Soboru Watykańskiego II nieustannie zapowiadana jest wielka odnowa. Pragnienie przeprowadzenia gruntownej reformy narasta w ostatnich latach pod wpływem galopującej sekularyzacji i przesycania przestrzeni publicznej antychrześcijańskimi ideologiami. Wiele inicjatyw naprawczych jest jednak skażonych całkowicie absurdalnym pragnieniem zbudowania Kościoła na nowo. Biskupi, księża i świeccy, skonfrontowani ze skandalami seksualnymi, proponują np. zniesienie celibatu, wprowadzenie do Kościoła demokracji lub likwidację kapłaństwa w ogóle (sic!). Tymczasem kryzys Kościoła, jak zawsze w historii, jest w pierwszej kolejności kryzysem wiary – a nie struktur. Potrzebne są odbudowa zaufania do katolickiej nauki moralnej oraz wzmocnienie świadomości jej niezmiennego i nienegocjowalnego charakteru. Jednym z pierwszych kroków naprawczych musi stać się oczyszczenie szeregów duchowieństwa z tych, którzy sięją rozpustę i niszczą Kościół od wewnątrz. Uporanie się z problemem „lawendowej mafii” jest warunkiem sine qua non autentycznej odnowy katolicyzmu. © © Wszelkie prawa zastrzeżone



Wojciech i Aleksandra Ostoja-Ostaszewscy
z rodzicami Mniszek-Tchorznickimi

FOT. ARCHIWUM AUTORA

Złoty interes „hrabiego”



Tomasz Lenczewski

Miał wszelkie perspektywy na przetrwanie stalinowskiej nocy – złoto, dolary, antyki, kamienicę, rodzinę i przyjaciół. Z powodu głupoty i naiwności życiowej stracił wszystko

Wojciech Ostaszewski pochodził ze starej rodziny szlacheckiej. Urodził się w majątku ziemskim Wzdów koło Sanoka. Jego ojciec Adam Ostaszewski, doktor praw UJ, zrezygnował z kariery dyplomatycznej w służbie austriackiej. Poświęcił się studiom filozoficznym i kosmologii. Znał ponoć 20 języków i stworzył koncepcję uniwersalistycznego języka międzynarodowego Ost, który podobno stał się inspiracją dla esperanto. Stworzył też wiele wynalazków, a kilka z nich nawet opatentował. Były to m.in. silnik hydrauliczny i gazowy oraz samolot pionowego startu. Mało kto wie, że zbudował pierwszy polski płatowiec Stibor. Uważany przez jednych za ekscentryka i nazywany Leonardem ze Wzdowa, przez drugich za wariata, żył w przekonaniu o własnej wyjątkowości.

Wojciech był jego jedynym synem. Ukończył wprawdzie prawo oraz posiadał znajomość kilku języków, lecz pędził monotonne salonowe życie. Choć niczego mu nigdy nie brakowało, to po śmierci ojca w roku 1934 korzystał z odziedziczonego majątku w sposób nader ograniczony. O sprawach finansowych decydowała jego matka Maria z Chłapowskich.

Po wybuchu drugiej wojny Wzdów przejęły władze okupacyjne, tworząc z niego Liegenschaft, czyli posiadłość rolną administrowaną przez niemieckiego pełnomocnika. Ostaszewscy musieli się przenieść do swojej krakowskiej kamienicy przy ul. Piłsudskiego 24. Matka wkrótce zmarła, pozostawiając synowi pokaźny zapas kilkuset monet złotych, obcej waluty, biżuterii i cennych kruszców. W tej schedzie była nawet obroża dla psa z dukatowego złota.

Syn szybko poznał arkana okupacyjnego czarnego rynku, co stało się podstawowym źródłem jego dochodów. Wkrótce ożenił się z Aleksandrą „Lilką” Mniszek-

-Tchorznicą, córką byłego sędziego Sądu Najwyższego i ostatniego prezesa Rady Głównej Opiekuńczej. Ta temperamentna kobieta kierowała się wyłącznie rozsądkiem, który zawiódł ją o tyle, że Wojciech – podobnie jak matka – okazał się dla bliskich człowiekiem niebawale skąpym.

NA KRAKOWSKIM CZARNYM RYNKU

W Polsce Ludowej Ostaszewski nie zmienił trybu życia. Był naiwnym upartym dziwakiem, który mimo posiadania kapitału nie umiał przystosować się do nowej rzeczywistości. Chełpił się, że nigdy nie pracował, a w nowym ustroju tym bardziej nie chciał. Dla przykrywki wyrobił sobie fikcyjną posadę radcy prawnego... kawiarni Trzy Świnki prowadzonej przez Marylę Meysztowiczównę, byłą żonę Ksawerego Pruszyńskiego.

Mimo sporych zapasów złota i handlu dewizami utrzymanie się na wysokim poziomie życia w powojennych realiach było trudne i kosztowne. Wymagało zaciśnięcia pasa. Najbardziej odczuła to jego młoda żona. W tym czasie Ostaszewski miewał liczne prywatne procesy o przysłówiową pietruszkę, przeważnie z powodu pomówienia lub zniesławienia. Nic dziwnego, że przez niektórych uważany był za piniacza. Choć miał wybitne zdolności kompozytorskie (debiutował jeszcze przed wojną), to odrzucił możliwość pracy w powojennym Związku Kompozytorów Polskich, gdzie mógł liczyć na niewielką posadę. W zbiorach Ossolineum zachował się jego sztambuch, który zawiera wpisy pamiątkowe i uznaniowe, m.in. Jana Kiepury. Muzykę traktował Ostaszewski czysto hobbystycznie.

Po wojnie urządził się sprytnie, przyjmując do kilkupokojowego mieszkania na parterze swej kamienicy kilka zaprzyjaźnionych osób i krewnych, m.in. Włodzimierza i Jadwigę z hr. Bobrowskich Szaszkiewiczów oraz rodzeństwo Henryka i Irenę Wysockich. Dodatkowo przysparzał dawnego lokaja Józefa i starą kucharkę Karolinę.

W kamienicy pełnej antyków i pamiątek rodzinnych prowadził przez pierwsze lata Polski Ludowej życie na przyzwoitym poziomie, przyjmując w salonach gości ze swojej sfery oraz dokonując wielu kombinowanych transakcji walutowych. Udzielał także pożyczek na lichwiarskich zasadach.

Sielanka skończyła się w 1949 r., wraz z przyjęciem pod swój dach Alfreda

Chłapowskiego juniora, syna zasłużonego dla Polski ambasadora i brata rodzzonego jego matki. Ostrzegano go przed tym kuzynem, który powrócił z Anglii i miał fatalną opinię. Tym bardziej że wystawili ją krewni Meysztowiczowie z Warszawy, u których przedtem zamieszkiwał i ich okradł. Wojciech Ostaszewski uważał, że rodzinie trzeba pomagać. Nie bacząc na ostrzeżenia, nie tylko przyjął Chłapowskiego do domu, lecz także sfinansował pobyt jego i własnej żony w Krynicy, aby „Lilka rozerwała się trochę”.

Chłapowski rozkochał w sobie żonę kuzyna, a po powrocie wysledził, gdzie skąpiec trzyma swój majątek. Dobrał się do niego, ukraść i schować precjoza za ołtarzem krakowskiego kościoła św. Marika. Ostaszewski zorientował się jednak. Korzystając z pomocy MO, odzyskał część ukradzionego skarbu, głównie złote monety. Znalezione przy tej okazji dolary, pochodzące z machinacji Chłapowskiego, władza ludowa skonfiskowała.



Hotel Ostoya w Krakowie, ostatnia pamiątka po Ostaszewskich w tym mieście FOT. ARCHIWUM AUTORA

Jednocześnie polecono Ostaszewskiemu, aby nie wprowadzał na rynek posiadanych złotych monet. Poszkodowany ratował nadwyrężoną sytuację finansową sprzedażą parceli, układając się z kupującym co do zapłaty w połowie „pod stołem”. Nadal działał na czarnym rynku – do chwili, kiedy ogłoszono nowe prawo zabraniające posiadania dewiz, złota i platyny.

KATASTROFA I SMUTNY KONIEC

W momencie wprowadzenia nowych regulacji Ostaszewski nie miał już wszystkich monet, które oddał mu MO. Złożył więc tylko do depozytu ich niewielką część. Jednocześnie napisał do Komisji Dewizowej NBP, aby pozwoliła mu

zatrzymać część złota u siebie w domu. Umotywowował to zbliżającą się trzecią wojną światową, w wyniku której instytucje państwowe takie jak bank na pewno zostaną zniszczone, w przeciwieństwie do jego prywatnej kamienicy.

Naiwne rozumowanie ściągnęło na niego uwagę krakowskiego UB. W grudniu 1950 r. tajniacy dokonali nalotu na jego mieszkanie. Przy okazji urządzono w nim całodobowy kocioł ze względu na liczne zgromadzone gości. Byli wśród nich m.in. Helena z hr. Reyów Jabłonowska, Jerzy hr. Wolański, Iwo Pieniążek oraz Maciej Rudziński. Wszystkich poddano przesłuchaniom i przeprowadzono gruntowną rewizję. Znalezione nieco złotych monet i niewielką ilość walut, które właściciel był obowiązany złożyć do NBP. Jednocześnie zabrano do depozytu sporą ilość złotej biżuterii, wpisując w kwity określenia typu bransoletka czy sygnet „z żółtego metalu”. Zabrano również obrazy malarzy polskich, rysunki Jana Matejki,

portrety rodzinne, porcelanę, gobeliny, platery i srebra oraz broń białą.

Funkcjonariusze WUBP w Krakowie, dokonując aresztowania Ostaszewskiego, liczyli, że jego kontakty i wiedza na temat ludzi z jego środowiska będą im bardzo przydatne. Próbowano z niego zrobić szpiega, bo znaleziono pisma podziemne jeszcze z czasów okupacji niemieckiej pozostawione u niego przez Helenę Żurowską. Ta powojenna, wielokrotna kurierka WiN była jedyną kobietą, na której wykonano po wojnie wyrok śmierci.

Krakowski sąd uznał jednak, że skonfiskowane Ostaszewskiemu wydawnictwa były materiałami kolekcjonerskimi. Mimo to nie dano mu spokoju i szukano na niego przysłówiowego haka. Grzebano

np. w jego wojennej przeszłości, odkrywając, że był skoligacony z hitlerowskim zbrodniarzem Pieterem Mentenem, działającym w czasie okupacji w Krakowie m.in. na rynku sztuki. Znalaziono u Ostaszewskiego materiały antysowieckie w rodzaju „Świerszczyka” z przerobionym wierszykiem, który zmieniał pean na rzecz ZSRS w zjadliwą satyrę, oraz tekst „Co to jest bolszewizm?” okazały się zbyt słabe jako podstawa oskarżenia. Pozostało zatem skazać Ostaszewskiego na 2,5 roku więzienia za nielegalny obrót dewizami i monetami złotymi z orzeczeniem konfiskaty części mienia. Przy okazji na ławie oskarżonych posadzono kilku jego bliskich znajomych zamieszanych wraz z nim w nielegalny handel.

Podczas śledztwa funkcjonariusze UB konsekwentnie nazywali go hrabią. Sporządzili nawet coś w rodzaju „memoariu”, gdzie podkreślili jego pochodzenie od średniowiecznych komesów Ostojów. Dla nich każdy były obszarnik nosił ten tytuł. Zresztą nie tylko dla nich. Jerzy hr. Wolański wspominał, że kiedy Ostaszewski siedział w więzieniu, jeden z współtowarzyszy, a byli wśród nich przeważnie chłopcy odsiadujący karę za brak wyżywiania się z dostaw obowiązkowych, zapytał go: „Czy pan czasem nie jest hrabią?”. Eksziemianin odparł, że, owszem, ma kilku utytułowanych krewnych, ale sam był tylko właścicielem 1000 ha bez tytułu. Na to ów prosty człowiek odrzekł głośno do innych współwięźniów: „A nie mówiłem – hrabia!”.

Po powrocie z więzienia Ostaszewski znalazł się w domu pełnym nowych lokatorów, dokwaterowanych tam z urzędu. Pozbawiony cennych ruchomości, które przepadły wskutek konfiskaty bądź w depozytach muzealnych, zaczął być w trudnej sytuacji finansowej – praktycznie był zrujnowany. Usiłował sprzedać prawa do nadbudowy swojej kamienicy. Wmanewrowany w ten interes przez nieuczciwego pośrednika sprzedał to prawo dwóm różnym osobom. Wskutek tego został oskarżony



„Świerszczyk” zakwestionowany podczas rewizji bezpieki u Ostaszewskich. FOT. AIPN

o oszustwo i ponownie skazany na kilkuletnie więzienie.

Potem nie było już miejsca dla niego we własnej kamienicy. Jak wspominał jego lokator Hieronim Wysocki: „Z korytarza przy kuchni za pomocą szafy i kartonów powstało coś w rodzaju dziupli, gdzie pomieszkował. Nierzadko brakowało mu przysmówiowej kromki chleba i szukał go w gromadzone w kuchni suchym chlebie zbieranym dla konia”.

Dla żony Wojciecha była to nowa szkoła życia. Kiedy go aresztowano, „cały Kraków stawał na przysłowiowej głowie”, aby jej pomóc. Szaszkiewiczowa załatwiła jej pracę kasjerki w domu towarowym. Żona Ostaszewskiego odeszła jednak z pracy po kilku dniach. Ze zmiennym szczęściem miała się różnych posad i zawodów. Wreszcie oddała dzieci do internatu, a sama przejściowo opuściła Kraków, przenosząc się czasowo do Zakopanego. W 1956 r. Służba Bezpieczeństwa, mając na względzie jej niskie zarobki i znajomość języków obcych połączoną ze sporadycznymi kontaktami z cudzoziemcami, usiłowała ją bezskutecznie zwerbować do współpracy.

Ostaszewski po kolejnym powrocie z więzienia był zmuszony opuścić swoją kamienicę. Próbował zarabiać na życie tłumaczeniami. Żył w skrajnej nędzy. Czasami widywano go na krakowskich Plantach, gdzie spotkanych znajomych prosił o niewielką pożyczkę, którą zwykle oddawał.

W dodatku przeżył wraz z rodziną ogromną tragedię, gdy jego jedyny syn Andrzej, student i przewodnik PTTK, zaginął w 1968 r. w okolicach Babiej Góry w trudnych zimowych wa-

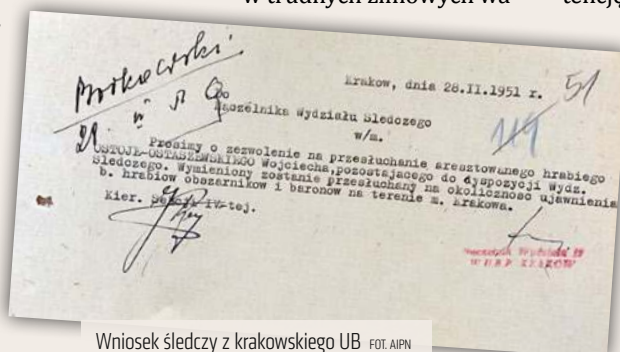
runkach pogodowych (ciało odnaleziono dopiero na wiosnę).

„Lilka” opuściła ostatecznie męża i wyjechała do Wiednia, miasta swoich urodzin i dzieciństwa. Tam nie wiodło się jej najlepiej, a spodziewany ożenek dla renty nie przyniósł efektu. Z czasem dołączyła do niej córka Gabriela, której osobiste życie również się nie ułożyło.

Wojciech Ostaszewski ostatecznie umarł w nędzy. Spoczywa w grobie rodzinnym na cmentarzu Salwatorskim.

Zdaniem Szaszkiewiczza charakter Ostaszewskiego, który przyczynił się do jego upadku, był efektem sposobu, w jaki w dzieciństwie traktowała go matka. Spowodowało to u niego brak zdolności do decyzji w istotnych sprawach życiowych. Pozostał „komiczną postacią krakowskiego high-life’u”. Tolerowano go z racji jego pozycji towarzyskiej, lecz nie traktowano go poważnie. Nic więc dziwnego, że jako „hrabia Dziadoszycki” stał się bohaterem stalinowskiego paszkwilu Magdaleny Samozwaniec pt. „Błękitna krew”. Autorka dokonała nadużycia nazwiska prześladowanych przez UB hr. Dzieduszyckich. Dodatkowo połączyła historię Ostaszewskiego i jego żoną z postacią innego ekscentryka Romana Rostworowskiego.

Jedyną pamiątką po Ostaszewskich w Krakowie jest pozostała do dziś ich kamienica przerobiona na hotel pod nazwą Ostoya. Jej najnowsza historia była równie burzliwa, jak losy jej ostatniego właściciela. U progu XXI w. mieszkało w niej dwóch potomków rodów szlacheckich – Garapich i Krusenstern. Mieli duże problemy z plenipotentem Gabrieli Ostaszewskiej noszącym znane historyczne nazwisko. Tenże człowiek oszukiwał ją, ciągnąc z tego tytułu spore korzyści. Jednocześnie usiłował wyrzucić z kamienicy pozostałych lokatorów. W rezultacie jeden z nich dotarł do Gabrieli Ostaszewskiej w Wiedniu, która po zaznajomieniu z sytuacją cofnęła „kuzynowi” plenipotentę. To nie zakończyło jeszcze sprawy mającej znamiona afery kryminalnej, ale doprowadziło do sprzedaży kamienicy. Uzyskana z tego suma zasilila budżet córki Wojciecha żyjącej dotąd skromnie za granicą. W ten sposób zerwana została ostatnia nić więzi z krajem Ostoja-Ostaszewskich ze Wdową, dla których Kraków był ostatnim przystankiem tułaczki ich jedynego dziedzica.



Wniosek śledczy z krakowskiego UB. FOT. AIPN



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Gniazdo Czartoryskich

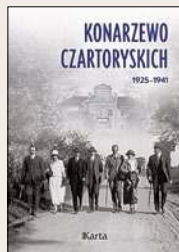
Nie jestem fanem modnej ostatnio literatury pańszczyźnianej. Jeżeli ktoś nie zauważył jeszcze tego fenomenu, wyjaśniam: To seria książek, która przedstawia polskie, litewskie i ruskie ziemiaństwowo jako „polskich kolonizatorów” i „plantatorów”. W tej narracji rola uciskanych „tubylców” i wyzyskiwanych „niemowlaków” zarezerwowana jest oczywiście dla chłopów. Innymi słowy: polska wieś była piekłem na ziemi. Daleki jestem od twierdzenia, że było odwrotnie – że wieś była dla chłopów rajem. Zachowajmy jednak zdrowy rozsądek i proporcje. Rzeczpospolita – czy komuś się to podoba czy nie – przez wieki była państwem szlacheckim. To szlachta ukształtowała naszą kulturę i historię. A dwory i pałace były nie tylko rodowymi gniazdami i prywatnymi muzeami sztuki. Były kluczowymi, prężnie działającymi ośrodkami gospodarki rolnej.

Dlatego wielkie brawa należą się Ośrodkowi KARTA, który idzie wbrew modzie i wydaje kolejne fantastyczne książki poświęcone naszym ziemianom. Najnowsza opowiada o Konarzewie, majątku Czartoryskich w pobliżu Poznania.

W książce możemy prześledzić historię pałacu i jego mieszkańców w dwudziestolecie oraz podczas drugiej wojny światowej. Koniec opowieści wyznacza komunistyczna „reforma rolna”. Czyli grabież prywatnej własności: domu i ziemi. Ostateczna zagłada ziemiańskiego świata.

W „Konarzewie Czartoryskich” znalazły się fragmenty wspomnień, listów i notatek domowników. Przedstawiają codzienne życie arystokratów. Jakie mieli zwyczaje, jakie radości i troski. Co myśleli o wielkich wydarzeniach historycznych, które rozgrywały się na ich oczach. Cennym elementem książki są przepiękne fotografie.

„Czartoryscy to prastara rodzina wywodząca się od wielkiego księcia Giedymina, twórcy potęgi Litwy” – pisze w postwowie Maciej Radziwiłł. Familia ta odegrała olbrzymią rolę również w dziejach Korony. „Konarzewo Czartoryskich” pokazuje jeden z epizodów tej historii. Pasjonująca i zarazem smutna książka. Czas ziemian nieubłagane bowiem dobiegał końca. ©



★★★★★

ALEKSIEJ
ROGOZIN,
ALEKSANDRA
BELLWON
„KONARZEWO
CZARTORYSKICH”
KARTA



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Z szablą na czołgi?

Wśród wielu mitów pokutujących na temat wojny obronnej Polski we wrześniu 1939 r. jeden jest szczególnie szkodliwy. Chodzi o rzekome szarżę polskiej kawalerii na niemieckie czołgi, gdy pancernom i armatom przeciwstawiano wyłącznie odwagę i szablę. Najwięcej szkód spowodował film „Lotna” Andrzeja Wajdy (premiera 27 września 1959 r.), który nakręcono zgodnie z linią

Uzbrojeniem polskiej kawalerii były broń maszynowa, artyleria, działa przeciwpancerne i przeciwlotnicze oraz samochody pancerne i czołgi. Gdy przychodziło walczyć z czołgami wroga, używano dział polowych, armat i karabinów przeciwpancernych oraz granatów. Szable pozostawały bezużyteczne, zresztą były przytroczone do siodła koni, które stały poza polem walki, natomiast lance pełniły wyłącznie funkcję broni paradnej.

Polska kawaleria wykonała kilkanaście szarż przeciwko Niemcom i kilka przeciwko Rosjanom, atakowano jednak tylko piechotę, kawalerię, tabory i biwaki. Niemcy, którzy wystawili do wojny przeciwko Polsce 13 pułków kawalerii i kilkadziesiąt mniejszych pododdziałów, także wykonywali szarże. Zresztą częściej niż Polacy, co wynikało ze specyfiki działań wojennych. Najczęściej bowiem szarżuje się na przeciwnika zdezorionowanego i wykonującego manewr odwrotowy.

Zapomina się również, że wprowadzili Niemcy mieli mniej liczną kawalerię niż Polacy, ale tylko z powodu braku odpowiedniej liczby wierzchowców. Potrzebowali bowiem tak wielu koni taborowych i artyleryjskich, że nie wystarczyło ich dla kawalerii. Gdy jednak po 1941 r. przyszło im walczyć z Sowietami, kawaleria okazała się potrzebna i formowali nowe związki taktyczne nawet pod sam koniec wojny. ©

Kawaleria wykonała kilkanaście szarż. Atakowano tylko tabory i biwaki

komunistycznej propagandy. Kluczową sceną jest atak kawalerii na czołgi i próba odcięcia szablą lufy jednego z nich.

Polacy nigdy jednak nie szarżowali na czołgi. Zdarzało się, że związek taktyczny kawalerii walczył przeciwko związkowi pancernemu, ale konie były wyłącznie środkiem transportu, a działania prowadzono pieszo. Dlatego też nazwą lepiej oddającą ten sposób walki byłaby „piechota konna”, a nie kawaleria. Zdawano sobie z tego sprawę i ostatnie 10 pułków kawalerskich sformowanych w II RP nosiło nazwę strzelców konnych.

Polacy mieli w 1939 r. 11 brygad kawalerii, w których skład wchodziło 39 pułków. Była to elita Wojska Polskiego, doskonale wyszkolona i świetnie wyposażona.



Wojciech Golonka

Sugestie kanclerza Niemiec są czytelnym znakiem ostrzegawczym, że obecne, wydawałoby się stabilne, status quo może, przy niekorzystnym dla Polski rozwoju sytuacji, runąć w gruzach

Czy zdarza się, że bieg historii ulega przyspieszeniu? Wprawdzie rewolucjoniści niejednokrotnie stawiali sobie taki właśnie cel, przyspieszanie biegu historii, ale stosowanie terroru wobec mas nienadążających za postępem, oprócz bólów związanych z depopulacją, przyspieszało co najwyżej upadek samych ideologów postępu. Niemniej wraz z wybuchem wojny rosyjsko-ukraińskiej otworzył się bez wątpienia nowy rozdział historii współczesnej, a przy dynamicznym rozwoju sytuacji trudno nie odnieść wrażenia, że chwilami bieg historii nabiera tempa. Takie przynajmniej było moje odczucie, gdy usłyszałem dosadne stanowisko kanclerza Olafa Scholza odnośnie do kwestii potencjalnych niemieckich reparacji za szkody wyrządzone Polsce podczas drugiej wojny światowej, a mianowicie jego insynuację rewizji wspólnej granicy, czyli statusu zachodnich ziem Polski.

Czym jest bowiem podobna groźba, rozumiana przez pryzmat jej realnych konsekwencji, jeśli nie perspektywą wojny na dwa fronty? Co nie znaczy oczywiście, że jest to perspektywa konieczna czy nawet prawdopodobna, ale któż właśnie, jeszcze nie tak dawno temu, po przeszło dwóch dekadach obecności Polski w Unii Europejskiej, traktowałby taki wariant za realnie dopuszczalny? A zatem, po oficjalnym „końcu historii” Fukuyamy, który rzekomo nastąpił wraz z zakończeniem zimnej wojny, jej ponowne przebudzenie daje się odczuć na wzór szarpnięć towarzyszącym w fizyce co gwałtowniejszym przyspieszeniom. Szarpnięć, których znaczenia przejąć nie wolno.

INTERESY NIE DO POGODZENIA

Ma się rozumieć, słowa niemieckiego przywódcy, które wywołały stanowcze protesty ze strony polskich polityków, przez co z kolei nastąpiło oficjalne

Wojna na dwa fronty?

dementi ambasadora Niemiec w Polsce, mogą być jedynie retoryką na potrzeby polityki wewnętrznej bądź zagranicznej, bez najmniejszego pokrycia w wymiarze rzeczywistych możliwości; podobnie jak podnoszenie kwestii niemieckich reparacji przez stronę Polską, choć jak najbardziej zasadne, może spełniać głównie rolę narracji politycznej, bez większych szans na realizację, przynajmniej nie w najbliższej przyszłości.

Oczywiście powyższe stwierdzenie jest sporym uproszczeniem pomijającym istotne niuanse, ale chcę wskazać, że nawet przy tak uproszczonej interpretacji

W przypadku Polski i Niemiec nie musielibyśmy mieć wojny z prawdziwego zdarzenia, aby mieć do czynienia z wojną

sprawdającej całość wspomnianego sporu jedynie do nieprzyjemnej, ale czyisto słownej przepychanki, te słowa oddają jednak pewien obraz interesów nie do pogodzenia, a po za tym nawet słowa bez pokrycia, wypowiedziane jednak na najwyższym szczeblu władzy, bywają sygnałem do przełamania tabu, a powtarzane wielokrotnie kształtują już myślenie mas. Innymi słowy, to, co Olaf Scholz może być jedynie wymachiwaniem szabelką, w przyszłości u jednego z jego następców równie dobrze mogłoby, w innych okolicznościach, stać się wyznaczonym celem do osiągnięcia.

Abstrahując od możliwych konsekwencji tej retoryki, to, co akurat pewne, to to, że w najbliższym czasie Niemcy zamierzają się skupić na zbudowaniu armii z prawdziwego zdarzenia. Podobnie zresztą jak Polska. Oczywiście sam scenariusz bezpośredniej wojny dwóch NATO-wskich armii musi wydawać się wszystkim, łącznie z autorem tego tekstu, czymś zupełnie niedorzecznym, choć, gwoli ścisłości, casus napięć grecko-tureckich pokazuje, że i NATO nie jest klubem dozwolonej wzajemnej miłości. Ale wracając do konkretnego przypadku Polski i Niemiec – cały sęk w tym, że nie musielibyśmy mieć wojny z prawdziwego zdarzenia, wojny pokroju ostatnich dwóch konfliktów światowych, aby mieć do czynienia z wojną, i to wojną na dwa fronty.

Przypomnijmy jednak pokrótce sam rozwój tej słownej eskalacji: 1 września rząd ogłasza ukończenie raportu w sprawie reparacji wojennych od Niemiec, które wyliczono na kwotę 6 bln 200 mld zł i zapowiada podjęcie kroków celem ich uzyskania. Opozycja reaguje gwałtownie, krytykując obóz władzy za nieodpowiedzialne dzielenie Polski i Niemiec w dobie największego kryzysu geopolitycznego w Europie od czasów drugiej wojny światowej. Decyzja polityczna rządu komentowana jest także za granicą i wywołuje pierwsze reakcje w Niemczech, głównie sprzeciwu. W tym samym czasie opozycja zmienia front o 180 stopni i próbuje wpłynąć na język narzuconej przez Prawo i Sprawiedliwość debaty; 14 września Sejm Rzeczypospolitej w specjalnej uchwale, przyjętej jednomyślnie przy kilku głosach sprzeciwu, wzywa rząd Republiki Federalnej Niemiec



Niedawna wypowiedź kanclerza Olafa Scholza spotkała się w Polsce z ostrymi protestami FOT. JENS SCHLIETER/AFP/EAST NEWS



do „jednoznacznego przyjęcia politycznej, historycznej, prawnej oraz finansowej odpowiedzialności” za wszystkie skutki powstałe dla Polski i jej obywateli w wyniku rozpętania przez III Rzeszę drugiej wojny światowej.

Nazajutrz, na gali wręczenia nagrody M100 Media Awards w Poczdamie, w obecności Donalda Tuska kanclerz Olaf Scholz najwyraźniej odpowiada na polską uchwałę, krytykując tych, którzy swoimi działaniami dążą do podważenia ustalonej raz na zawsze granicy polsko-niemieckiej; jego słowa są odebrane w Polsce jako groźba. Tego samego dnia we „Wprost” ukazał się wywiad z prezydentem Andrzejem Dudą, w którym stwierdził on, że Polska powinna się również domagać reparacji za drugą wojnę światową od Rosji, co powoduje z kolei ostrą krytykę Kremla.

Następnego dnia przed najwyższym dowództwem Bundeswehry kanclerz Scholz ogłasza, że Niemcy są gotowe stać się liderem bezpieczeństwa europejskiego i muszą stać się „najlepiej wyposażoną siłą zbroijną w Europie”. Uzasadniając nadzwyczajną inwestycję 100 mld euro dla rozbudowy niemieckiej armii, skrytykował jednocześnie poprzedniego ministra obrony, który uważał, że Niemcy otoczone są jedynie przez przyjaciół. Przypomnijmy, że Niemcy otoczone są przez: Danię, Holandię, Belgię, Luksemburg, Francję, Szwajcarię, Austrię, Czechy oraz Polskę – i najwyraźniej to wśród tych krajów należy szukać wrogów naszego zachodniego sąsiada, przed którymi będzie się musiał bronić.

Tego samego dnia ambasador Republiki Federalnej Niemiec w Polsce Thomas Bagger objaśniał na Twitterze, że słowa

kanclerza z gali w Poczdamie zostały w Polsce zupełnie przeinaczone przez TVP – kanclerz bynajmniej nie groził rewizją granic, a przestrzegał: „I nie chcę, aby jacyś ludzie znowu znaleźli w książkach do historii pretekst do rewizjonistycznych dążeń. Pokój opiera się na tym, że granice są niepodważalne. Musimy być co do tego zgodni”.

Dementi, którym, moim zdaniem, ambasador Bagger jedynie potwierdził groźbę bijącą ze słów kanclerza – niezależnie, czy Scholz przemówił głosem Eriki Steinbach czy jedynie przestrzegł, że tezy tej rewizjonistki dostaną politycznego tlenu w Niemczech – ponieważ powiedział on, że domaganie się przez Polskę reparacji summa summarum prowadzi do podważenia pokoju w Europie.

INNEGO RODZAJU STARCIE

Tak jak wspominałem, w dobie obecnego europejskiego ładu czymś zupełnie nierealnym wydaje się starcie dwóch sąsiadów pokroju Polski i Niemiec. Ale, nie popadając w gdybanie, dajmy prosty hipotetyczny casus zapalny, który przejawia się w rozważanych scenariuszach NATO: kraje bałtyckie prowadzą politykę blokady Królewca, Rosja uderza na nie celem odblokowania lądowego dostępu do swej enklawy, Polska przychodzi z pomocą swym sąsiadom. Następuje rosyjskie kontruierzenie na Polskę z Białorusi... a najważniejsze linie NATO-wskiego zaopatrzenia z Niemiec, gdzie Amerykanie mają swe główne zaplecze w Europie, załamują się – czemu nie? – na skutek sabotaży ze strony związkowców i protestów antywojennych, które tymczasowo zupełnie pochłaniają uwagę niemieckich władz. W chwili załamania polskiej obrony i ucieczki rządu z Warszawy oddziały Bundeswehry wkraczają do zachodniej Polski celem zabezpieczenia populacji, coś na wzór wkroczenia Sowietów do Polski 17 września 1939 r.

Otóż jeszcze kilka miesięcy temu uważałbym, że jest to scenariusz absurdalny, dziś natomiast, obserwując rozwój sytuacji i zasadniczo odmienne podejście Berlina i Warszawy do wojny na Ukrainie, jest to wariant nie tyle prawdopodobny, ile już wyobrażalny – czyli w pewnych warunkach możliwy (a taki wariant nie byłby przecież niczym innym jak właśnie „wojną na dwa fronty”, najpierw poprzez zaniechanie pomocy, następnie poprzez wykorzystanie klęski na utworzenie protektoratu na swych byłych ziemiach wschodnich).

Nie twierdzę przy tym, że kwestia reparacji odgrywałaby w tym scenariuszu element decyzyjny, tym bardziej że dla Niemiec jest to na razie temat czysto teoretyczny (podobnie jak dla Polski), w przeciwieństwie do widma ruiny niemieckiego przemysłu w wyniku mającej obecnie miejsce, obok wojny rosyjsko-ukraińskiej, rosyjsko-europejskiej wojny energetycznej.

Niedopuszczalne sugestie kanclerza Scholza są jednak czytelnym znakiem ostrzegawczym, że obecne, wydawałoby się stabilne, status quo może, przy niekorzystnym dla Polski rozwoju sytuacji, runąć w gruzach. Pod tym względem podnoszenie kwestii reparacji, moralnie jak najbardziej uzasadnionych i pożądanych, w chwili, kiedy konflikt na Ukrainie nie jest jeszcze rozstrzygnięty w żadną stronę, kiedy możliwość jego rozlania nie jest jeszcze wykluczona, pokazuje, że dotychczasowe zwlekanie z podobnym krokiem, choćby z powodu kalkulacji na rzecz polityki wewnętrznej i przyszłej potrzeby wyborczej, było błędem. Przegapiliśmy przy tym okazję prezydentury Donalda Trumpa, który z jednej strony naciskał na kraje członkowskie NATO, aby zwiększyły swe wydatki na obronność, z drugiej być może poparłby rozwiązanie, aby powiązać kwestię reparacji ze strony Niemiec z ich wydatkami na obronność.

Mariusz Max Kolonko przestrzegał wówczas, że zwiększenie wydatków zbrojeniowych przez Niemcy do 2 proc. ich PKB, czyli tworzenie silnej niemieckiej armii, nie leży zupełnie w interesie Polski, natomiast ich NATO-wskie zobowiązania mogłyby być przekazywane na dobrożenie wschodniej flanki NATO w Polsce, właśnie w ramach mechanizmu reparacji. Pomysł realny czy mniej realny – dla jedynej słusznej partii nie miał on wówczas nawet racji bytu. A dziś Niemcy deklarują cel w postaci stania się potęgą militarną numer jeden w Europie, co moim zdaniem powinno budzić jeszcze większy sprzeciw w Polsce niż burzliwa retoryka kanclerza Scholza względem reparacji.

Trudno wywróżyć, co się stanie w przyszłości, ale skupienie się na tym, co możliwe, i przeciwdziałanie zaistnieniu takich możliwości to z pewnością wyzwanie i obowiązek dla władzy. A pomysł jednoczesnego żądania reparacji od Rosji... tak, przyspieszmy na swój sposób bieg historii i dajmy Niemcom i Rosji dodatkowy powód do myślenia, że w obecnej sytuacji jednak więcej rzeczy powinno ich łączyć niż dzielić.



Kto nam wmawia

Z ciekawą propozycją wystąpiło niedawno ukraińskie ministerstwo obrony. Zareagowało ono na wykorzystywanie przez rosyjski aparat propagandowy pojęcia „ruso-fobii” i zaproponowało zastąpienie go terminem „russo-go-homia”. Jak argumentują Ukraińcy, słowo „fobia” kojarzy się powszechnie ze strachem, a nikt się przecież ośmieszonych niepowodzeniami armii rosyjskiej nie boi. Dodają też, że



Dariusz Wieronieczny

Pojawiły się w naszym dyskursie publicznym głosy sugerujące coś na kształt zbiorowej winy wszystkich Rosjan, których tradycja i kultura nie niosą ze sobą rzekomo żadnych wartości. Są one w oczywisty sposób na rękę Putinowskiej propagandzie



rusofobie?

zarzut „rusofobii” wykorzystywany jest często przez rosyjską propagandę, aby wykreować narrację o zмовie potęg światowych przeciwko Rosji. Drugi z tych argumentów wydaje mi się bardziej przekonujący. Poczucie bycia zamkniętym w „oblężonej twierdzy”, szturmowanej przez odwiecznego wroga potęgi, jest w arsenale propagandzistów bronią tak starą, jak propaganda wojenna. W czasie pierwszej wojny światowej motywem

oblężenia i perfidnego „zagłodzenia” swoich obywateli posługiwała się propaganda mocarstw centralnych. Wojowniczą histerię wywołano zwłaszcza wobec „wiarołomnego” Albionu, obwieszając ulice plakatami „Bóg skarże Anglię” i kreując kraj bezdusznych sklepikarzy – Wielką Brytanię – na odwiecznego wroga wszystkich honorowych i bezinteresownych Europejczyków. Podobną rolę odgrywało pojęcie „Twierdza Europa”

wykorzystywane przez hitlerowców w czasie drugiej wojny światowej. Oblężone przez nienawistnych obcych były też w XX w. Rosja, Japonia, Chiny, Izrael, Iran, a nawet Korea Północna, co tylko pokazuje mobilizacyjny potencjał takiego przekazu wobec własnych obywateli. Nic więc dziwnego, że prowadzący zręczną politykę informacyjną Ukraińcy starają się argument o „spiskujących rusofobach” wytrącić z ręki kremlowskich propagandystów. Jak w analogicznej sytuacji zachowują się polscy politycy i media? Z jaką reakcją spotykają się oskarżenia o rusofobię nad Wisłą?

Zdawać by się mogło, że odparcie ich powinno być proste. To przecież w Polsce odbywał się do niedawna co roku, przy dużym zainteresowaniu widzów i znaczącym wsparciu finansowym Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Festiwal Filmów Rosyjskich „Sputnik nad Polską”, a sukcesy komercyjne koncertującego w całym kraju Chóru Aleksandrowa budziły zdumienie ludzi, dla których umundurowani rosyjscy żołnierze wykonujący w Sali Kongresowej na przemian „Czerwone maki na Monte Cassino” i „Wstawaj, strona ogromnaja” byli rywłką niestrawną. Nikt nie może zaprzeczyć popularności, zwłaszcza wśród licealistów i studentów burzliwych lat 80., takich artystów jak Okudźawa, Wysocki, pieśni Wertyńskiego i Żanny Biczewskiej. W czasach późniejszych rosyjskie piosenki, romanse i „błatne szansony” utorowały drogę do sławy wielu wykonawcom, że wspomnę tylko Iwa krakowskich salonów – prof. Aloszę Awdiejewa, i lwicę warszawskich – Olenę Leonenko. Jeszcze przed rokiem trudno było zdobyć bilety na gościnne występy dobrych rosyjskich teatrów, orkiestr, wykonawców muzyki klasycznej. Co drugi niedouczony maturzysta za swoją ulubioną powieść podawał „Mistrza i Małgorzatę”, która to książka przez dekady uchodziła wśród wielkomięskiej inteligencji za wychowawczą lekturę młodzieżową, łączącą cięty humor z refleksją religijną podaną w sposób pomysłowy i nienudzający. Książka ta pojawiała się zaskakująco często w adaptacjach telewizyjnych, rankingach literackich oraz tematach maturalnych.

ROSYJSKIE SAKSY

Nikt nie przejmował się znanymi występami polskich aktorów w najpopularniejszych współczesnych filmach i serialach rosyjskich, także tych

Współczesnych, czasem jawnie propagandowych. Czynie to nasi najwięksi amanci – Daniel Olbrychski, Michał Żebrowski, Paweł Deląg, Maciej Stuhr i całe szeregi mniej popularnych aktorów i aktorek. Hołdy kulturze i kinematografii rosyjskiej składali najbardziej utytułowani reżyserzy – wymienię choćby Andrzeja Wajdę i Krzysztofa Zanussiego. Żaden ze „środowiskowych autorytetów” nie czynił im z tego publicznie zarzutów.

Jeśli jakiś aspekt „rosyjskich saksów” naszych gwiazd budził zainteresowanie publiczności, to raczej wysokie gaże w rosyjskich produkcjach, a nie ich natrętne propagandowy wymiar. Dla przykładu: po roli polskiego hetmana w rosyjskiej superprodukcji „1612”, upamiętniającej wyrzucenie Polaków z Kremla (rocznica tego wydarzenia jest w Rosji jednym z najważniejszych świąt państwowych, mobilizującym emocje antypolskie), Michał Żebrowski zagrał jeszcze w „Janosiku” Agnieszki Holland, „Bitwie Warszawskiej” Jerzego Hoffmana, a także „Tajemnicy Westerplatte” (rola mjr. Sucharskiego) Pawła Chochlewa. Były to produkcje historyczne, filmy skierowane do masowej polskiej widowni. Rosyjskie zaszczoły aktorów najwyraźniej nie przeszkadzały jeszcze ani producentom, ani reżyserom, ani widzom.

Można odnieść wrażenie, że w rosyjskiej kulturze popularnej i propagandzie Polska odgrywała przez lata znacznie ważniejszą rolę niż Rosja w polskim odpowiedniku tych wysiłków, nazywanym na wyrost „polityką historyczną”. Co ciekawsze, mało który rodzimy polityk czy publicysta sam skłonny był przyznawać Polsce taką determinację, znaczenie i sprawczość w działaniu, którą zarzucali nam putinowscy propagandyści. Można powiedzieć, że byliśmy w ich przestrobach mądrzejsi i groźniejsi (choć z pewnością mniej sympatyczni) niż we własnych snach o potęgę. Do niedawna śniły się nam one nieczęsto.

Wszystko to zmieniło się w lutym 2022 r. Czy doszło wtedy do zmiany polskiego stosunku do Rosji? Z pewnością. Były to jednak procesy złożone i wielowymiarowe. Gorąco poruszyła Polaków brutalna agresja Rosji na Ukrainę. Zrozumiały odruch współczucia dla narodu napadniętego przez liczniejszego i lepiej uzbrojonego przeciwnika znacznie poprawił notowania Ukraińców w naszych oczach. Wywołał też, co jasne, falę niechęci do Rosji. Polacy, jak każdy naród,

boją się wojny i użycie jej przez Rosję jako argumentu w sporze z sąsiadem wstrząsnęło naszym poczuciem bezpieczeństwa. Z oczywistych powodów wsparliśmy też wysiłek zbrojny Ukrainy, idąc za wnioskiem, że każdy rosyjski żołnierz trwale wyeliminowany z walki przez obrońców Kijowa lub Mariupola będzie jeszcze jednym żołnierzem, którego zabraknie Rosjanom w ewentualnym pochodzie do naszych granic. Czy jednak są to emocje zaskakujące albo niezrozumiałe?

Przeciwnie, mają one proste uzasadnienie i w żaden sposób nie potwierdzają argumentu o narodowej rusofobii Polaków. Nie jest bowiem rusofobią sympatia dla broniących swojej ojczyzny Ukraińców ani tym bardziej pomoc spon-tanicznie udzielona szukającym w Polsce schronienia uchodźcom. Pomagając przez kilka tygodni, jako wolontariusz, szukającym schronienia na Dworcu Centralnym w Warszawie uchodźcom, dzieląc ich emocje i doświadczenia, ani przez moment nie czułem się rusofobem. Nie czułem się też rusofilem, używając w kontaktach z nimi języka rosyjskiego. Wielu uchodźców mówiło zresztą po rosyjsku lepiej niż w języku ukraińskim i nie upoważniało mnie to do wyciągania jakichkolwiek wniosków dotyczących ich przynależności etnicznej ani sympatii narodowych. Byli ludźmi w potrzebie, a ja, jak większość Polaków, po prostu chciałem im pomóc.

GŁOSY NOWE

Pojawiły się jednak w naszym dyskursie publicznym głosy nowe, którym warto się przyjrzeć. Sugerują one coś na kształt zbiorowej winy wszystkich Rosjan, których tradycja i kultura nie niosą ze sobą rzekomo żadnych wartości. Są one w oczywisty sposób na rękę Putinowskiej propagandzie, mobilizując odbiorców do skupienia się wokół sztandarów władzy, gdy walczy ona z przeciwnikami wszystkiego, co rosyjskie, od baletu zaczynając, a na prawosławiu kończąc. Argumentu tego używam niechętnie i po dłuższym namyśle, gdyż nieustanne powtarzanie, że z danej opinii (wypowiedzianej przez partnera w dyskursie) Putin się cieszy albo skacze z radości, albo zaciera ręce, stało się infantylnym refrenem demolującym nasz dyskurs publiczny. Coś, co raz powiedziane mogłoby uchodzić za ciężki żart, powtarzane jest do znudzenia, zarówno przez ekspertów, jak i dyletantów. Gdyby

argument „radosnego Putina” traktować poważnie, to poza śledzeniem dywagacji naszych mędrków musiałby on na okrągło się uśmiechać, podskakiwać i zacierać ręce, bez możliwości podpisania czy omówienia czegokolwiek. Tak błazeńsko nastrojony autokrata od dawna znajdowałby się w domu wariatów, a to, że ciągle jest na szczytach rosyjskiej władzy, nikogo jakoś do refleksji nie skłania. Argumentowi „z tego cieszył się Władimir Putin” nie towarzyszą z reguły żadne racjonalne argumenty. Bo co tu argumentować, skoro Putin się cieszy? Ten bezmyślnie nadużywany frazes już dawno zniknąć powinien z ust szanujących się wzajemnie rozmówców.

Powstrzymam się więc od przedstawiania czytelnikom domniemych stanów rosyjskiej duszy, a w zamian cytuję kilku polskich publicystów. Jeden z nich, na łamach „Gazety Polskiej”, pisze: „My tych Rosjan wyobrażaliśmy sobie trochę na obraz człowieka. Wydawało nam się, że to jest takie samo młode pokolenie, dzieciaków ze smartfonami, oglądające podobne filmy, stołujące się w McDonalddie, [...] i nagle się okazało, że ta warstewka kultury jest bardzo cieniutka, wystarczy drapnąć i nagle pojawiają się demony”.

We Francji, w wieku XIX, popularne było przysłowie: „Wystarczy Rosjanina podrapać, a pod skórą pojawi się Tatar”. Tatar, nie dość dla czytelnika wstrętnego, zastąpiono „demonem”. Inny publicysta, tym razem o poglądach raczej opozycyjnych, przedstawia sytuację duchową Rosjan następująco: „Może poparcie dla wojny wśród zwykłych Rosjan (choć trzeba pamiętać, że badania prowadzone w kraju autorytarnym mają niewielkie znaczenie) wynika z nadziei, że Ukrainę uda się złupić, okraść, wzbogacić na niej, wykorzystać? Odmienić przeklęty los narodu zdeformowanego przez bolszewizm w potworka, jego chroniczną biedę i niedobory przez grabież?”.

Jeśli określenie „przeklęty naród (złodziejski) zdeformowany przez bolszewizm w potworka” wydaje się czytelnikowi tylko niefortunnym uproszczeniem, właściwym rozemocjonowanemu publicyście, to zapewniam, że podobne opinie padają także z ust profesorów i autorytetów akademickich. Jeden z nich, w publicznie prowadzonej dyskusji, określił prawosławie rosyjskie jako religię zdominowaną przez elementy pogańskie, ukształtowaną moralnie pod najazdem mongolskim, a przez to w istocie

swojej zgoda niechrześcijańską. Profesorowi temu, przy innych okazjach deklarującemu admirację dla myśli Jana Pawła II, umknęły najwyraźniej pełne szacunku starania polskiego papieża o intensyfikację ekumenicznego dialogu z prawosławiem. Ich śladem poszedł hołd złożony tysiącom rosyjskich męczenników prawosławnych, zamordowanych przez komunistów w Rosji, który złożył polski papież w trakcie swojej pielgrzymki do Bułgarii.

Zniknął z pamięci zbiorowej dokument odczytywany przed 10 laty we wszystkich polskich kościołach, a podpisany przez przewodniczącego Konferencji Episkopatu Polski abp. Józefa Michalika oraz patriarchę Moskwy i całej Rusi Cyryla I. Apelowano w nim o pojednanie narodów Polski i Rosji, wyrażając nadzieję, że „wspólne wysiłki oczyszczą pamięć historyczną i przyczynią się do budowania relacji między dwoma sąsiednimi narodami, a podstawą do tego są miłość chrześcijańska i wzajemne przebaczenie”. Nie przypominam sobie, by dzisiejsi krytycy zdegenerowanego prawosławia głosili podobne poglądy w tych nieodległych czasach. Zabrakło wtedy głosów wskazujących na niestosowność powoływania się na miłość i wzajemne przebaczenie w odniesieniu do pogan, wśród których biskupami są byli współpracownicy KGB. Czyżby odmiennie za rządów Platformy Obywatelskiej oczekiwania władzy duchownej, świeckiej i zagranicznego sojusznika tak bardzo wypaczały stan wiedzy ówczesnych historyków i kulturoznawców?

Przytoczyć też można opinię prezydenckiego ministra Andrzeja Dery, który ogłosił niedawno w wywiadzie udzielonym TVP, że Rosjanie na Ukrainie zachowują się gorzej niż Niemcy w roku 1939. Inny polityk, tym razem Marek Sawicki z PSL, ogłosił w tej samej stacji, że: „Rosjanie to nie są ludzie. To są zwyyczajni barbarzyńcy i cały świat powinien to jasno wiedzieć, i my jako Polacy mamy święty obowiązek o tym wszędzie komunikować”. Starożytni, którzy ukuli pojęcie „barbarzyńca”, nie odbierali jednak ludom barbarzyńskim przywileju człowieczeństwa, posel ludowców posunął się przed kamerami o krok dalej.

Wzgląd na kamery nie mityguje jednak wcale internetowych analityków i komentatorów sytuacji międzynarodowej. Ci bez pardonu dzielą już Rosję na średniowieczne chanaty i księstwa, wyrzucają za Ural i uzależniają gospo-

darczo. Tu zacytować warto fragment analizy „geopolitycznej” opublikowanej na stronie internetowej Warsaw Institute: „Podtuczeni zagranicznym kapitałem oraz posiadający tzw. plecy lokalne grupy wpływu i oligarchowie mogliby zacząć prowadzić rozgrywkę pod sztandarem ruchów separatystycznych w kontrze do Moskwy.

Finalnie wykorzystanie przynależności etnicznej jako wymówki w rozgrywkach wewnętrznych mogłoby doprowadzić do rozpadu Federacji Rosyjskiej na wiele wrogo do siebie nastawionych państw, które łatwo można by uzależnić gospodarczo przez potężniejszych sąsiadów, a co za tym idzie – kontrolować bez konieczności używania sił niezbędnych do fizycznej aneksji nowych terytoriów. [...] Niezależnie, jaki kształt przybiorą

Pochopne wzbudzenie przez media skrajnych antyrosyjskich reakcji utrudnia wewnętrzny dyskurs polityczny

zmiany, pamiętać trzeba, że wszystko, co osłabia Rosję, jest dla Polski okolicznością jak najbardziej korzystną”.

CO NAM DA TA POGARDA?

Zastanówmy się, jakie mogą być rezultaty budowania w polskich mediach podobnej narracji. Po pierwsze, okazywanie pogardy całej kulturze rosyjskiej i rosyjskiemu Kościołowi prawosławnemu może bardzo utrudnić polskie oddziaływanie polityczne i kulturalne na wschodnich terenach dawnej Rzeczypospolitej, gdzie duże grupy ludności mówią wciąż po rosyjsku, czytają Puszkina – a może nawet Brodskiego, Mandelsztama czy Dowłatowa, i prawosławia za pogaństwo nie uważają. Jeśli chcemy, by nasz głos miał znaczenie na Kaukazie, w Mołdawii, państwach bałtyckich, Azji Środkowej i innych w różnym stopniu zrusyfikowanych obszarach postsowieckich, to mielibyśmy chyba większe możliwości dyplomatycznego manewru, nie traktując rosyjskiej ludności „z butą” i nie antagonizując jej wyzwiskami.

Sądzę też, że rozpalać przez rządzących tak negatywnych emocji w trakcie

konfliktu wojennego może mieć dla społeczeństw bardzo niedobre konsekwencje. Nawet będąc mocarstwem zaangażowanym w wojnę, dobrze jest traktować przeciwnika z respektem, trzeźwo oceniając jego słabe i mocne strony. Nienawiść często zaślepia, prowadząc do klęski. Wracając do antyangielskiej histerii rozpętanej podczas pierwszej wojny światowej w Cesarstwie Niemieckim, to w zamierzeniu władz miała ona odwrócić uwagę obywateli od wzrostu cen i niedoborów żywności, dotkliwych zwłaszcza dla ludności cywilnej. Gniew głodujących cywili miał się zwrócić przeciw Anglikom. W rezultacie propaganda ta doprowadziła do nacisku opinii społecznej na rząd, który w roku 1917 ogłosił szalenie ryzykowną decyzję o rozpoczęciu nieograniczonej wojny podwodnej, wymierzonej w Brytyjczyków. Był to decydujący błąd Niemiec, który zadecydował o wejściu USA do wojny i odebrał państwu centralnym realne (bez udziału Amerykanów w wojnie i po klęsce Rosji carskiej) szanse na pokonanie ententy.

Pochopne wzbudzenie przez media skrajnych, emocjonalnych reakcji, w tym wypadku antyrosyjskich, utrudnia wewnętrzny dyskurs polityczny w tym dokładnie momencie, gdy jest on najbardziej potrzebny. Kiedy, jeśli nie teraz, w obliczu toczącej się u naszych granic wojny, mają Polacy przedyskutować i poddać racjonalnej analizie argumenty przemawiające za czasem i rodzajem naszego w nią zaangażowania? W klasycznej demokracji to właśnie decyzja o wojnie lub pokoju była tą najważniejszą, w której wyrażały się podmiotowość i suwerenność obywateli. Dziś sufluje się nam powstrzymanie od jakichkolwiek kwestionujących linię mainstreamu dyskusji, w ramach rzekomego imperatywu przeciwstawienia się, bez względu na koszty, pogardzanym „orkom”, a być może nawet istotom demonicznym. Takie przedstawienie przeciwnika jest niemądre w czasie pokoju, a potencjalnie katastrofalne w czasie wojny. Bardzo ogranicza też nasze pole politycznego manewru w przyszłości, co może nie być korzystne dla polskiej racji stanu. Niestety, dla części rodzimych elit racją stanu stało się utrzymywanie stanu powszechnej histerii. Czy pozwoli ona skutecznie manipulować emocjami wyborców? Być może tak, choć skutki podobnych działań mogą być długotrwałe i dotkliwe.

Centralne wydarzenie europejskiej fazy synodu o synodalności mamy już za sobą. Na niemieckiej „drodze synodalnej” w toku obrad, które odbywały się w dniach 6–8 września we Frankfurcie nad Menem (tzw. Zgromadzenie Synodalne), progresywni biskupi, księża i świeccy przyjęli kilka rewolucyjnych dokumentów, które chcą przedstawić papieżowi oraz zaproponować jako program na przyszłość Kościołowi w Europie. Pod wodzą bp. Georga Bätzinga, szefa Episkopatu Niemiec, oraz kard. Reinharda Marxa, bliskiego doradcy Franciszka, Niemcy zaproponowali m.in. „zmianę podejścia” do homoseksualizmu tak, by związki jedнопłciowe były w Kościele w pełni akceptowane, włącznie z udzielaniem im błogosławieństw. Zasugerowali też „nową rolę” kobiet, która zasadzałaby się na wyrażeniu przez Kościół zgody na udzielanie paniom święceń kapłańskich.

Te i inne niemieckie propozycje doskonale korespondują z postulatami, które wyrażono w odbywających się na polecenie papieża synodach w większości krajów Europy Zachodniej. Za kilka miesięcy biskupi z całej Europy zbiorą się, by na podstawie dotychczasowych obrad opracować dokument, który stanie się oficjalnym głosem europejskim wysłanym następnie do Rzymu. Co zrobi z tym Stolica Apostolska?

REWOLUCJONIŚCI FRANCISZKA

6 sierpnia odbyła się w Watykanie konferencja prasowa podsumowująca dotychczasowe prace synodalne na całym świecie. Omawiano na niej również plany na kolejne miesiące. Prym na konferencji wiedli dwaj kardynałowie, którzy z woli Franciszka zarządzają całym procesem. Pierwszym z ich jest sekretarz Synodu Biskupów, kard. Mario Grech, Maltańczyk. Jeszcze kilka lat temu był zagorzałym przeciwnikiem rozwodów w swojej ojczyźnie; gdy tylko Franciszek ogłosił „Amoris laetitia”, objawił się jednak nagle jako najzagorzalszy zwolennik papieskiej rewolucji wobec powtórnych małżeństw i szybko wprowadził wszystkie oczekiwane przez papieża zmiany. Franciszek sownie go za to wynagrodził, z niewielkiej Malty przenosząc na szczyty hierarchii w kurii rzymskiej.

Drugim synodalistą Franciszka jest kard. Jean-Claude Hollerich, arcybiskup Luksemburga. To rewolucjonista pełną gębą, który popiera agendę LGBT, zniesienie celibatu i święcenia dla kobiet.

Odgórna rewolucja



FOT. WATIKAN MEDIA/EST NEWS



Paweł Chmielewski

Globalny synod o synodalności wszedł w drugą, kontynentalną fazę. Jego progresywni kierownicy zapowiedzieli, że Kościół nie będzie „zmieniał doktryny”, ale konieczne jest wypracowanie „nowego podejścia duszpasterskiego” w wielu kwestiach. To zakamuflowana zapowiedź przeprowadzenia w Kościele kolejnej rewolucji – zadekretowanej przez najwyższą władzę, a legitymizowanej przez odwołanie do mitycznego „ludu”

Kardynał Hollerich będzie z woli papieża czuwał nad kształtem finalnego dokumentu synodalnego jako relator synodu o synodalności. Co więcej, to de facto w jego rękach leżą stery nad europejskim procesem synodalnym. Kardynałowie

Grech i Hollerich byli przez dziennikarzy pytani o wiele drażliwych tematów. Maltańczyk proszono o zajęcie stanowiska wobec heretyckich przecież pomysłów zgłaszanych w Niemczech. Odparł, że osobiście nie ma na ten temat nic do po-

wiedzenia, i odczytał lakoniczny wyimek z listu Franciszka do Niemców z 2019 r., w którym papież, jakby nie wiedząc, co ma właściwie napisać, zachęcił ich do odważnych prac synodalnych, prosząc przy tym o nadanie prymatu wymiarowi ewangelizacyjnemu. Wstrzeźliwość Grecha w sprawie niemieckich herezji była zaplanowana. Kardynał ten zresztą ledwie kilka tygodni później udzielił wywiadu, w którym w bardzo ostrych słowach skrytykował działanie abp. Stanisława Gądeckiego i biskupów ze Skandynawii, którzy opublikowali w tym roku listy wzywające „drogę synodalną” do wierności Ewangelii. Sekretarz Synodu Biskupów powiedział, że takie działania są jak „publiczna denuncjacja”...

Kardynał Hollerich został z kolei zapytany na konferencji, czy synod o synodalności zmieni nauczanie na temat homoseksualizmu. Pytanie było zasadne, bo kilka tygodni wcześniej Luksemburczyk deklarował, że Katechizm Kościoła katolickiego trzeba w zakresie oceny LGBT zmienić i synod jest do tego idealnym narzędziem. Hollerich z rozbrajającym uśmiechem odpowiedział indagującemu go dziennikarzowi, że synod o synodalności nie będzie „zmieniać doktryny” – chodzi przecież o to, by „odświeżyć” katolickie podejście do różnych tematów.

ODRZUCENIE DOTYCHCZASOWYCH NORM

Nowe podejście duszpasterskie, „odświeżenie” praktyki kościelnej bez zmian doktrynalnych – to język, który katolicy dobrze znają. Również Sobór Watykański II odbywał się pod hasłem „korekty duszpasterskiej”. Vaticanum II nie miało przekształcać doktryny – i rzeczywiście same teksty soborowe, jak wiadomo, można przy pewnym wysiłku zinterpretować „konserwatywnie”. Jednak ci, którzy w Kościele mieli po soborze władzę, nie byli bynajmniej zainteresowani takim ich odczytaniem. Chcieli rewolucji i ją przeprowadzili, budując Kościół z całkowicie nową liturgią, nastawiony na ekumenizm i dialog posunięty aż do granic zaprzeczania własnej tożsamości. Jestem w stanie doskonale wyobrazić sobie, jak będą wyglądać zmiany po „duszpasterskim” synodzie o synodalności. To, co dzisiaj dzieje się wciąż w pewnym ukryciu, zacznie wychodzić z cienia – w imię otwarcia nowej epoki w dziejach i „autentycznej”, bo synodalnej interpretacji soborowego „ducha”.

Przykład: pod koniec sierpnia szwajcarskie media podały, że w diecezji Chur świecka kobieta symulowała koncelebrację Mszy św. Przechodziła na emeryturę po kilkudziesięciu latach kierowania parafią i chciała to uczcić. Pokazano zdjęcia. Biskup miejsca wszczął wstępne postępowanie kanoniczne. Jego harda postawa okazała się jednak zasłoną dymną. Feministyczna organizacja Maria 2.0 ujawniła, że owa kobieta symulowała koncelebrę kolejny już raz, a biskup dobrze o tym wiedział. Nie reagował. W końcu symulowanie przez świecką kobietę wykonywania czynności kapłańskich jest zgodne z nowym rozumieniem kapłaństwa w progresywnych środowiskach katolickich, które uważają za konieczne odrzucenie wszelkich dotychczasowych form kościelnych jako „historycznych” i stąd relatywnych.

Takich przypadków jest bez cienia wątpliwości więcej w wielu krajach europejskich, a może i w obu Amerykach. Dotąd rzadko jednak o nich słyszeliśmy, ale to właśnie może zmienić się po synodzie o synodalności. Wprawdzie zapisane nauczanie Kościoła katolickiego na temat święceń kapłańskich kobiet pozostanie takie, jak przedtem, ale „synodalnie usposobieni” biskupi nie będą nawet myśleć o wszczynaniu jakichkolwiek postępowań w imię wierności nowym paradygmatom tolerancji dla przekraczania granic tego, co arbitralnie uznane zostaje za wyłącznie historyczne. To samo, gdy idzie o błogosławienie par homoseksualnych – już dzisiaj jest to zabronione tylko de iure, bo de facto wszystko zależy od woli lokalnego biskupa. Kto chce, ten błogosławi. O różnych ekstremach w dialogu międzyreligijnym nawet nie wspominam; w Kościele pod rządami Franciszka, który osobiście uczestniczy w pogańskich rytuałach szamańskich, nie ma nawet mowy o wierności nauce katolickiej w tym zakresie. Oto „zmiana duszpasterska” bez „zmiany doktryny”.

To oczywiście hipokryzja. Lex orandi, lex credendi: prawo modlitwy jest prawem wiary. Biskupi, którzy dopuszczają do symulacji koncelebry świeckich, kobiety i mężczyzny; ci, którzy pozwalają na błogosławienie par jedнопłciowych; hierarchowie zapraszający do świątyn mahometan, by odczytywali koraniczne passusy – wszyscy oni mogą wprawdzie gardłować o niezmienności nauki katolickiej, ale w praktyce pokazują, że wyznają inną wiarę niż ta, która określona jest

w Katechizmie obowiązującym jakoby na terenie ich diecezji. Kościół katolicki nie jest religią księgi ani watykańskich dokumentów. Jest religią Tradycji – tego, co przekazywane. Po Soborze Watykańskim II żaden papież nie wydał encykliki ogłaszającej np., że Żydzi nie muszą się nawracać. Nie musiał, bo tak się dzisiaj po prostu naucza – i już. Analogicznej zmiany, na innych tylko obszarach, możemy spodziewać się po synodzie o synodalności.

JESZCZE GŁĘBSZY KRYZYS TOŻSAMOŚCI

Kluczowe decyzje być może już dawno zapadły. Wszyscy, którzy pamiętają synody o rodzinie z lat 2014 i 2015 wiedzą, jak to się odbywa: papież i jego współpracownicy z góry przyjmują pożądaną synodu, a konkretne prace są organizowane tak, by jakoś go uzasadnić. Nie oznacza to jednak, by wszystko było przesądzone. Za pontyfikatu Franciszka kilka razy okazywało się już, że zwarty opór środowisk przywiązanych do nauki Kościoła jest w stanie ograniczyć postępy Rewolucji. Tak było po synodzie o młodzieży w 2018 r. oraz po synodzie o Amazonii w roku 2019, kiedy w obliczu aktywności konserwatystów progresiści musieli ograniczyć swoje apetyty. Ograniczyć nie oznacza, naturalnie, zupełnie zatrzymać.

Jest w zasadzie niemożliwe, by synod o synodalności nie zakończył się pogłębieniem kryzysu tożsamości Kościoła i dalszym odrzucaniem różnych elementów jego nauczania. Środowiska modernistyczne zbyt wiele zainwestowały w ten projekt i zbyt mocne mają karty. Zapowiedzi głównych graczy są jasne: idą „zmiany duszpasterskie”. To, co – jak się wydaje – można jeszcze zrobić, to podjąć próbę konsolidacji środowisk konserwatywnych wokół odważnych biskupów, przede wszystkim w Europie, bo to nasz kontynent będzie główną areną bitwy o przyszłość katolicyzmu. Poprzez twarde „nie” wobec kolejnej w ostatnich dziesięcioleciach rewolucji wewnątrz Kościoła można wyznaczyć jakieś granice, zatknąć sztandar oporu, wlewając tym samym nadzieję w serca tych, którzy nie chcą biernie poddać się walcowi przemian, i przygotować grunt pod odbudowę z ruin w przyszłości. Można zrobić tylko tyle i aż tyle.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest dziennikarzem i publicystą PCh24.pl.

Podczas ubiegłotygodniowego
orędzia Putin ogłosił podjęcie
działań, które są ryzykowne także
dla niego samego FOTKREMLIN.RU

Putinowska ruletka



Maciej Pieczyński

Mobilizacja, aneksja i groźba użycia broni jądrowej to odpowiedź Kremla na militarne porażki oraz wewnętrzną krytykę. Eskalacja napięcia jest ucieczką do przodu. Bardzo przy tym ryzykowną. Putin, trzymając Ukrainę i Zachód na muszce, jednocześnie sam ze sobą gra w rosyjską ruletkę

Kłeska w obwodzie charkowskim miała znaczenie nawet bardziej psychologiczne i propagandowe niż militarne. Ukraińcy nie byli w stanie przeprowadzić skutecznej kontrofensywy na Chersoń, nie mówiąc już o likwidacji korytarza z Krymu do Donbasu, więc uderzyli na słabszy odcinek frontu. Dość powiedzieć, że Rosjanie nawet nie planowali referendum w sprawie aneksji Charkowszczyzny, ponieważ uznali, że okupują zbyt niewielki procent obwodu. Niemniej to właśnie w tym regionie Ukraińcy po raz pierwszy

rozbili Rosjan i zmusili ich do panicznej wręcz ucieczki. Rozmiarów klęski nie dało się ukryć. Putin, krytykowany również przez samych Rosjan za nieskuteczność, musiał odpowiedzieć.

Z braku argumentów militarnych zareagował również krokami, które w najbliższym czasie będą miały bardziej psychologiczne i propagandowe znaczenie. Przy czym wszystkie trzy „odpowiedzi na Chamberlaina” (jak metaforycznie nazywa się w Rosji zdecydowaną reakcję na działania przeciwnika przez analogię do sowieckiej, antybrytyjskiej kampanii propagandowej) oznaczają nie tylko zagrożenie dla Ukrainy i Zachodu, lecz także dla samego Putina. Te trzy kroki to mobilizacja, aneksja i groźba ataku jądrowego.

WOJNA I BUNT

Najgłośniej było o pierwszym z nich. Od dłuższego czasu wydawało się, że bez powszechnej mobilizacji i przejścia od ograniczonej formuły „specjalnej operacji wojskowej” do pełnowymiarowej wojny Rosja nie tylko nie podbije Ukrainy, lecz także nie zdobędzie całego Donbasu. Z drugiej strony, Putin chciał uniknąć podjęcia tak radykalnej decyzji w obawie przed niezadowolonym społecznym,

a także dlatego, że nie chciał przyznać, iż ukraińska armia okazała się silniejsza, a rosyjska – słabsza, niż przewidywał. Prowadzona od dłuższego czasu cicha mobilizacja nie przyniosła oczekiwanego skutku. Żeby zachować okupowane terytoria oraz szansę na zajęcie kolejnych, Rosja musi nie tylko odtworzyć zdolności bojowe przetrzebionych oddziałów, lecz także generalnie zwiększyć swój potencjał militarny na Ukrainie.

Warto pamiętać, że Ukraińcy mieli dotąd mniej więcej trzykrotną przewagę liczebną nad zaangażowanymi na froncie wojskami rosyjskimi. Dodając do tego dominację wywiadowczą wspieraną przez Zachód Ukraińców oraz słabe dowodzenie i motywację po stronie najeźdźców, trudno się dziwić rosyjskim niepowodzeniom. Przy czym jednak Kreml nie ogłosił powszechnej mobilizacji, lecz częściową, obejmującą jedynie 300 tys. osób (według części mediów to mocno zaniżona liczba). Szef MON Siergiej Szojgu zapewnił, że poborowi i studenci unikną wezwania, bo w kamasze pójść mają jedynie rezerwiści.

Kreml postanowił uspokoić środowiska wielkomięskiej, w tym akademickiej, młodzieży, część społeczeństwa najbardziej buntowniczą, pacyfistyczną i prozachodnią. Wielotysięczne protesty

i tak przeszły ulicami wielkich miast i zostały brutalnie stłumione. To jednak nie oznacza, że niezadowolenie społeczne rozejdzie się po kościach. Wcześniej Rosjanie wychodzili na ulice z tak abstrakcyjnych przyczyn jak fałszerstwa wyborcze, uwięzienie opozycyjnego polityka czy napaść na Ukrainę. Żadna z tych spraw nie dotyczyła bezpośrednio samych protestujących. Bunt miał podłoże ideowe, wynikające z przywiązania do niepopularnych w Rosji zachodnich wartości. Putin mógł więc machnąć na nie ręką. A właściwie OMON-owską pałką. Ale teraz powodem oburzenia jest realny strach przed pójściem na wojnę, przed śmiercią na froncie. Strach ten odczuwa również wielu zwolenników specoperacji. Co z tego, że pod broń ma być powołanych „jedynie” 300 tys. osób (czyli niewiele nawet jak na zasoby ludzkie rezerwy)? Wcześniej Kreml obiecywał wielokrotnie, że nie będzie żadnej mobilizacji. Rosjanie masowo szukają możliwości albo wyjazdu z kraju, albo uniknięcia powołania do wojska. Trzysta tysięcy wezwań może wystarczyć, by znacząco zmniejszyć poparcie społeczeństwa dla wojny. Być może też wystarczy, by Rosja w tej wojnie znów zaczęła wygrywać – to w końcu dwukrotność sił rosyjskich, zaangażowanych początkowo w specoperację. Problem jednak w tym, że przeskolenie i przygotowanie zmobilizowanych żołnierzy może zająć kilka miesięcy, do pół roku. Ukraińcy muszą więc się spieszyć z kolejnymi kontrofensywami, zanim sytuacja na froncie zmieni się na ich niekorzyść. W międzyczasie jednak Putin, wbrew nastrojom wymuszając mobilizację, będzie igrał z ogniem potencjalnej rewolucji. Kolejne sukcesy armii ukraińskiej z pewnością tylko doleją oliwy do tego ognia.

RYZYKO BLAMAŻU

Kolejna „odpowiedź na Chamberlaina” (a właściwie na Zełenskiego) to aneksja okupowanych terenów. Referenda w sprawie włączenia republik donbaskich oraz obwodów chersońskiego i zaporoskiego w skład Federacji Rosyjskiej zapowiadane były i przekładane przez wiele miesięcy. Po klęsce charkowskiej początkowo odłożono je na czas nieokreślony, po czym separatyści i kolaboranci oficjalnie „zadecydowali” o błyskawicznym przeprowadzeniu głosowań, a Moskwa wspierała myślnie się „zgodziła”. Teoretycznie jest to decyzja absurdalna. Bardzo

możliwe, że już po ogłoszeniu wyników referendum dana miejscowość, uroczyscie włączona do Rosji, zostanie wyzwolona przez Ukraińców. Ale Kreml potrzebuje na gwałt sukcesów – jeśli nie militarnych, to politycznych, albo przynajmniej propagandowych. Wyniki referendum i tak były znane od dawna. Kremlowscy propagandyści mówili o głosowaniu tak, jakby było oczywiste, że „naród Donbasu” wybierze przynależność do Rosji. W warunkach kontrofensywy nie było możliwości, żeby z referendum uczynić manifestację rzekomego poparcia dla Moskwy, jak to miało miejsce na Krymie osiem lat wcześniej. Ale teraz to nie ma większego znaczenia. W tak trudnych warunkach, uzasadnionych permanentnym zagrożeniem ze strony „ukronazistów”, Moskwa nie musi chwalić się światu obrazkami swoich zwolenników, tłumnie i radośnie zmierzających do urn. Zresztą świat i tak wyników referendum by nie zaakceptował. Podobnie jak „głosującą” miejscową ludność ukraińską.

W sprzyjających dla Rosji warunkach referenda pozwoliłyby zamrozić konflikt. Moskwa ogłosiłaby ostateczne „wyzwolenie” Donbasu, Chersońszczyzny i Zaporozża i mogłaby zawiesić specoperację, nie tracąc przy tym twarzy. W idealnym dla siebie scenariuszu, zmusiłaby Kijów do uznania takiego stanu rzeczy. Ale nawet gdyby to się nie udało, byłaby w stanie obronić okupowane tereny przed kontrofensywą. Jednak Ukraińcy nie zamierzają iść na żadne ustępstwa terytorialne, a Rosjanie mogą nie być w stanie utrzymać anektowanych regionów przed nadejściem zmobilizowanych posiłków. Putin ryzykuje więc kolejny blamaż.

Z drugiej strony, w momencie, gdy Moskwa zaanektuje ukraińskie dwa obwody i dwie republiki na prawach podmiotów federacji, zostaną one objęte parasolem nuklearnym. „Dziś referendum, jutro włączenie do FR, pojutrze – ataki na teren Rosji uznane zostaną za pełnowymiarową wojnę Ukrainy i NATO z Rosją, która to wojna rozwiąże Rosji ręce” – komentowała szefowa RT Margarita Simonian. Aneksja ma być więc straszakiem. Putin liczy na to, że nikt nie ośmieli się zaatakować terytorium Rosji w obawie przed eskalacją. Przeliczy się jednak. Po pierwsze, rosyjskość tych terenów uzna jedynie sama Rosja. Po drugie, Ukraińcy pokazali już, że nie boją się groźb Putina. Po trzecie, zdążyli już – co prawda na odległość – zaatakować Krym, co nie doprowadziło do nowej

Hiroszimy. Mało prawdopodobne – choć możliwe – że Putin użyje broni jądrowej przeciw Ukrainie w odwecie za odbicie np. Chersonia. Po czwarte, jeśli Ukraińcy odbiją tereny włączone do Rosji, a Moskwa nie będzie potrafiła w wystarczająco ostry sposób odpowiedzieć na tę „zniewagę”, car po raz kolejny okaże się nagi. Wreszcie aneksja w warunkach ukraińskiej kontrofensywy może być pretekstem do tego, by częściową mobilizację rozszerzyć, a nawet nadać jej status „powszechnej”. Specoperacja na terenie obcego, wrogiego państwa zamieni się w obronę własnego państwa, ta zaś będzie wymagała poświęceń całego narodu. Wątpliwe jednak, by przerażeni wizją walki z bronią w ręku Rosjanie chętniej ginęli za ukraiński Melitopol tylko dlatego, że od wczoraj formalnie znalazł się on w granicach ich państwa...

ATOM NAD DNIEPREM?

Oczywiście może być tak, że Putin jednak postrada zmysły i zrealizuje powtarzaną już do znudzenia groźbę. Ogłaszając częściową mobilizację, skłamał, mówiąc, że to Zachód pierwszy zagroził Rosji atakiem jądrowym. To zaś oznacza, że Putin wcale nie potrzebuje być sprowokowany, żeby wymachiwać atomową szabelką. To po prostu stały element jego propagandowego arsenału. Wciąż liczy, że nawet jeśli nie Ukraina, to bardziej bojaźliwy od niej Zachód przestraszy się i wymusi na Zełenskim ustępstwa. Uderzenie w któryś z krajów NATO byłoby nawet nie rosyjską ruletką, tylko samobójczą kulą w łeb. Gdyby z kolei Putin użył broni jądrowej nad Dnieprem, wówczas NATO w obawie przed eskalacją mogłoby się wycofać z popierania Kijowa – bo przecież nie jest zobowiązane do obrony kraju, który członkiem sojuszu nie jest. Być może tak kalkuluje władca Kremla.

Ale to tylko domysły, zresztą użycie broni jądrowej byłoby początkiem końca, a może nawet końcem samego Putina. Nawet gdyby przeżył wydanie feralnego rozkazu, a do symetrycznej odpowiedzi by nie doszło, Putinowska Rosja na arenie międzynarodowej byłaby skończona – być może również w oczach przywódców Chin czy Indii, którzy popierają autokratów, ale niekoniecznie szaleńców. Dlatego władca Kremla zrobi wszystko, by wystraszyć, a nie, by spełnić swoją groźbę. Bo atak jądrowy kosztuje więcej niż specoperacja.

German Dream

Przyjaźń Gerharda Schrödera z Władimirem Władimirowiczem ma długą historię

FOT. MIKHAIL SVETLOV/GETTY IMAGES



Jan Bogatko z Berlina

Kiedyś mówiono American Dream. Że niby twardą pracą można osiągnąć wszystko, o czym się zamarzy. Tak było wczoraj! Dzisiaj kariera od społecznych dołów na szczyt socjety jest możliwa w Niemczech! German Dream, czyli spełnione marzenia Gerharda Fritza Kurta Schrödera, dla przyjaciół „Gerda”

Raczej ma mniej na koncie niż niejeden Rockefeller, ale jest co najmniej tak samo znany, jak każdy członek tego klanu. Gerhard Schröder, były kanclerz Niemiec, niegdyś wpływowy niemiecki polityk, dziś rosyjski lobbysta o słabnącej sile przebicia, zasługuje na nową, obszerną monografię. Na jego temat pisano wiele, krytycznie i panegirycznie, z zachwytem i nie kryjąc rozczarowania, ale ta monografia dotąd się nie ukazała na bogatym niemieckim rynku wydawni-

czym. Tymczasem Niemcy na nią czekają z pewnym niepokojem. O Konradzie Adenauerze mówiono, że trzeba go było wynieść z Urzędu Kanclerskiego, o Ludwigu Erhardzie, że go wypchnięto z gabinetu, Willy'ego Brandta zmuszono do ustąpienia, Helmut Kohl uległ skandalom, a Gerhard Schröder sam się wymanewrował na manowce polityki (jak było z Angelą Merkel, wszyscy pamiętają). Tak pisze Peter Zudeick w swej książce pod nieprzetłumaczalnym na żaden język, spunerystycznym tytułem

„Verbrandt, verkohlt und ausgemerkelt”, o końcu karier niemieckich kanclerzy (Westend Verlag 2021, s. 218). Schröder tym się różni od swych współlokatorów z Urzędu Kanclerskiego, że jego kariera trwa nadal, aczkolwiek w innym miejscu, budząc u jednych zazdrość, u innych obrzydzenie.

TEMPO IŚCIE NIEMIECKIE

18 września minęło 17 lat, od kiedy to „Gerd” Schröder przegrał wybory do Bundestagu. 22 listopada 2005 r. gwiazdor

niemieckiej esdecji opróżnił fotel kanclerski dla Angeli Merkel (notabene swego czasu też przyjaciółki Władimira Putina, od którego dostała przechowywany w jej gabinecie konterfekt carycy Katarzyny II, przez sympatyków zwanej Wielką, odtwórczyni roli głównej w operacji rozbiórów Polski).

Jeszcze nie minęły od wyborów trzy tygodnie, kiedy to „Gerd” przystąpił do pracy w rosyjskim koncernie gazowniczym Gazprom na stanowisku szefa rady nadzorczej dopiero co powstałego konsorcjum (z udziałem niemieckich firm E.ON und Wintershall) zajmującego się budową planowanego gazociągu bałtyckiego. A to się nie mieści nawet w kategorii American Dream! To iście niemieckie tempo! Nie wiem, czy są tacy, którzy uznaliby to za przypadek, za zbieg okoliczności! I tak Gerhard Schröder przestał być niemieckim politykiem, stając się rosyjskim lobbystą. Uzależniając Niemcy i kierowaną przez Berlin Unię Europejską od rosyjskiego gazu, Schröder doskonale spełnił pokładane w nim przez Moskwę oczekiwania i nadzieje. Im większy był zachwyt w Moskwie, tym większe zdawało się rozczarowanie Berlina. Najpierw oczywiście tego opozycyjnego (Ada, to nie wypada!), a po kilku dniach także w szeregach esdecji („Gerd” nie jest tego wart). „Pecunia non olet”. A więc może to jednak zazdrość? Kilka set tysięcy euro rocznie zarabia wedle różnych poważnych źródeł był siódmy kanclerz Republiki Federalnej Niemiec. Jak informował „Der Spiegel” w 1978 r., późniejszy rosyjski lobbysta określał się jako zdecydowany marksista. „Czerwony sztandar” to jego pieśń bojowa!

Przyjaźń „Gerda” z Władimirem Władimirowiczem ma długą historię. Sięga ona co najmniej dnia, w którym „Gerd” zainicjował Dialog Petersburski (2001) – forum dyskusyjne niemieckich i rosyjskich sfer politycznych i gospodarczych. Nie można wykluczyć, że już wówczas – jako kanclerz Niemiec! – Schröder pracował dla swoich moskiewskich mocodawców. Musiał to czynić z „proletariackiej solidarności”, skoro nikt nie postawił mu zarzutu korupcji. Krótko po opuszczeniu Urzędu Kanclerskiego nad Sprewą Schröder objął lukratywną posadę w Gazpromie. Gdyby nie współczesne realia, można by mniemać, że jesteście świadkami historii ze średniowiecza, kiedy to arystokraci pełnili nierzadko funkcje na obcych dworach, opłacani przez monarchów

mieszkiem pełnym złota. Skojarzenie jest prawidłowe, bo tak naprawdę wielkiej różnicy tu nie ma. Jednak „Gerd” do swej opowieści dodaje wątek patriotyczno-europejski (Europa to dla Schrödera rzecz jasna Unia Europejska): w autobiografii, którą siódmy kanclerz Republiki Federalnej Niemiec napisał w 2006 r., lobbysta Kremla utrzymuje: „Moje poparcie dla gazociągu bałtyckiego wynika wyłącznie z kierowania się interesem naszego kraju i Europy. Dlatego wspierałem ten projekt, kiedy byłem jeszcze kanclerzem”.

Czasami nawet wspierał ten projekt bezwiednie. Po klęsce wyborczej Gerharda Schrödera wyszło na jaw, że rząd Republiki Federalnej, na którego czele stał przecież on, wraz z niemieckim państwowym bankiem pomocy KfW (parabank na rzecz odbudowy) i Deutsche Bank, chciał przyznać Gazpromowi kredyt w wysokości miliarda euro. Schröder zaprzeczał później, by cokolwiek o tym wiedział. Drobiazg ten mógł ujść jego uwadze z powodu nawału pracy. Lobbyista organizował coraz to nowe spotkania między zainteresowanymi współpracą

Nie minęły od wyborów trzy tygodnie, kiedy to „Gerd” przystąpił do pracy w rosyjskim koncernie gazowniczym Gazprom

z rosyjską gospodarką niemieckimi politykami. Dzisiaj woleliby pewnie, by nie wymieniano ich nazwisk. Do serii owych bilateralnych rozmów wysokiego szczebla należała niewątpliwie rozmowa szefa Gazpromu, Aleksieja Millera, z niemiecką minister gospodarki, Brigitte Zypries z SPD (2017). Tematem rozmowy był planowany wówczas gazociąg Nord Stream 2, krytykowany od samego początku przez Polskę, trafnie dostrzegającą w projekcie kolejny akt uzależnienia Unii Europejskiej od Rosji.

ANI CIENIA SKRUCHY

Od pięciu lat Gerhard Schröder jest prezesem rady nadzorczej rosyjskiego koncernu petrochemicznego Rosneft. „Der Spiegel” podaje, że Schröder na tym stanowisku zarabia rocznie 600 tys. euro. To jednak na pewno mniej niż Igor Sieczin, prezes firmy wydobywającej

ropę naftową na Morzu Karskim, u ujścia Jeniseju. Przy tych fortunach dochody rosyjskiej wierzchuszki w latach przed zamordowaniem przez rosyjskich marksistów ostatniego cara Rosji, Mikołaja II, to peanuts.

Ale posada w Rosniefcie to niejedyna synekura „Gerda”. Schröder ma także dochody z Niemiec. Wokół nich doszło teraz do niemałej awantury. Dlaczego lobbysta z Moskwy ma mieć biura w Berlinie, finansowane z budżetu Republiki Federalnej? Na razie zawieszono Schröderowi te przywileje. Toczy się spór. Rosyjski lobbysta walczy o apanaże. A zgodnie z niemieckim prawem przysługują one byłemu kanclerzowi Niemiec. Przyznaje ono byłemu kanclerzowi biuro z personelem. Były kanclerz, adwokat z zawodu, wytoczył państwu proces przed berlińskim Sądem Administracyjnym, jak informuje jego hanowerski adwokat, Michael Nagel, w stacji NDR. W ubiegłym roku tylko same wydatki personalne Schrödera na jego biuro wyniosły 407 tys. euro. Informacje o tym Niemcy zawdzięczają... komunistom. Na złożoną przez klub poselski partii Die Linke w Bundestagu interpelacji w tej sprawie parlament w Berlinie podał właśnie tę kwotę. W 2017 r. wydatki te wyniosły zgoła 561 tys. euro.

Teraz, podczas niekończącej się dyskusji wokół biura byłego kanclerza, czterech pracowników tegoż, w tym długoletni kierownik biura i autor przemówień Schrödera, Albrecht Funk, opuściło biuro pryncypała – poinformowała gazeta „Hannoversche Allgemeine Zeitung” (HAZ). Portal The Pioneer utrzymywał, że Funk z naciskiem apelował przedtem do Schrödera, by jak najszybciej zdystansował się od Putina. „Gerd” w LinkedIn potępił wprawdzie napaść Rosji na Ukrainę i zażądał zakończenia wojny, ale dodał, że „popełniono błędy po obu stronach”. Tymczasem prawdziwa zmiana stanowiska wygląda inaczej – zauważył portal RND. To żadna samokrytyka – uważa prawica w SPD. Irytację w szeregach czerwonych konserwatystów (?) wywołał wywiad, którego po fazie milczenia Schröder udzielił gazecie „New York Times” 23 kwietnia 2022 r. W nim ani cienia skruchy. „Mea culpa to nie mój styl”.

Partia nadal ufa towarzyszkowi Schröderowi! Postępowanie w sprawie wykluczenia byłego kanclerza z partii pokoju, za jaką nadal uważa się SPD, zakończyło się porażką wnioskodawców.

■ Wyrzucić z partii Schrödera? Właściwa rzeczowo komisja rozjemcza SPD nawet go nie zrugowała! Co więcej, stwierdziła ona w powziętej uchwale, że Gerhard Schröder, zajmując stanowisko przyjazne wobec Rosji, nie naruszył zasad i regulaminu SPD. Po tym, jak były siódmy kanclerz Republiki Federalnej określił Władimira Putina mianem demokracji czystego jak brylant, świadectwo nieskazitelnej moralności wydaje z kolei partyjna komisja swemu towarzysowi. Z drobnymi zastrzeżeniami, jak to w stylu propagandystów na wszelki wypadek.

Partyjni prawnicy nie mieli nic do zarzucenia koledze i towarzysowi. Kwestie moralne to inna bajka. Można co prawda odwołać się od orzeczenia komisji. Ale kto tego dokona? Kanclerz Scholz, duchowy spadkobierca Schrödera? Przeciwno „Gerdowi” po napaści Rosji na Ukrainę skierowano 17 wniosków o wyrzucenie z SPD byłego szefa partii i rządu. Pierwszy rzucił kamieniem region partyjny SPD w Heidelbergu, bo już 2 marca 2022 r. Niebawem dołączyły kolejne, wszystkie zarzucały Schröderowi trywializację agresji ze strony Rosji, pielęgnowanie w tych okolicznościach przyjaźni z Putinem oraz trzymanie się posad w rosyjskich firmach, takich jak Gazprom, Nord Stream i Rosneft. Schröder po swojemu zignorował postępowanie. Jego biuro poinformowało jedynie, że w tym terminie bawi na urlopie (był rzeczywiście w lipcu w Moskwie, gdzie spotkał go przypadkiem korespondent n-tv, Dirk Emmerich, ale nie był to tylko urlop). Nie dla wszystkich członków SPD komisja rozjemcza była tak wspańiałościwa. Były polityk SPD, Thilo Sarrazin, został wyrzucony w 2020 r. z partii (wprawdzie dopiero za trzecim podejściem, ale jednak) z powodu swych krytycznych wobec islamu artykułów i książek.

Inni nie byli wobec byłego szefa partii i kanclerza tak łaskawi. Irytację wywołały wypowiedzi Schrödera w rodzaju zarzutu „potrząsania szabelkami”, komentujące wezwania do dostarczania broni napadniętej przez Rosję Ukrainie. Schröder zaczął popadać w izolację. Klub piłkarski Borussia Dortmund skreślił Gerharda Schrödera z listy członków honorowych. Niemiecki Związek Piłkarski Deutsche Postawił Schröderowi ultimatum: albo członkostwo honorowe, albo posady w Moskwie. Były kanclerz zareagował na to tak, jak na wszelkie inne żądania: wzruszeniem ramion i już 11 marca

2022 r. przestał być członkiem honorowym DFB. Kiedy jego ulubiony Klub Sportowy w Hanowerze, Hannover 96, zapowiedział możliwość skreślenia Schrödera z listy członków honorowych, były kanclerz sam zrezygnował z zaszczytu. W radzie miasta Hanower na wniosek opozycyjnej CDU (dawniej chrześcijańscy demokraci) rozgorzała debata wokół pozbawienia Gerharda Schrödera honorowego obywatelstwa stolicy Dolnej Saksonii. Nadburmistrz Hanoweru, Belit Onay (z partii Bündnis 90/Die Grünen), zaapelował do Schrödera, by zrezygnował z zaszczytu. Wierna była żona moskiewskiego lobbysty (jedna z pięciu!), Doris Schröder-Köpf, oburzyła się publicznie na to żądanie, ponieważ jej zdaniem „nie wolno stawiać »Gerda« w jednym szeregu z Hitlerem”. Były kanclerz i tym razem salwował się ucieczką do przodu i złożył na ręce nadburmistrza rezygnację z tytułu honorowego obywatela, i to – jak dodał – nieodwołalną. Arbeiterwohlfahrt (AWO) – pracownicza organizacja charytatywna – pozbawiła Gerharda Schrödera przyznanej mu w 2005 r. nagrody pokojowej imienia Heinricha Albertza. To poważne wyróżnienie w Niemczech. „Postawa Gerharda Schrödera jest nie do pogodzenia z naszymi wartościami” – stwierdziła w imieniu AWO Kathrin Sonnenholzner. Ale Schröder ma tych wyróżnień tyle, że sam być może wszystkich nie pamięta. Wśród nich znajduje się Order Orła Białego, przyznany mu przez Aleksandra Kwaśniewskiego.

KANCLERZ NA LIŚCIE PRZEBÓJÓW

Z nadętego siódmego kanclerza Republiki Federalnej Niemcy chętnie się naśmiewali. Na przykład z jego pretensjonalnej elegancji, drogich garniturów, firmowych koszul czy pachnidła. Niemców pasjonowała kwestia, czy „Gerd” farbuje włosy czy też to ich naturalny kolor. Był to swego czasu niemal najważniejszy temat w niemieckiej polityce wewnętrznej – w 2002 r. Schröder doprowadził zgoda do wydania postanowienia sądowego, zakazującego agencji prasowej ddp powielania informacji, jakoby farbował włosy. Był on stąd wygodnym celem dla kabareciarzy. Największą popularnością w czasach kanclerzowania Schrödera cieszyło się „Gerd-Show”, dzieło doskonałego imitatora Schrödera, Elmara Brandta. „Gerd” znalazł się również na niemieckiej liście przebojów (drugie miejsce!) w piosence Single Hole „Skocz

po piwo” z autentycznym głosem kanclerza Schrödera z wypowiedzi szefa rządu na pewnej publicznej imprezie. Trafił on także do repertuaru grupy Die Toten Hosen („Być kanclerzem”) w roku 2002, a przez sześć tygodni na niemieckiej liście przebojów numerem jeden był „podatkowy song” Elmara Brandta z kanclerzem w roli głównej. No i uwieczniali go wreszcie przez 10 lat trzej kabareciarze, w tym André Hartmann. Oraz najważniejsze: jego rola kremlowskiego lobbysty zapewniła mu pseudonim Grac-Gerd, coś w rodzaju Lemoniadowego Joe.

German Dream... Tak, to oszałamiająca kariera dla chłopaka ze społecznych dołów. Syn drobnego kryminalisty szefem rządu światowego mocarstwa, wreszcie – lobbystą Imperium Zła. Oto szczeble kariery: najpierw szkoła podstawowa w Bexten (dziś dzielnica Bad Salzuflen), po przeprowadzce – w miejscowości Talle. Teraz nauka handlu w sklepie z porcelaną w Lemgo, a potem praca w składzie żelaznym w Lage. Jako jedyny syn żołnierza, poległego na wojnie, do wojska iść nie musiał. Obok pracy uczęszczał do szkół wieczorowych, by uzyskać w końcu (w Bielefeldzie) maturę uprawniającą do podjęcia studiów. Studia prawa skończył „Gerd” na uniwersytecie w Getyndze, po aplikacji został wpisany na listę adwokatów w Hanowerze. Najsłynniejszy klient mecenasa Schrödera? Terrorysta ze skrajnie lewicowego, finansowanego przez NRD (czyli Związek Sowiecki) RAF, Horst Mahler, dzisiejszy nazi, zaprzeczający Holocaustowi.

Najpierw kanclerz, potem lobbysta Kremla. Na tym pewnie koniec. Drogi powrotnej nie będzie. Ale miejsce w historii ma zapewnione na zawsze. Kiedy na krótko przed rosyjską agresją na Ukrainę (15 lutego 2022 r.) w Moskwie bawił z wizytą przyjaźni towarzyszy partyjny Schrödera, Olaf Scholz, wypowiedział te słowa, dotyczące Dialogu Petersburskiego, inicjatywy swego partyjnego kolegi, Schrödera: „Istotnym filarem relacji niemiecko-rosyjskich jest zwłaszcza społeczny dialog, który bardzo przyczynił się do zrozumienia i pojednania między narodami po drugiej wojnie światowej. Dlatego tematem rozmów w Moskwie był także Dialog Petersburski. Jest on od lat synonimem zrozumienia niemiecko-rosyjskiego a dziś jest ważniejszy niż kiedykolwiek przedtem”. W tym roku nie odbyła się jednak jego kolejna edycja.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

TAKA ZABAWA TYLKO W MOSKWIE

Rosyjska telewizja od rana informowała mieszkańców Moskwy, że z okazji Dnia Miasta otwarto w ich mieście nie lada atrakcję – diabelskie koło. Oczywiście „bolsze wszech”, czyli wyższe od każdego innego w Europie. Sam Władimir Putin gratulował tej nowej atrakcji, która pomoże odpocząć ludziom z rodzinami (nie licząc tych, którzy z wojny udają się od razu na wieczny odpoczynek jako „Ładunek 200”). Moskwianie, którzy pospieszyli skorzystać z atrakcji, zastali diabelskie koło unieruchomione. Zepsuło się pierwszego dnia. No kto by pomyślał!



SANKCJE NIE ZADZIAŁAŁY, ALE ZADZIAŁAJĄ?

CNN opublikowała opinię „wysokiego rangą” przedstawiciela administracji USA. „Oczekiwaliśmy, że rzeczy takie jak SWIFT i wszystkie sankcje blokujące przeciwko rosyjskim bankom totalnie zniszczą rosyjską gospodarkę i we wrześniu będziemy mieli do

czynienia z dużo bardziej osłabioną gospodarką Rosją niż tą, z którą mamy do czynienia obecnie” – przyznał. Jednocześnie zapowiedział, że efekty sankcji powinny być widoczne najpóźniej w połowie przyszłego roku.

POKONANI PRZEZ CZAJNIKI

Niezależny białoruski portal Nexta pokazał nagranie z pomieszczeń,

które opuścili rosyjscy okupanci na Ukrainie. Zalegał w nich stos skradzionych Ukraincom czajników elektrycznych, w których Rosjanie próbowali gotować wodę na... kuchence gazowej. „Ponieważ czajniki elektryczne w połączeniu z kuchenką gazową szybko stają się bezużyteczne, postanowili ukraść ich więcej. Nie myśleli jednak o kradzieży podstaw zasilających” – wyśmiewa Rosjan Nexta na Twitterze.

PANDEMIA ANALFABETÓW

Przedstawiciele UNICEF w siedzibie ONZ zasygnalizowali, z czym wiązało się zamykanie szkół podczas pandemii COVID-19. Ich zdaniem zaostrzyło to istniejący już wcześniej kryzys w edukacji i na całym świecie pozbawiło miliony dzieci szansy na opanowanie podstawowych umiejętności liczenia i czytania. 64 proc. dzieci nie jest w stanie przeczytać i zrozumieć prostej pisanej historii do 10. roku życia.

INDYKI TERRORYŚCI

Atakują przechodniów, dzieci na rowerkach, wskazują do samochodów – stado agresywnych indyków uprzykrza życie mieszkańcom Woburn w USA. Zdaniem ekspertów ds. zwierząt, którzy wypowiadali się w reportażu CBS, problem spowodowali sami ludzie, którzy dokarmiali indyki. Nie podpowiedzieli, że można go rozwiązać, tylko teraz indyki muszą stać się pożywieniem dla ludzi. ©©

Łukasz Zboralski



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Korekta bardzo potrzebna

Dobra wiadomość dla tych, którzy chcieliby rzucić to wszystko i wyjechać... w Bieszczady, do strefy euro lub jeszcze dalej: do USA. Europejski Bank Centralny szacuje, że w wyniku podwyżek stóp procentowych w ciągu najbliższych dwóch lat ceny domów i mieszkań w strefie euro spadną średnio o 9 proc. Spadki cen domów (o 5,6 proc. w roku 2023 i 1,8 proc. w roku 2024) prognozuje też np. duński bank centralny.

Spowolnienie na rynku nieruchomości jest też widoczne w USA. Ceny już spadają, a według finansistów to dopiero początek. Prognozy

analityków potwierdził Jerome Powell, szef Rezerwy Federalnej (Fed). Podczas wystąpienia po ogłoszeniu podwyżek stóp o 75 punktów bazowych Powell oznajmił, że „na rynku mieszkaniowym musimy przejść przez korektę”.

Spadki cen domów i mieszkań mają sprawić, że znów więcej osób będzie mogło sobie pozwolić na kupno nieruchomości. W czasach nieruchomościowej gorączki ceny skoczyły tak bardzo, że przeciętny Amerykanin o średnich zarobkach na nowy dom po cenie z mediany musiał bowiem pracować już ponad 16 tys. godzin. – Z punktu widzenia cyklu biznesowego ta trudna korek-

ta powinna przywrócić równowagę na rynku mieszkaniowym – podkreślił szef Fed.

A jak będzie w Polsce? Nad Wisłą od lat wielu analityków wmawia ludziom, że ceny nieruchomości mogą tylko rosnąć, przez co w domy i mieszkania inwestuje wielu tych, którzy boją się kupować akcje. Tymczasem co najmniej kilkuprocentowe spadki cen nominalnych wydają się bardzo prawdopodobne. Już słyszę skamłanie budowlanców, którzy w swych luksusowych limuzynach będą żądać pomocy państwa. Oby nie dostali grosza, bo korekta akurat na tym rynku jest bardzo potrzebna. ©©

Martha's Vineyard to urocza wysepka u wybrzeży stanu Massachusetts, którą szczególnie upodobał sobie bogaci przedstawiciele elit kojarzonych z Partią Demokratyczną. Na tej wyspie swoje posiadłości mają m.in. Barack Obama i Bill Clinton. Ogromne wille bez ogrodzeń, praktycznie zerowa przestępczość, po prostu cisza i spokój – idealne dla ludzi, którzy chcą tu nabrać sił przed rozpoczęciem kolejnego sezonu walki o bardziej sprawiedliwą Amerykę.

W połowie września ta idylla została jednak brutalnie przerwana, gdy na lokalnym lotnisku, gdzie zazwyczaj lądują prywatne samoloty multimilionerów i miliardarów, pojawiły się dwie maszyny, które przywiozły 50 nielegalnych imigrantów z Wenezueli. Na wyspie doszło do wielkiego poruszenia, a lokalne demokratyczne władze od razu ogłosiły, że – mimo najlepszych chęci – na Martha's Vineyard nie ma niestety warunków dla tych ludzi (mimo że wyspę zamieszkuje niemal 20 tys. ludzi). Najważniejsze amerykańskie media miały okazję zrobić kilka chwytających za serce ujęć, jak lokalni mieszkańcy przygotowali poczęstunek dla Wenezuelczyków i dostarczają im spiwory, ale niecałe dwa dni później pobyt przybyszów na wyspie się zakończył. Wezwana na miejsce Gwardia Narodowa (podlegająca władzom stanu Massachusetts) zaprosiła Wenezuelczyków do autobusów i wywiozła ich z raju bogatych demokratów na stały ląd.

„AZYL” W PRAKTYCE

Człowiek, który zorganizował lot imigrantów na Martha's Vineyard, musiał się uśmiechać od ucha do ucha. Republikańskiemu gubernatorowi Florydy Ronowi DeSantisowi udało się w ten sposób pokazać całemu narodowi hipokryzję demokratów: hasło „żaden człowiek nie jest nielegalny” łatwo jest powtarzać, jeżeli jest się kilka tysięcy kilometrów od granicy, przez którą codziennie przelewa się fala nielegalnych imigrantów. Zupełnie inaczej wygląda sytuacja, gdy ci ludzie pojawiają się w „ogródku” demokratów.

„Tak, Floryda może potwierdzić, że dwa samoloty z nielegalnymi imigrantami, które przyleciały dziś na Martha's Vineyard, były częścią stanowego programu relokacji polegającego na przewożeniu nielegalnych imigrantów do miejsc zapewniających »azyl«” – ogłosiła rzeczniczka DeSantisa Taryn Fenske. I dodała: „Takie stany jak Massachusetts, Nowy



Operacja „północna relokacja”



Piotr Włoczyk

Nic tak nie obnaża hipokryzji demokratów jak wysłanie nielegalnych imigrantów pod bramy ich luksusowych posiadłości. Wygląda na to, że republikanie znaleźli sposób na przekonanie Amerykanów, jak bardzo zakłamaną politykę prowadzi w tej kwestii partia Joe Bidena



Migranci z Wenezueli przetransportowani na Martha's Vineyard, 15 września

FOT. BOSTON GLOBE/GETTY IMAGES

Jork czy Kalifornia lepiej zaopiekują się ludźmi, których demokraci zaprosili do kraju poprzez popieranie nielegalnej imigracji, ogłaszanie się stanami zapewniającymi „azyl” i podpisywanie się pod prowadzoną przez administrację Bidena polityką otwartej granicy”.

Swoje trzy grosze dorzucił też sam DeSantis. „Wszyscy ci ludzie w Waszyngtonie DC i w Nowym Jorku podkreślali, gdy Trump był prezydentem, że są dumni, ponieważ ich miasta zapewniają „azyl”. Podkreślali też, jak złym pomysłem jest zabezpieczanie granicy. W momencie jednak, gdy w ich miastach pojawia się ułamek ludzkiej fali, która zalewa nasze miasta przy granicy, nagle dostają oni ataku wściekłości” – stwierdził, nie kryjąc satysfakcji.

W odpowiedzi na akcję DeSantisa demokraci próbowali przedstawić jego działania jako podeptanie podstawowych praw człowieka, nie do końca chyba rozumiejąc, że wywiezienie Wenezuelczyków z Martha's Vineyard przez Gwardię Narodową niezbyt dobrze pasuje do ich narracji.

– Zamiast pracować nad konkretnymi rozwiązaniami, republikanie uprawiają politykę kosztem zwykłych ludzi. To, co robią, jest po prostu złe, nieamerykańskie i głupie. Mamy na granicy odpowiednie procedury, które pozwalają się zająć imigrantami – przekonywał Joe Biden.

W mainstreamowych mediach również przedstawiano przetrzymywanie imigrantów na północ jako odrażający czyn. Katie Phang z MSNBC mówiła wręcz w swoim programie o okrucieństwie, twierdząc, że republikanie, na czele z Donaldem Trumpem, czerpią przyjemność z cierpienia niewinnych. Phang porównała przetransportowanie Wenezuelczyków na Martha's Vineyard do przewożenia bydła, a republikkańskich polityków, którzy popierają takie działania, nazwała autokratami.

Problem w tej narracji polega jednak na tym, że nikt nie wypychał Wenezuelczyków na siłę do samolotów. Jak pokazali to reporterzy telewizyjni, imigranci, którzy przybyli na Martha's Vineyard, byli nawet wdzięczni gubernatorowi Florydy za to, że z przepełnionego ośrodka trafili na wyspę, gdzie warunki do życia były dużo lepsze. Owszem, wszystko wskazuje na to, że ludzie pracujący dla DeSantisa faktycznie obiecywali im, że na miejscu lokalni politycy wszystko im zapewnią. Ale czy – jeżeli brać na poważnie zapewnienia demokratów o tym, że „nikt nie jest nielegalny” – nie powinno to być założenie jak najbardziej słuszne?

ODWIEDZINY U KAMALI

Trzeba otwarcie przyznać, że gubernator DeSantis faktycznie wykorzystał grupę nielegalnych imigrantów do osiągnięcia własnego celu politycznego, ale też nikomu się w czasie tej „operacji” nic złego nie stało, a ich widoki na przyszłość wyglądają na pewno lepiej w Massachusetts niż w Teksasie. To bowiem stamtąd, a nie z Florydy, została wywieziona ta grupa. DeSantis gra w tej kwestii w duecie z gubernatorem Teksasu Gregiem Abbottem, który już od pół roku wysyła do Chicago, Nowego Jorku i Waszyngtonu autobusy pełne nielegalnych imigrantów. Do tej pory nie wywołał jednak tymi działaniami tak silnego poruszenia medialnego.

Równolegle z wysłaniem nielegalnych imigrantów na Martha's Vineyard Abbott wywiozł podobnie liczną grupę Wenezuelczyków do Waszyngtonu, prosto pod bramę rezydencji wiceprezydent Kamali Harris, którą Joe Biden uczynił swoją pełnomocniczką ds. imigracji. „Wysyłamy

migrantów do jej ogródka, by wezwać administrację Bidena do zabezpieczenia naszej granicy” – napisał na Twitterze gubernator Teksasu.

Sytuacja w przygranicznych stanach rzeczywiście robi się pod tym względem dramatyczna. O ile w 2019 r. zatrzymano na granicy 400 tys. osób próbujących ją nielegalnie przekroczyć, o tyle rok temu liczba ta wzrosła do 1,6 mln, a w tym roku z pewnością przekroczy 2 mln. Przy czym oczywiście skuteczność służb granicznych nie wzrosła w sposób zasadniczy. Z danych tych jasno wynika, że praca na północ rzeka imigrantów kilkakrotnie się zwiększyła. To pokazuje, jak konieczne jest zbudowanie na granicy amerykańsko-meksykańskiej szczelnego muru, na który tak alergicznie reagują demokraci.

Republikańscy politycy przekonują, że skoro demokraci z Północy dumnie ogłaszają rządzone przez siebie miasta czy hrabstwa miejscami, które zapewniają „azyl” nielegalnym imigrantom (odmawiają współpracy z federalnymi służbami deportującymi takich ludzi), a także przeciwstawiają się wzmocnieniu ochrony południowej granicy, to nie powinni się dziwić, że władze zalewanych przez migrantów stanów wysyłają takich ludzi na północ. Floryda w zeszłym roku przeznaczyła na ten cel 12 mln dol. i gubernator DeSantis, który wyrasta w partii na głównego konkurenta Donalda Trumpa, zapowiedział, że wyda z tej sumy każdy cent.

Wygląda na to, że demokraci kompletnie się pogubili w tej kwestii i na każdym kroku udowadniają, że ich polityka pełna jest hipokryzji. Gdy bowiem na początku września Greg Abbott wysłał kilkuset nielegalnych imigrantów do centrum Chicago, J.B. Pritzker, gubernator stanu Illinois, w którym leży to miasto, zdecydował o przeniesieniu tych ludzi do okolicznych miasteczek. Nie przygotował jednak ich burmistrzów na tę niespodziankę, choć sam wcześniej narzekał, że Abbott działa nieludzko – z zaskoczenia.

„To by było na tyle, jeżeli chodzi o »przyjazność« Chicago. Demokratyczne elity biją rekordy, jeżeli chodzi o hipokryzję, czemu dziś może się przyglądać cały naród” – powiedziała rzeczniczka gubernatora Teksasu Renae Eze. W tej ostatniej sprawie trudno się nie zgodzić z Eze. Cała Ameryka widzi, i to przed listopadowymi wyborami do Kongresu, jak w praktyce wygląda realizowanie przez demokratów ich naczelnego hasła „żaden człowiek nie jest nielegalny”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Narodowe sadzenie drzew

Lasy i zadrzewienia to ponad jedna trzecia część kraju. To dużo, ale leśnicy nie ustają w wysiłkach, by Polska była jeszcze bardziej zielona. Każdy może im w tym pomóc. 29 i 30 września, w ramach akcji #sadziMY, we wszystkich nadleśnictwach w kraju będzie można otrzymać sadzonkę i posadzić własne drzewo!

Tak jak mamy narodowe czytanie, o akcji #sadziMY można już mówić, że to narodowe sadzenie drzew.

Wydarzenie na stałe wpisało się w kalendarz ekologicznych imprez. Lasy Państwowe już trzykrotnie przeprowadziły tę spektakularną akcję. Od początku patronują jej prezydent Andrzej Duda i jego żona Agata Kornhauser-Duda. To wyjątkowy patronat, ponieważ para prezydencka nie tylko honorowo wspiera przedsięwzięcie, lecz także sama, własnym przykładem, zachęca do działania.

– Po raz czwarty rusza akcja #sadziMY. Jak co roku bierzemy w niej udział i serdecznie do tego zachęcamy – mówi prezydent Andrzej Duda.

Prezydent i jego małżonka zainaugurują tegoroczne narodowe sadzenie w okolicach Nowego Sącza. Tam, utartym zwyczajem, będą osobiście sadzili drzewa.

BO SADZIĆ DRZEWA KAŻDY MOŻE!

Iglaste czy liściaste, strzeliste czy też o rozłożystych konarach – każde drzewo to ostoja życia. Miejsce gniazdowania ptaków, siedlisko owadów, dostarczyciel pożywnych nasion i ściółki dla mikroorganizmów glebowych. Dla człowieka to cień w letnie upały, czystsze powietrze, osłona przed wiatrem i kojąca oczy zieleń. Dlatego leśnicy znów zapraszają Polaków do ogólnopolskiego sadzenia drzew. Z pożytkiem dla siebie i przyrody.

Co zrobić, żeby posadzić drzewo?

– Wystarczy odszukać, gdzie znajduje się najbliższe nadleśnictwo, i w czwartek lub piątek 29 i 30 września wybrać się tam w godz. 9–15 po sadzonki – podpowiada Józef Kubica, p.o. dyrektor generalny Lasów Państwowych. – Celowo tak zaplanowaliśmy akcję, by chętni mieli cały weekend na posadzenie drzewek na własnym gruncie.

To, jakie gatunki drzew będą do odebrania, zależy od dostępności sadzonek w konkretnym nadleśnictwie. W części z nich mogą pojawić się również krzewy. W nadleśnictwach będzie dostępna różna liczba sadzonek. Łącznie jednak Lasy Państwowe deklarują,

że w tych dniach na chętnych będzie czekało aż milion drzew.

ŻYWY RODZINNY POMNIK

Rzecznik Lasów Państwowych proponuje, by sadząc drzewo, które odbierzemy w nadleśnictwie, upamiętnić ważne rodzinne wydarzenie, jubileusz czy narodziny dziecka.

– Sam jestem ojcem i narodził się swego syna też upamiętniłem, sadząc drzewo. W polskiej kulturze to ważny symboliczny obowiązek spoczywający na głowie rodziny. Jako leśnicy pomagamy go wypełnić – mówi Michał Gzowski.

I dodaje, że pamiątkowe drzewo to bardzo dobry sposób, by wdrażać najmłodszych członków rodziny do opieki nad nim. Kolejne rocznice to okazja do obserwacji wraz z dzieckiem, jak takie drzewo rośnie, jak zmienia się wraz z wiekiem i przemijającymi porami roku. Może to być pretekst do głębszego zainteresowania przyrodą.

– Samo sadzenie drzewa to również świetna okazja do rodzinnego spotkania. Zaprośmy do posadzenia drzewa dziadków i babcię, przyjaciół. Niech długowieczne drzewa w symboliczny sposób połączą całe pokolenia – zachęca Gzowski.

ABY ZAZIELENIĄĆ POLSKĘ

Nikt nie ma wątpliwości, że dla dobra kraju, zdrowia obywateli i bezpieczeństwa przyrody im więcej lasów, tym lepiej. O potrzebie wzrostu lesistości mówi Krajowy Program Zwiększania Lesistości, przyjęty w 1995 r. przez Radę Ministrów. Program wyznacza etapowe cele przyrostu powierzchni leśnej. Jego realizacja powinna doprowadzić do zwiększenia lesistości kraju do 30 proc. w roku 2020 i 33 proc. po roku 2050. Cel pośredni na rok 2020 niemal udało się zrealizować.

– Bez problemu moglibyśmy zalesić 35 i więcej procent naszego kraju. Jednak w gęsto zaludnionej Polsce podaż gruntów do zalesień jest ograniczona. I dlatego chcąc dalej zadrzewiać Polskę, musimy poszukiwać również innych dróg wiodących w tym kierunku – mówi Józef Kubica, p.o. dyrektor generalny Lasów Państwowych.

Dlatego w końcu zeszłego roku Lasy Państwowe ogłosiły akcję skupu lasów i gruntów pod nowe lasy. To przedsięwzięcie bez precedensu. Grunty leśniczy co prawda nabywali od zawsze, ale po raz pierwszy wszystkie nadleśnictwa w Polsce szeroko promowały taką możliwość.

– Akcja #sadzimy to krok w tym samym kierunku – by zazieleniać Polskę – pod-

Sprawdź, gdzie jest nadleśnictwo

Siedziby wszystkich nadleśnictw, a także granice ich zasięgu i mnóstwo informacji o polskich lasach znajdziesz na bd.lasy.gov.pl. Aplikację Banku Danych o Lasach warto też pobrać na telefon. Choćby po to, by nie zgubić się na grzybach, które na terenach w zarządzie Lasów Państwowych można zbierać bez ograniczeń.



Zadbaj o korzenie, czyli kilka rad od leśnika

• **Nie przesusz korzeni.** Gdy tak się stanie, zmniejszasz szansę na przyjęcie się drzewka. Dobrą osłoną będą grube foliowy worek czy plastikowe wiaderko z wilgotnym piaskiem. Aby przechować sadzonki, wystarczy je ułożyć płasko na gruncie i starannie obsypać korzenie ziemią.

• **Posadź w okresie spoczynku.** Drzewa najlepiej sadzić jesienią bądź wczesną wiosną, w okresie, kiedy znajdują się w fazie spoczynku. Wówczas szanse na to, że się przyjmą, są o wiele większe niż w pełni wegetacji.

• **Nie zawijaj korzeni.** Gdy grunt jest bardzo trudny (kamienie, glina), bardzo długie korzenie lepiej przyciąć ostrym szpadlem.

• **Udepcz ziemię.** Chodzi o to, by wokół korzeni nie pozostawały przestrzenie wypełnione powietrzem, przez co korzenie nie będą spełniać swoich funkcji.

• **Małe – urośnie.** Sadząc drzewa od leśników, warto zawczasu pomyśleć, że cienki patek z czasem zmieni się w okazałą pień z koroną gałęzi i liści. Jeśli posadzimy drzewa zbyt blisko budynku albo zbyt gęsto, to w przyszłości czekają nas kłopoty.



Michał Gzowski,
rzecznik prasowy
Lasów Państwowych

Mamy o połowę więcej lasów...

Powierzchnia naszych lasów była po wojnie dużo mniejsza niż dzisiaj. Inwentaryzacja przeprowadzona w 1946 r. wykazała, że lesistość Polski wynosi 20,8 proc. Już przed wojną lasy padały ofiarą parcelacji. Nawet liche grunty zamieniano na pola orne, a w czasie wojny doszło także do licznych wylesień. Dzięki konsekwentnej pracy leśników dziś wskaźnik lesistości wzrósł o niemal połowę i sięga 29,6 proc.



Józef Kubica
– p.o. dyrektor generalny
Lasów Państwowych

... i trzykrotnie więcej drzew!

Ale nie tylko powierzchnia polskich lasów była niewielka. Działania wojenne, nadmierny wyrąb przez okupantów i masowe kradzieże spowodowały, że ówczesne lasy były mocno przetrzebione. Efektem kilku dekad pracy leśników jest nie tylko wzrost powierzchni, lecz także wzrost zasobności lasów. Ten wskaźnik wzrósł aż trzykrotnie! Mamy więc nie tylko o połowę więcej powierzchni leśnej, lecz także aż trzykrotnie więcej drzew!

kreśla Kubica. – Te drzewa posadzone na prywatnych działkach, przy domach, w ogrodach czy na polach także spełniają ważną rolę dla środowiska.

500 MLN DRZEW KAŻDEGO ROKU

Milion sadzonek, które zaoferują Polakom Lasy Państwowe, to ogromna liczba. Ale nie jest aż tak spektakularna w zestawieniu z tym, co rośnie na kilkuset szkółkach leśnych. Sadzonek jest tam... ok. 700 mln sztuk! I co roku część z nich

opuszcza szkółki, by zostać wysadzona na terenach leśnych. Lasy Państwowe są największym w Polsce producentem sadzonek drzew leśnych. W sumie, łącznie z odnowieniem naturalnym, leśnicy rokrocznie wysadzają 500 mln młodych drzew.

– Zależy nam, aby efektem akcji #sadzimy stały się lokalne oazy wysokiej zieleni, bardzo korzystnie oddziałujące na mikroklimat i zdrowie Polaków – mówi Michał Gzowski. – Zatem zapraszamy do nadleśnictw po młode drzewka!

KAROL GAC: Zbliża się zima. Będzie ciemno i zimno?

ANNA ZALEWSKA: Zimą generalnie jest ciemno i zimno, ale na zewnątrz. Mam nadzieję, że w Polsce, a także w całej Unii Europejskiej zadamy o Europejczyków tak, że będą odpowiednio ogrzani i oświetleni.

Eksperti wskazują, że nadchodzące miesiące będą wyjątkowo trudne. Na poważnie podnosi się temat ubóstwa energetycznego, co jeszcze jakiś czas temu wydawało się abstrakcją. Pani przestrzegała przed tym już dawno.

To prawda. W pandemii pracowaliśmy nad prawem klimatycznym, które już w założeniach oddziaływania na społeczeństwo i gospodarkę było straszne. Kiedy zmieniały się parametry, m.in. unijnego systemu handlu uprawnieniami do emisji (EU ETS), które szybowwały jeszcze przed wojną, to założenia, że ok. 25 proc. Europejczyków będzie zagrożonych ubóstwem energetycznym, można było spokojnie podwoić. Pandemia, wojna na Ukrainie i szaleństwo na rynku energetycznym powodują, że Komisja Europejska próbuje ręcznie zarządzać energią i ciepłem.

Niedawno spotkali się ministrowie do spraw energii, którzy poinformowali o czterech dokumentach legislacyjnych. Wszyscy spodziewali się, że szefowa KE Ursula von der Leyen pokaże na piśmie przynajmniej zrzęby dokumentów. Tymczasem mówiła w czasie przyszłym m.in. o powoływaniu zespołów, zadaniach i analizie. To powoduje, że obywatele wiedzą, iż UE się w tych kwestiach absolutnie nie sprawdza. Tymczasem w wielu punktach traktatowych zgodziliśmy się na wspólną politykę energetyczną.

Z czego wynikają obecne problemy? Dużą rolę odegrały niewątpliwie rosyjska agresja na Ukrainę i polityka Władimira Putina, ale chyba nie tylko.

Cały czas odczuwamy również skutki pandemii, która spowodowała poważne zawirowania i perturbacje gospodarcze. Dodatkowo uchwalono prawo klimatyczne, co spowodowało duży chaos w cenach energii. Od 2018 r. zaczęła działać zmiana z 2014 r., jeśli chodzi o rynek ETS, tj. wpuszczono na niego instytucje finansowe. Niedawno PGE zleciła think tankom analizę tego, w jaki sposób funkcjonuje ten mechanizm. Wyraźnie widać, że 70 proc. instytucji finansowych, które w nim uczestniczą, jest zarejestrowane w rajach podatkowych, co od razu



Z Anną Zalewską, europoseł PiS
rozmawia Karol Gac

Spekulanci układają nam rynek energetyczny



FOT. BRIGITTE HASE/EP/EU

pokazuje intencje. Więcej nie trzeba mówić. To spekulanci układają nam rynek energetyczny.

Od dawna wskazuje się, że system handlu emisjami jest de facto mechanizmem spekulacyjnym. Niedawno premier Mateusz Morawiecki zaproponował prezydentowi Francji Emmanuelowi Macronowi oraz KE reformę systemu ETS. Napotkał ścianę. Nikt nie jest zainteresowany zmianą tego systemu?

Wszyscy są, ale poza przywódcami państw i lobbystami, którzy zarabiają na tym systemie. Unia Europejska, wszystkie instytucje finansowe i inwestycyjne były budowane na przepisach klimatycznych i ambicjach bycia prymusem na świecie oraz forsowaniu rozwiązań technologicznych, które są tylko teoretycznie „zielone”. Dlatego ten temat nie jest podejmowany, bo nie potrafią oni funkcjonować w innym świecie. Tyle tylko, że ta mozolnie budowana konstrukcja właśnie się wali. Przekonają ich za to obywatele, którzy po prostu tego nie wytrzymają. Już teraz widać to wyraźnie. Zabrnęliśmy w same absurdy – z jednej strony mamy ETS i nowe przepisy, które jeszcze mocniej podkreślają opodatkowanie, a z drugiej mamy realny problem ubóstwa energetycznego.

Zwolennicy obecnego systemu odpowiadają, że w gruncie rzeczy po prostu ponosimy konsekwencje naszych wieloletnich zaniedbań w sprawie transformacji energetycznej, a pieniądze z ETS po prostu przejadaliśmy.

Gdyby to była prawda, to Niemcy, które w niektórych miesiącach miały w miksie energetycznym 60 proc. energii odnawialnej, a same postawiły ponad 30 tys. elektrowni wiatrowych, byłyby krainą absolutnie bezpieczną. Wtedy moglibyśmy na ten temat dyskutować, ale tak nie jest. Ponadto realizowaliśmy wszystkie założenia w tym obszarze – wydajemy miliardy na to, by przygotować sieci przesyłowe do prosumenckości, wspieramy fotowoltaikę, konsekwentnie zwiększamy udział odnawialnych źródeł energii. Mamy swoje plany i idziemy swoim własnym rytmem. Pieniądze z ETS są w przychodzie budżetu państwa, ale tak naprawdę dopiero ostatnie dwa lata to ogromne kwoty. Tylko wydajemy je zgodnie z przeznaczeniem. Fotowoltaika bez dofinansowania po prostu by się nie opłacała.

Niedawno KE opublikowała zalecenia dotyczące przezwyciężenia kryzysu energetycznego. Zapro-

Zabrnęliśmy w same absurdy – z jednej strony mamy ETS i nowe przepisy, które jeszcze mocniej podkreślają opodatkowanie, a z drugiej mamy realny problem ubóstwa energetycznego

ponowano m.in. zmniejszenie zapotrzebowania na energię elektryczną w godzinach szczytu o co najmniej 5 proc. i opodatkowanie nadwyżki zysków firm energetycznych. Nie brzmi to jak realne rozwiązanie problemów, ale raczej jak przyklejanie plasterka na poważną ranę.

Komisarz Frans Timmermans kolejny raz powinien powiedzieć o tym, byśmy wyłączyli suszarki i suszyli ubrania na powietrzu. To jego ulubiony przykład oszczędności. Tyle złośliwości. To faktycznie są zalecenia, choć miały być z tego przepisy. Z konferencji po spotkaniu ministrów do spraw energii wybrzmiały dwa elementy, jeśli chodzi o spółki energetyczne. Po pierwsze, co słuszne, choć nie wiem, jak to zrobić na gruncie obowiązującego prawa, by spółki podzieliły się zyskami z obywatelami. Po drugie, wybrzmiało tam niezwykle niebezpieczne sformułowanie dotyczące tego, że te zyski należy przekazać tym firmom, które na giełdzie sprzedają tańszy prąd. Łatwo się domyślić, kto tak robi – chodzi m.in. o prąd z wiatru, który jest tańszy, bo jest dofinansowany przez ETS i podatki. To brzmi groźnie. Na razie nie wiemy, jak ma to wyglądać w praktyce. Ponadto my mówimy o zawieszeniu systemu ETS, a ministrowie postulowali zatrzymanie go na jakimś sensownym poziomie, np. 32 euro. Mówi się też o oszczędzaniu energii i zatrzymaniu cen gazu. Tylko to są cały czas pomysły, konferencje prasowe i ciągłe używanie czasu przyszłego. Jednak równolegle procedowany jest pakiet „Fit for 55”, który jest przecież zupełnie nieaktualny. KE chce zdążyć przed listopadem, by pochwalić się na szczycie klimatycznym, że UE jest liderem, choć równolegle świat może się zawalić.

Każdy kryzys jest zarazem szansą np. na zmianę obowiązujących systemów czy reguł. Mówi pani o tym, że pakiet „Fit for 55” jest cały czas procedowany. Wierzy pani w otrzymanie Brukseli i zrewidowanie jej polityki?

Brukseli i KE nie. Wierzę za to w Radę Europejską, ponieważ rządy znikną, jeśli sytuacja się nie zmieni. RE musi przestać być poprawna politycznie, obawiając się szantażu ze strony KE dotyczącego funduszy europejskich. Ostatnie dni pokazują, że to już de facto polityczne zarządzanie pieniędzmi. Rodzą się już jednak bunty wśród społeczeństw. Strach i obawa ludzi powodują, że będą oni dążyć do zmiany rządów. Przywódcy muszą sobie to uzmysłowić i być przy obywatelach. Moim zdaniem najbliższe miesiące będą decydować nie tylko o poszczególnych rządach, lecz także o tym, jaka będzie przyszłość UE.

W którym kierunku powinien podążać polski rząd? Coraz głośniejsze są głosy, że powinniśmy się uwolnić z tego systemu. Mamy po swojej stronie narzędzia, by zmienić dotychczasowy stan rzeczy?

Powinniśmy podejmować zdecydowane kroki, bo wyciąganie ręki do KE, która nie kryje się z tym, że będzie robić wszystko, byśmy nie wygrali wyborów, nic nie daje. Powinniśmy zacząć od KPO i zaskarżyć do TSUE Komisję Europejską. Niech KE się tłumaczy. Musimy przedstawiać gotowe wnioski o płatność. Ponadto powinniśmy zatrudnić najlepsze kancelarie, by stawiać tamę absurdom wynikającym z ETS.

Niemal 30 europosłów, wśród nich pani, podpisało się pod interpelacją europosła PiS Witolda Waszczykowskiego do KE w sprawie wpływu na kształtowanie polityki energetycznej UE. Europosłowie chcą też wiedzieć, które z nich otrzymywały finansowanie z Rosji, rosyjskich firm energetycznych lub powiązanych z nimi podmiotów. Sądzi pani, że Zielony Ład i pakiet „Fit for 55” to m.in. efekt lobbingu Rosji?

Oczywiście, że tak. Pamiętajmy o tym, że panowało przekonanie, by na Nord Stream 1 i 2 oprzeć całą unijną politykę klimatyczną i energetyczną. Wszystkie kraje byłyby uzależnione od dystrybucji niemieckiej. To Niemcy dyktowałyby wszystkim cenę. Żeby doprowadzić do tego projektu, trzeba było wielu działań, które wymagały pieniędzy – chodzi m.in. o lobbuing u posłów, różne imprezy etc. Widać to było bardzo wyraźnie w latach niemieckich, o czym zresztą piszą teraz media. Potrzebujemy tej wiedzy, a zwłaszcza ci, którzy nie wiedzą, jak lobbystyczna jest polityka energetyczna UE.



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Emerycy idą z torbami

Czy ktoś jeszcze kiedykolwiek w Polsce – jakaś licząca się w wyścigu po władzę partia polityczna – odważy się zwrócić uwagę przyszłym emerytom – a więc niemal wszystkim żyjącym dziś Polakom, którzy jeszcze emerytami nie są – że jeśli nie będą dłużej pracować zawodowo, jeśli nie zaczną później przechodzić na emeryturę, to za 20–30 lat będą na starość cierpieć niedostatek, a może i głód?

Z całą pewnością nie można w tej sprawie liczyć na liderów PiS, a więc partii, która wysadziła w powietrze reformę wydłużającą obowiązkową aktywność zawodową kobiet i mężczyzn do 67 lat, przeprowadzoną przez poprzednią koalicję rządową Platformy i PSL, i przywróciła poprzednie granice wieku emerytalnego; dla kobiet – 60 lat i dla mężczyzn – 65 lat.

A przecież liderzy PiS nie mogą nie wiedzieć (a jeśli nie wiedzą, to tym gorzej dla nich), że m.in. właśnie z powodu tej ich fatalnej decyzji wysokość średniej emerytury w Polsce, która w 2015 r. była na poziomie 60 proc. średniego wynagrodzenia, spadła już do 50 proc. średniego wynagrodzenia. I będzie spadać dalej. A fastrygowanie tego fundowanymi za pieniądze podatników dodatkowymi mikrowypłatami dla emerytów, szumnie nazywanymi 13. i 14. (a teraz jeszcze może także 15.) emeryturami, w żadnym razie nie rozwiązuje tego problemu, na domiar złego stanowiąc dla szybko biedniejących z powodu inflacji podatników koszmarnie obciążenie.

Niestety, w żadnym razie nie można też w tej sprawie liczyć na odwagę liderów Platformy, którzy co prawda kilka lat temu, owszem, odważyli się przeprowadzić ową znakomitą reformę przedłużenia okresu obowiązkowej aktywności zawodowej Polek i Polaków, lecz teraz odzégnują się od tamtej swojej roztropnej decyzji jak diabeł od święconej wody. Na czele z Donaldem Tuskiem, który bezpardonowo walczył o powrót do władzy, postawił rzecz jasno: „Dla mnie sprawa jest zamknięta, nie będę więcej wracał do tematu podniesienia wieku emerytalnego, bo większość Polaków jest temu przeciwna”.

W tej sytuacji, skoro żadna z liczących się w wyścigu o władzę siła polityczna nie nosi się z zamiarem nawet rozpoczęcia na ten temat debaty publicznej, o przyjęciu podnoszących wiek emerytalny rozwiązań nawet nie wspominając, już teraz należy się zacząć przyzwyczajać do tego, że relacja średniej polskiej emerytury – zamiast rosnąć do optymalnego poziomu 66 proc. średniej płacy – będzie spadać, i to poniżej minimalnego standardu na poziomie 40 proc. średniej płacy.

Szacunki są bowiem nieubłagane – za 20 lat średnia emerytura Polaka, której wartość jest teraz dodatkowo pożerana przez gigantyczną inflację, równa będzie zaledwie 30 proc. średniego wynagrodzenia. A wtedy żadne protezy w postaci 13. i 14. ani nawet 15. i 16. mikro-, czyli biedaemerytur, na nic się już nie zdadzą. ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Putin upadnie za dwa dni

Wojna to pokój, wolność to niewola, ignorancja to siła – to jeden z najsłynniejszych cytatów z „Roku 1984” Orwella. Przypomniał mi się, gdy czytałem komentarze do zeszłotygodniowej decyzji Władimira Putina o częściowej mobilizacji w Rosji (faktycznie to ograniczenie jest bardzo umowne), która w istocie jest tym, przed czym przestrzegał m.in. wykłęty w Polsce John Mearsheimer: eskalacją. Otóż duża część polskiej opinii publicznej, a także polskich polityków

waż w codziennym komentarzu piszą m.in. tak:

„Realizacja zapowiedzianego planu mobilizacji może przyczynić się do znaczącej zmiany sytuacji na froncie na korzyść agresora. Podjęte przez Kreml działania należy także odczytywać jako wyzwanie dla Zachodu. W podobnym czasie, w jakim Rosjanie zamierzają rzucić do walki nowe jednostki, państwa wspierające Kijów staną przed koniecznością nie tylko utrzymania, lecz także znaczącego zwiększenia wsparcia militarnego dla Sił Zbrojnych Ukrainy”.

Od początku wojny w Polsce działa machina propagandowo-cenzorska, która zaciemnia faktyczny obraz wydarzeń, wzmacniając jednocześnie przekaz o ich najbardziej optymistycznej wersji i skutkach. Gdy trwała – faktycznie udana – charkowska ukraińska kontrofensywa, można było odnieść wrażenie, że Ukraińcy za moment załomocą kolbami w bramy Kremla, choć eksperci wskazywali na jej ograniczone znaczenie i charakter (nastroje studiuj m.in. były dyrektor OSW Adam Eberhardt). Gdy Putin za pomocą aparatu przymusu zamierza wrzucić na front setki tysięcy jednostek mięsa armatniego, komentarze są takie, jakby Rosja miała się za tydzień zawalić.

Czy jednak ten brak realizmu powinien nas zaskakiwać? Przecież Niemców mieliśmy w 1939 r. nakryć czapkami. Mamy doświadczenie w odrywaniu się od rzeczywistości. ©©

Wojen nie przegrywa się z powodu działań, które strona przeciwna nazywa „świadectwem słabości”

wpadła w ekstazę taką, jakby Putina na Kremlu zastępował już jakiś Mahatma Gandhi. „Ha! To świadectwo słabości Rosji!” – brzmiał najczęściej powtarzany komentarz.

Tak się jednak składa, że wojen nie przegrywa się z powodu działań, które strona przeciwna komentuje jako „świadectwo słabości”. Wojny przegrywa się – i wygrywa – na polu bitwy. Analitycy Ośrodka Studiów Wschodnich wydają się nie podzielać obowiązkowego optymizmu internetowej publiki, ponie-

Poznań



HORYZONT

NARAMOWICE

RODZINNA INWESTYCJA

www.horyzont-naramowice.pl



PRESTIŻOWA INWESTYCJA

www.wilda-corner.pl



NOVA ŁACINA

NIEMENA 6

MIESZKANIA INWESTYCYJNE

www.nova-lacina.pl



www.grupainwest.pl +48 882 818 848

eprasa.pl 3b83f4e06f

TOMASZ CUKIERNIK: Proszę podać konkretne przykłady barier jednolitego rynku europejskiego.

LECH PILAWSKI: Mieliśmy spór jednego z producentów wód mineralnych, który chciał importować wodę rurociągiem przez granicę pod rzeką, bo nie było mostu do transportu. Źródło było wykupione w Czechach, a produkcja miała się odbywać w naszym kraju. Czechy się na to nie zgodziły. Zgłaszaliśmy to do Komisji Europejskiej, problem był poruszany na poziomie Unii Europejskiej. Wtedy sąsiad zmienił przepisy, które spowodowały, że woda stała się bogactwem narodowym i nie można jej eksportować inaczej niż w opakowaniach...

Czy to było złamaniem zasad wspólnego rynku?

Zasady jednolitego rynku mówią, że każdy obywatel Unii, każdy przedsiębiorca w Unii Europejskiej ma takie same prawa, jak obywatele danego kraju-członka UE. Z naruszeniem tych zasad mamy do czynienia, kiedy granice, które nie powinny istnieć, nagle są sztucznie stwarzane. Przykładem może być kwestia transportu towarów. W tej branży Polska była liderem. Oczywiście polskie firmy nie są bez grzechu: były przykłady łamania przepisów, małe pojazdy przeładowane ponad miarę itp. To wykorzystano. W efekcie pakiet mobilności jest zwrócony przeciwko tym krajom, które mają niższe koszty, np. związane z wynagradzaniem pracowników. To interpretowano jako nieuczciwą konkurencję. Mało tego, jeszcze były zarzuty, że nie ma układów zbiorowych, że to są jakieś niedozwolone regulacje łączące wynagrodzenia z dietami itd., oskarżano nas o dumping socjalny. W związku z tym stworzono pakiet, który nawet Komisja Europejska próbowała oprotować, bo wprowadzono pewne absurdalne rozwiązania, np. związane z koniecznością powrotu do kraju co pewien czas, nawet pustym transportem. Coś, co miało chronić konkurencję, de facto ogranicza usługi innego dostawcy. Takie działania najczęściej dotyczą rynku usług, bo jest on stosunkowo najmniej zharmonizowany, choćby usługi finansowe, przepływ kapitału w całej UE. Tych obszarów, gdzie harmonizacja jest niedostateczna, jest ciągle bardzo dużo.

Pakiet mobilności to złamanie zasad wspólnego rynku nie przez kraj członkowski, tylko przez samą Unię Europejską... Porozmawiajmy o łamaniu tych zasad przez kraje członkowskie.

Nie do końca, bo przecież cały proces legislacyjny jest pod kontrolą państw



Z Lechem Pilawskim, doradcą zarządu Konfederacji Lewiatan, członkiem Europejskiego Komitetu Ekonomiczno-Społecznego rozmawia Tomasz Cukiernik

Wspólny rynek to gra



FOT. ADBE/STOCK

członkowskich. Często jednolitemu rynkowi szkodzi wdrażanie dyrektyw i narzucanie większych wymagań, niż proponuje Unia Europejska. Także w Polsce. Chodzi o ochronę własnego rynku. Na przykład próbuje się nie dopuszczać do swoich zamówień publicznych firm, które nie posiadają układów zbiorowych. W Polsce układy zbiorowe są rzadkością. W niektórych krajach Unii są dość popularne, a w części nie. W związku z tym administracje, preferując swoje firmy, wśród wymogów dostępu do oferty zamówienia publicznego umieszczają stosowanie układów zbiorowych jako podstawowego rozwiązania bezpieczeństwa socjalnego pracowników. W Europejskim Komitecie Ekonomiczno-Społecznym to częsty przedmiot sporów. Związkowcy z krajów o dużym nasyceniu układów zbiorowych wprost umieszczają to w opiniach EKES. Uważają, że nie mając układów zbiorowych, stosujemy dumping socjalny. W Polsce mamy oczywiście wymogi społeczne, płacę minimalną, kodeks pracy itd.,

ale to im nie wystarcza. Nie rozumieją różnic między funkcjonowaniem rynku pracy i przepisów prawa pracy w Polsce a w swoich krajach. Stąd zapisy, które by uniemożliwiały konkurencyjnym firmom z krajów Europy Centralnej udział w takich zamówieniach. To jest stała batalia.

W jakich krajach to się najczęściej dzieje?

Tam, gdzie jest duże nasycenie układami zbiorowymi: Francja, Austria, Hiszpania, Włochy. To jest nieustanny spór. My mamy inne gwarancje prawne, które są często równoważne, albo jeszcze lepsze [dla pracowników – przyp. T.C.] niż te, które oni mają w układach zbiorowych.

Jakie jeszcze inne bariery wprowadzają kraje członkowskie?

To mogą być specjalne wymagania techniczne, kwestie standaryzacji, problemy z rozstrzygnięciem sporów handlowych,

z pobieraniem odpłatności, z niedopasowaniem umiejętności pracowników czy niechęcią do akceptowania tych świadectw i kwalifikacji, które pochodzą z jednego kraju, w drugim kraju, normy, procedury administracyjne związane ze sprzedażą towarów czy usług, kłopot z pozyskaniem informacji na temat możliwości rynkowych, partnerów handlowych czy wymogów regulacyjnych. I oczywiście wymogi dotyczące wejścia na rynek i wykonywania działalności w odniesieniu do określonych zawodów. Ciągłe nie mamy tego dostatecznie zharmonizowanego. Przepisy na poziomie krajowym w niektórych krajach są ostrzejsze niż wymogi unijne. Z jednej strony mamy zatem jednolity rynek, ale z drugiej – jest w nim bardzo dużo niejasności, niekonsekwencji, barier. KE zwraca uwagę, że to nas bardzo dużo kosztuje.

Barierami mogą być formalne (np. standaryzacja, zezwolenia, regulacje środowiskowe), półformalne (np. nękające kontrole inspekcji państwowej) oraz nieformalne (np. czarny PR). Które są najgorsze?

Najgorsze są bariery regulacyjne i brak możliwości szybkiej reakcji. Brak instytucji, która by w szybki sposób wszelkie wnioski w sprawie zakłóceń jednolitego rynku rozważała. Na wniosek Komisji Europejskiej powołano grupę zadaniową do spraw egzekwowania przepisów jednolitego rynku z przedstawicielami państw członkowskich i Komisji Europejskiej. Na razie grupie udało się wyeliminować 43 środki ograniczające, które były stosowane np. w czasie pandemii: wstrzymanie eksportu produktów rolnych, spożywczych, zakazy wywozu, dodatkowe kontrole kwalifikacji w odniesieniu do niektórych produktów. Jak widać, ta gra toczy się na różnych poziomach. Z pewnością jednym z nich jest też system prawny UE.

Jakie są skutki barier wdrażanych przez państwa członkowskie?

Po pierwsze, bezpośrednio, czyli utracę korzyści z jednolitego rynku. Każde zakłócenie kogoś kosztuje: albo inwestora, albo konsumenta, albo pracownika. Jeśli rynek źle działa, to wzrost gospodarczy UE jest niższy, niż można byłoby oczekiwać. Dodatkowe korzyści z pełnego jednolitego rynku są szacowane w przedziale od 5 do 9 proc. PKB Unii rocznie. Po drugie, dodatkowe korzyści z obniżenia barier na jednolitym rynku skutkujące poprawą przepływów handlowych i wzrostem gospodarczym przyniosłyby korzyści rządowi 200–270 mld euro rocznie.

Czarna Księga 2 resortu rozwoju z 2021 r. pokazuje, że dotychczasowe „stare” bariery opisane w podobnej księdze rok wcześniej nie zniknęły, natomiast zaczęły pojawiać się nowe. Czy więc coraz bardziej oddalamy się od wizji wspólnego rynku w UE?

Nie oddalamy się od wspólnego rynku, tylko rozwój jednolitego rynku pokazał nowych konkurentów i powoduje, że państwa albo regiony próbują chronić swoje firmy przed konkurencją z innych regionów. Każdy próbuje się okopać, nie zwracając uwagi na to, że jednolity rynek jest dla nas kluczowy.

Czyli narasta protekcyjizm, a wspólny rynek cały czas eroduje...

W jakichś obszarach tak, w innych nie. Trzeba robić więcej we wszystkich obszarach. Kwestia usług, uznawania kwalifikacji. Teraz przygotowujemy nową dyrektywę: pakiet o legalnej migracji, umiejętnościach i poszukiwaniu talentów, który pozwoli tym, którzy przenieśli się do Europy, łatwiej poruszać się na całym rynku europejskim. To dla Polski może być trudne: mamy dużo migrantów z niezłymi kwalifikacjami. Gdy taki pakiet wejdzie w życie, być może ci, którzy u nas pracują, będą chcieli się przenieść do innego kraju UE. Działa to różnie, ale na pewno jest tak, że korzyści z działania jednolitego rynku jest więcej niż z tego, że któryś kraj się czegoś doszuka i znajdzie jakąś barierę, przez którą może ograniczyć działanie jakiejś firmy czy części rynku. Jako Unia jesteśmy małym graczem na rynku światowym, więc musimy działać wspólnie. Jeśli zaczniemy ze sobą walczyć i tak bezwzględnie konkurować, to nic z tego nie będzie.

Czy nie istnieją w UE mechanizmy prawne, które by zapobiegały tworzeniu barier i je likwidowały?

Są punkty kontaktowe, do których można zgłaszać bariery, i to bezpośrednio trafia do Komisji Europejskiej, można zgłaszać problemy bezpośrednio do KE. Jako Lewiatan składaliśmy np. taki wniosek w sprawie daleko posuniętego zakazu reklamy aptek w Polsce, co nawet uniemożliwiło odpowiednią informację dla pacjentów. Sprawa trwa długo, nie jest jeszcze zakończona, może jednak nasz regulator zmieni zdanie.

Co pana zdaniem należałoby zrobić, żeby mechanizmy wspólnego rynku nie były blokowane?

Tak jak we wszystkich przepisach UE – musi być lepiej realizowany tzw. semestr europejski, czyli procedura corocznego oceniania jakiegoś obszaru polityk

unijnych i realizacji ich celów w krajach członkowskich oraz ustalania wspólnych wniosków i zaleceń Komisji. To jest narzędzie, które mogłoby lepiej śledzić to, co się dzieje na poszczególnych rynkach. Innej drogi nie ma. Musi to realizować Unia Europejska i na poziomie europejskim, razem z państwami członkowskimi, prześledzić najistotniejsze zakłócenia i wdrażać nowe rozwiązania prawne lub instytucjonalne. Chcemy być Unią, ale na końcu każdy chce bronić swego podwórka. Tak się nie da.

Ale czy rzeczywiście władze UE chcą bronić tego wspólnego rynku, skoro wprowadzają takie regulacje jak właśnie pakiet mobilności? Może inne podobne pakiety zostaną wprowadzone w innych branżach?

Unii na pewno na tym zależy. Krajom członkowskim też – dopóty, dopóki jednolity rynek nie stwarza im problemu. Dopóki one są silne i konkurencyjne, dopóty jest OK. Jeśli ktoś im wchodzi na rynek, to oczywiście się burzą. Komisja powinna rozważać to w sposób bardziej sensowny, a nie wymyślać regulacje, które powodują, że kierowca z Polski raz na osiem tygodni musi pustym samochodem wrócić do kraju, choćby z Portugalii. Robi się z tego parodia.

Wiemy, że jest to efekt jakiegoś lobbingu. Czy to nie jest tak, że Komisja Europejska częściej stoi po stronie państw Europy Zachodniej?

Tego tak nie widzę. To jest raczej inna batalia: między pracodawcami, przedsiębiorcami a związkami zawodowymi, które uważają, że kraje, które później wstąpiły do UE, naruszają reguły konkurencyjności, bo płacą mniej swoim pracownikom, w związku z czym ci pracownicy i usługi stają się konkurencyjne. Tu jest niezrozumienie. Ludzie żyją w Polsce, dostają wynagrodzenia w złotych, one są znacząco niższe od tych, które są wypłacane w krajach zachodniej Europy, ale siła nabywcza pozwala tu żyć zupełnie przyzwoicie i godnie. W związku z tym nie mogą narzucać nam płac i wymogów, które są uznawane przez bogate kraje Zachodu. Stąd bierze się dużo napięć. I to powoduje potem takie przygody jak te z transportem.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Lech Piławski – doradca zarządu Konfederacji Lewiatan i członek Europejskiego Komitetu Ekonomiczno-Społecznego.



Łukasz Majchrzyk

Mateusz Ponitka w ciągu dwóch tygodni stał się jednym z lepiej rozpoznawalnych polskich sportowców. W świecie koszykarskim ceniony był od dawna

Na czwarte miejsce w Europie ciężko pracowała cała koszykarska drużyna Polski, wszystkich 12 zawodników, którzy wystąpili w turnieju, a nawet ci, którzy odpadli po letnich zgrupowaniach kadry. Tytaniczną pracę wykonał sztab szkoleniowy pod dowództwem selekcjonera Igora Miličicia, który znakomicie rozpracowywał rywali, potrafił wyeksponować zalety własnych graczy i ukryć ich słabości. Jednak najwięcej uwagi skupiał na sobie kapitan Mateusz Ponitka, mimo że specjalnie o pochwały ze strony mediów i kibiców nie zabiega. Kilka lat temu zrezygnował nawet z obecności na Twitterze, bo szkoda mu było tracić czas na wirtualną rzeczywistość – woli ją przeznaczać na prawdziwe życie.

Trudno było jednak nie dostrzec tego, jak wiele w grze reprezentacji Polski dawał jej kapitan. Ponitka walczył pod swoim koszem, zbierał piłki, przepychał się z wyższymi i silniejszymi rywalami, a potem często pędził do kontrataku. To on najczęściej rozgrywał w polskiej drużynie piłkę, decydował o tym, jak zostanie rozegrana akcja i do kogo trafi piłka, a kiedy nie było lepiej ustawionego kolegi, decydował się na rzuty spod kosza albo z dystansu, często nad wyciągniętymi w górę rękami obrońcy. Radził sobie z tymi zadaniami świetnie, chociaż przez większość kariery odgrywał na boisku zupełnie inne role.

Zachwycił już w pierwszym meczu z Czechami, zdobywając 26 punktów i notując dziewięć asyst, czyli podań, po których punkty zdobywali koledzy. Potem przez dwa tygodnie utrzymywał równą formę, sprawiając kłopoty koszykarzom z Izraela czy Ukrainy.

Potem nadszedł ćwierćfinał przeciwko Słowenii, o którym polscy kibice będą mówili jeszcze za kilkadziesiąt lat, bo takie wieczory w sporcie zdarzają się rzadko. Ponitka przyćmił wtedy Łukę Dončića, jednego z najlepszych koszyka-

Gigant spod kosza



FOT. OLIVER BERENDT/AP FOCUS NEWS

rzy na świecie. Zdobył tzw. triple double, zapisując dwucyfrowe zdobycze: punktów, zbiórek i asyst. Pod koniec meczu wymusił piąte przewinienie Dončića i odesłał gwiazdę reprezentacji Słowenii na ławkę rezerwowych. Bez niego na parkiecie mistrzowie Europy nie byli w stanie odrobić strat i odpadli z turnieju, a Polacy awansowali do półfinału, osiągając największy sukces od ponad 50 lat.

WIELKI TALENT

Nic dziwnego, że Dončić na pomęczowej konferencji mówił, że kapitan reprezentacji Polski jest graczem na miarę występów w lidze NBA. Z taką opinią zgadza się wielu ekspertów, chociaż sam Ponitka tonuje te nastroje. Dobrze wie, że nie ma sensu się za bardzo takimi pochwałami emocjonować, bo dostać się do najlepszej ligi świata nie jest łatwo. Od dawna był uważany za wielki talent, zdobył wicemistrzostwo świata do lat 17, a nagrodę podczas obozu dla młodych zawodników wręczał mu gwiazdor hiszpańskiej koszykówki i mistrz NBA Pau Gasol. Potem Ponitka wystąpił w meczu młodych talentów „Europa vs. Ameryka”, organizowanym przez koncern Nike w Portland, a mimo to kontraktu od klubu z NBA się nie doczekał.

Był nawet na Lidze Letniej, gdzie reprezentował barwy Denver Nuggets i mógł się zaprezentować z bliska trenerom klubów z najlepszej ligi świata. Wtedy pokazał, że potrafi grać dla drużyny i wypełniać na parkiecie to, czego oczekuje od niego szkoleniowiec. Wiedział, że w takich meczach absolwenci amerykańskich college'ów „wrywają” sobie piłkę, chcąc zdobyć jak najwięcej punktów, więc skoncentrował się na walce o zbiórki, bo żeby dostać się do NBA, musisz pokazać coś ekstra, czego nie mają lub nie chcą robić inni.

W tamtym sezonie pokazał, że jeśli chodzi o siłę i wytrzymałość, to pasował do NBA już wiele lat temu. Tylko w klubie rozegrał 64 trudne spotkania, do tego dodał treningi i mecze w Lidze Letniej, a prosto z USA przyleciał na zgrupowanie reprezentacji Polski. Taką dawkę wysiłku trudno wytrzymać, a Ponitka dał radę.

ŚWIADOMY JAK LEWANDOWSKI

Żelazne zdrowie to jest jedno, ale najlepszy obecnie polski koszykarz dokłada do tego niesamowity profesjonalizm. Dbą o odpoczynek, nie słysząc o tym, by imprezować, a w ciągu dnia ucina sobie drzemki, żeby zregenerować organizm. Pije bardzo mało alkoholu i dba o dietę.

**Nie od dziś wiadomo,
że kapitan reprezentacji
Polski Mateusz Ponitka
jest graczem na miarę
występów w lidze NBA**

Pod tym względem można go zestawić z Robertem Lewandowskim, bo jest bardzo świadomy tego, co mu służy.

Kilka lat temu, jeszcze za czasów gry w Stelmecie Zielona Góra, długo dyskutował z trenerem przygotowania fizycznego na temat tego, czy warto włączyć do diety masło. Ponitka nie był przekonany, bo mu nie smakowało, miał swoje argumenty, ale ostatecznie dał się namówić. Ten sam trener, Jure Drakslar, pracował potem indywidualnie z Dončićem, ale jak widać po sylwetce zawodnika Dallas Mavericks, cudowne dziecko słoweńskiej koszykówki nie jest tak zdyscyplinowane jak kapitan reprezentacji Polski.

Ponitka pracuje nad poprawą wszystkich elementów, które mogą mu się przydać na parkiecie. Kilka lat temu można było spotkać opinię, że ma duże rezerwy, jeśli chodzi o rzuty z dystansu. Podczas mistrzostw Europy można było zobaczyć, jak rzuca za trzy punkty i nie przejmując się tym, czy ma przed sobą obrońcę czy otwartą drogę do kosza.

Nic dziwnego, że w europejskiej koszykówce od wielu lat jest znaczącą postacią. Po pobycie w Stelmecie Zielona Góra, gdzie miał okazję zagrać też w Eurolidze, zdecydował się na grę w Turcji. Wybrał mniej znany klub Pinar Karsiyaka, za to bardzo silną ligę, gdzie miał okazję zmierzyć się z wieloma graczami, którzy później trafili do NBA.

Grał tam tak dobrze, że kibice wybrali go do udziału w meczu gwiazd, obok m.in. Furkana Korkmaza (obecnie Philadelphia 76ers), Bogdana Bogdanovicia (Atlanta Hawks) czy Ciediego Osmana (Cleveland Cavaliers). Potem przeniósł się na Wyspy Kanaryjskie, do zespołu Iberostar Tenerife, gdzie w silnej lidze hiszpańskiej miał okazję zmierzyć się z wchodzącym do dorosłej koszykówki Dončićem i wieloma innymi gwiazdami.

Wreszcie, z przystankiem na grę w Lokomotiwie Kubań, trafił w 2019 r. do Zenita St. Petersburg i tam wypłynął na jeszcze szersze wody. Stał się tak ważną postacią, że został wybrany kapitanem

drużyny, występującej w Eurolidze. Firma prowadząca te rozgrywki jest w konflikcie z FIBA, organizuje m.in. mecze reprezentacji, więc często terminy ze sobą kolidują, ale Ponitka, kiedy mógł, to przylatywał na zgrupowania. W listopadzie 2020 r., prosto z meczu w Kownie, przez Wilno przyleciał na kilkadziesiąt godzin do Walencji, żeby wystąpić w spotkaniu z Rumunią, i to w czasie ograniczeń w podróżowaniu, związanych z koronawirusem.

POŻEGNANIE Z ROSJĄ

Być może grałby w Zenicie do tej pory, gdyby nie napaść Rosji na Ukrainę. Ponitka od razu zaczął robić wszystko, żeby rozwiązać kontrakt. Rozmowy się przedłużały, bo Rosjanie na początku nie chcieli ustąpić, a władze koszykarskie nie zawiesiły Rosji w rozgrywkach międzynarodowych. Jednostronne zerwanie umowy groziło zawieszeniem zawodnika. Ponitka rozegrał w barwach Zenita jeszcze jedno spotkanie, a później szczerze pożegnał się z klubem sponsorowanym przez Gazprom i przyjechał do Polski. Jak sam mówił podczas briefingu prasowego w siedzibie Ministerstwa Sportu i Turystyki, następne miesiące poświęcił na dojście do dobrej formy psychicznej, bo wydarzenia z początku roku kosztowały go wiele nerwów.

Przez kilka miesięcy nigdzie nie grał i być może dlatego przed nowym sezonem nie zgłosił się po niego żaden klub z Euroligi. Ostatecznie związał się z mało znanym włoskim klubem Pallacanestro Reggiana. Umowa obowiązuje jednak tylko trzy miesiące i już wiadomo, że są chętni, żeby kontrakt Polaka wykupić. Po świetnych występach Ponitki w mistrzostwach Europy po kapitana reprezentacji Polski zgłaszają się największe, europejskie potęgi, m.in. Panathinaikos Ateny czy Virtus Bologna.

Polski koszykarz deklaruje, że pierwszeństwo mają dla niego władze klubu, który wyciągnął do niego rękę w trudnym momencie, ale trudno sobie wyobrazić, by Ponitka nie podpisał za chwilę kontraktu z jakimś gigantem. To byłoby też z korzyścią dla Włochów, którzy w takiej sytuacji na pewno zarobili spore pieniądze.

Można być pewnym, że to nie jest jeszcze ostatnie słowo polskiego koszykarza na europejskiej scenie. Kibicom dostarczy jeszcze wiele radości, a menedżerowie i skauci lepiej niech uważnie śledzą jego grę, bo takiego profesjonalisty nie wolno przepaścić.

TEST „DO RZECZY”: GREEN CELL SOLARCHARGE 21 W

Fajny pomysł w czasach kryzysu energetycznego. Możliwość ładowania powerbanku podczas wycieczek, solidne wykonanie, niewielka waga i możliwość zasilania trzech urządzeń jednocześnie – to największe zalety solarnego powerbanku polskiej marki Green Cell.

Model SolarCharge 21W został stworzony z myślą o tych, którzy na dłużej oddalają się od elektrycznego gniazdka, a nie chcą rezygnować z kontaktu ze światem. Urządzenie składa się z wydajnego panelu fotowoltaicznego o mocy 21 W i konwersji na poziomie ok. 25 proc., a także z wbudowanego powerbanku o pojemności 10 000 mAh, który pozwala na magazynowanie pozyskanej ze słońca energii. Urządzenie wraz z powerbankiem i rozkładanymi panelami waży zaledwie 730 g. Pozostałe wymiary to 10 mm grubości, 305 mm szerokości oraz 520 mm wysokości. Po złożeniu przypomina podręczną aktówkę.

Dzięki dwóm karabinkom bardzo solidnie wykonany solarny powerbank można bez trudu przyczepić do plecaka i czerpać darmową energię podczas wypraw rowerowych lub długich górskich wspinaczek. Urządzenie można też podładować podczas odpoczynku i powiesić na namiocie, drzewie etc.

W słoneczny dzień ładowanie powerbanku przy użyciu trzech składanych paneli fotowolta-

icznych idzie zaskakująco sprawnie. Przy mocno zachmurzonym niebie próba ładowania wymaga już ogromnej cierpliwości, a i tak cudów spodziewać się nie należy.

Green Cell SolarCharge jest wyposażony w dwa klasyczne porty USB, jeden USB typu C oraz jeden port microUSB. Maksymalna moc wyjściowa wynosi 21 W. Niby szata nie ma, ale podczas nadmor-

skich kąpielí słonecznych lub górskich wycieczek spokojnie smartfona do pełna naładuje. Gadżet można też wykorzystać do ładowania aparatów cyfrowych, czytników książek, kamer sportowych, nawigacji, smartwatchów, tabletów etc. Bardzo fajne jest to, że maksymalnie można uzupełniać energię nawet w trzech urządzeniach jednocześnie.

Teoretycznie, komputera za pomocą tego powerbanku już nie naładujemy, ale przy użyciu portu USB typu C jest szansa nie tylko na podtrzymanie energii laptopa, lecz także na jego delikatne podładowanie (z powodzeniem udało się to podczas pisania tej recenzji, choć znowu superszybkiego ładowania nie można się w tym przypadku spodziewać).

Inne wady? Na stronie producenta gadżet kosztuje powyżej 600 zł.

To drogo, choć niektórzy konkurenci podobne produkty wyceniają nawet na niemal 800 zł. Na szczęście w marketach z elektroniką można go kupić za 539 zł, co wydaje się już rozsądną wyceną. Trzeba też pamiętać, że urządzenie nie jest wodoodporne, więc w razie ulewy trzeba szybko wyskoczyć z namiotu i schować słoneczną ładowarkę w suche miejsce.

Mimo tych minusów tego typu gadżet to zakup konieczny dla wszystkich miłośników korzystania z czystej i darmowej energii słonecznej. W czasach, gdy prąd nie tylko ma być drogi, lecz także niewykluczone są przerwy w dostawach energii do gniazdek, testowany model może być również wpisany na listę obowiązkowych rzeczy dla nowoczesnych preppersów. © © **Jacek Przybylski**



PIEKARNIK DLA LAIKÓW KULINARNYCH

Ceny nadal rosną, więc na romantyczną kolację przy świecach żonę / narzeczoną / etc. lepiej zaprosić do domu niż do wyszukanej restauracji. Aby wrażenia z posiłku były, można wspomóc się technologią. Chiński

koncern Haier promuje piekarnik 2 HW060SM2B9XH, który według zapewnień marketingowców ma zmienić kulinarnego laika w prawdziwego szefa kuchni. W gotowaniu pomóc ma specjalna aplikacja hOn wraz z „osobistym asystentem”, który ma podpowiedzieć, jak przygotować wykwintne danie niczym z wykwintnej restauracji. Wybierając dania, można ustawić poziom trudności, rodzaj składników, czas przygotowania, a nawet okazję. Do wyboru jest 350 przepisów, w tym 50 w formie filmików video. Piekarnik ma wbudowaną termosondę, a dzięki połączeniu ze smartfonem można na ekranie telefonu sprawdzać, jak przebiega przygotowanie posiłku. Cena: 2,2 tys. zł.



ŚWIECĄCY GŁOŚNIK

Niemiecka firma Hama zaprezentowała głośnik bezprzewodowy Hama Shine 2.0 o mocy 30 watów. Urządzenie na pierwszy rzut oka wygląda jak milion podobnych oferowanych przez konkurentów. Nowy głośnik wyróżniają wodoodporność, niewielka waga (700 g) oraz szeroki pierścień z diodami LED, które dostosowują się do rytmu muzyki, mogą pomóc w rozkręceniu domowej imprezy lub przeciwnie – pomogą stworzyć nastrój do relaksu. W sumie do wyboru jest pięć trybów pracy. Gadżet może się sprawdzić nie tylko w domu, lecz także nawet podczas jesiennych prac w ogrodzie. Jest bowiem wyposażony w baterię o pojemności 2000 mAh, która pozwala na słuchanie muzyki przez 12 godzin na jednym ładowaniu. Cena: 349 zł.

© ©

Jacek Przybylski

Nowy program w Telewizji Republika!



poza polityką

zaprasza
Emilia Wierzbicki

Piątek

22:00

powtórka:

Niedziela

21:30



Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną oraz poprzez dostępną telewizję naziemną w województwie śląskim i okolicach. Dostępna jest również dla odbiorców korzystających z nadajnika MUX w Katowicach i okolicach, a także w internecie na stronie www.tvrepublika.pl.



ANNA POPEK Z D. CHRUIK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Jesień

Wraz z końcem września, kiedy rozpoczyna się kalendarzowa jesień (a na noc z 22 na 23 przypada tzw. jesienne równanie dnia z nocą, czyli astronomiczny początek jesieni), nasi pradziadowie obchodzili dożynki, czyli święto wdzięczności – za szczęśliwe i urodzajne lato oraz zebrane plony, dzięki którym mogli mieć pewność, że przetrwają ciężką zimę.

W święto plonów wypiekano kołaczki, organizowano biesiady, a przede wszystkim wyplatano wieńce z ostatnich łanów zboża, które zostawały na polu. Był to czas wdzięczności, przemyśleń oraz przeniesienia życia społecznego z zewnątrz do środka domu.

Choć na zewnątrz nadal jest przepięknie, bo liście już przybierają jesienne barwy, intuicyjnie zaczynamy chronić się wewnątrz naszych domów, spędzamy więcej czasu pod ciepłym kocem, sięgamy po ciepłe i rozgrzewające posiłki, gorące herbaty i napary ziołowe.

Korzystamy z dobrodziejstw naszych pól i ogrodów. Na targach pojawiają się grzyby (choć w tym roku jest ich jak na lekarstwo ze względu na panującą suszę w lasach – aż strach pomyśleć, czy będziemy mieli suszone grzyby na święta Bożego Narodzenia?!),



coraz więcej mamy żurawiny, dynie różnych odmian, cukinie, kabaczki i kiszonki.

W naszym domu od jesieni do późnej wiosny regularnie przyrządzamy zakwas buraczany. Bardzo polecamy robienie zakwasu, gdyż podnosi odporność organizmu, poprawia stan naszych jelit i dodaje nam siły vitalnych. Nie jest on jednak dobry dla wszystkich – powinni go unikać osoby ze zdiagnozowaną cukrzycą, ponieważ znacząco podnosi poziom cukru we krwi, nie jest też polecany osobom z kamicą nerkową oraz reumatyzmem.

Taki zakwas robimy najlepiej w kamiennym garnku i przetrzymujemy pod lnianą ściereczką w zaciemnionym miejscu w temperaturze pokojowej. Zakwas pijamy najlepiej lekko ciepły rano, na czczo.

Zakwas buraczany

- 1 kg buraków • 5 ząbków czosnku • 2 liście laurowe • 4 ziarna ziela angielskiego • 1 łyżeczka soli kamiennej • 2 łyżki soku z ogórków lub kiszonej kapusty • 1,5 litra wody przegotowanej i ostudzonej

Buraki myjemy, obieramy i kroimy na grube plastry, wkładamy ciasno do naczynia (wcześniej wyparzonego). Dodajemy obrany czosnek, ziele angielskie i liść laurowy, wszystko zalewamy wodą wymieszaną z sokiem z kapusty lub ogórków. Odstawiamy na tydzień, powinno się zaglądać do zakwasu co drugi dzień i sprawdzać, czy nie zrobiła się na powierzchni pleśń – jeśli tak, to zakwas powinno się wylać i nastawić następny. Jeśli wszystko jest w porządku, to zakwas jest gotowy do spożycia, ma wtedy ciemną barwę i ładnie pachnie. ©©



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Długa droga do Chin

Jest u nas w rodzinie frakcja koneserów herbaty. Sama do niej nie należę, nie przeszkadza mi specjalnie tzw. szczur wrzucony do szklanki. Jednak co bardziej zacięci sekciarze nie poprzestają na szukaniu w polskich sklepach z herbatami, którym, jak twierdzą, nie zawsze można ufać. Za to postanowili zaufać Chińczykom, skutkiem czego w styczniu mój mąż zamówił herbatę Touchun Wuyi Mountain w sklepie internetowym AliExpress. Piliśmy ją u naszego syna i wydawała się dobra, a przy tym nie najdroższa z drogich.

Zanim opiszę, co potem nastąpiło, wyjaśnię, co to jest AliExpress tym, którzy jeszcze nie wiedzą, chociaż słyszałam, że pół Polski tam kupuje. Otóż jest to chiński Amazon, gdzie znaleźć można wszystko, wszystko i to bardzo tanio. Przyjaćciółka pokazała mi kiedyś cudowne płaszcze po 20 dol., podekscytowałam się, ale do zamówienia się nie posunęłam. Z AliExpress jest jeden kłopot: paczka idzie długo. Miesiąc, nawet dwa. Trudno, poczekamy, powiedział mąż.

W marcu, po dwóch miesiącach, otrzymaliśmy zawiadomienie, że herbata jest już w Szanghaju. Ucieszyliśmy się. W kwietniu dotarła do naszej granicy. Jeszcze tylko cło i zapuka do nas kurier – pomyśleliśmy. Za każdym razem, jak kurier dzwonił z przesyłką, np. książki, mąż podrywał się: „To na pewno herbata!” Nic z tego. W lipcu AliExpress zaskoczył nas komunikatem, że przesyłka znów znajduje się w Szang-



FOT. ADOBE STOCK

haju. Jak to? Wróciła do Chin? Dziwne, ale cóż. Takie rzeczy się zdarzają. Potem nastąpiła chwila przerwy. Dłuższa chwila. Pod koniec sierpnia mąż wystosował do AE e-mail z żądaniem zwrotu pieniędzy. Sklep (lub jego bot) odpisał grzecznie, że przeprasza i że herbata już, już za chwilę do nas dotrze. Aż tu nagle wiadomość: „Witaj, Zamówienie 8147589433313186 zostało potwierdzone jako otrzymane. Szczegóły zamówienia poniżej. Jeśli nadal nie otrzymałeś przedmiotu, to masz jeszcze 15 dni na rozpoczęcie sporu” (pisownia oryginalna).

Może i otrzymane, szkoda, że nie przyszło. Sporu nie rozpoczniemy, 150 zł spisujemy na straty.

Mało tego: syn, który już nieraz zamawiał tę herbatę, postanowił się nie zniechęcać naszą porażką. Znowu zamówił to samo, trochę jako eksperyment. Na finał czekamy, pochyleni nad szklanką assam z supermarketu.

Osobiście nie cierpię z powodu tego incydentu, ale drzemie we mnie isierka nadziei, że jesienią roku 2027 zapuka do nas kurier z przesyłką AliExpress. I usiadziemy nad szklanką aromatycznej Touchun Wuyi Mountain. Długą drogę przebyła z Chin.

Ali Babie i 40 rozbójnikom nie takie rzeczy się zdarzały. ©©

Watykańska galeria osobliwości

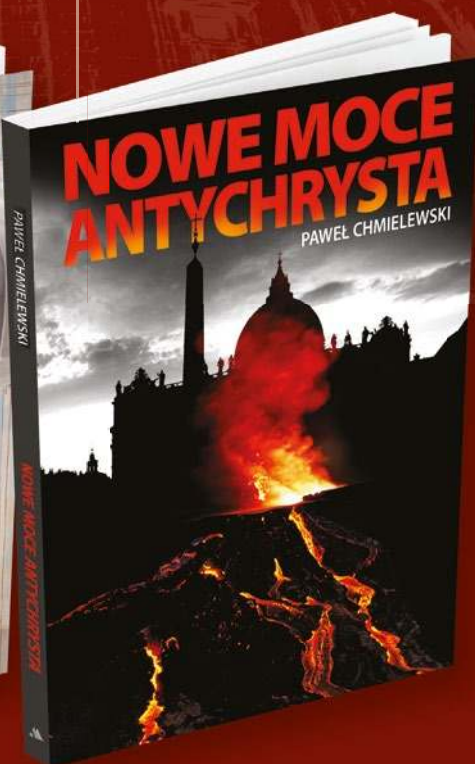
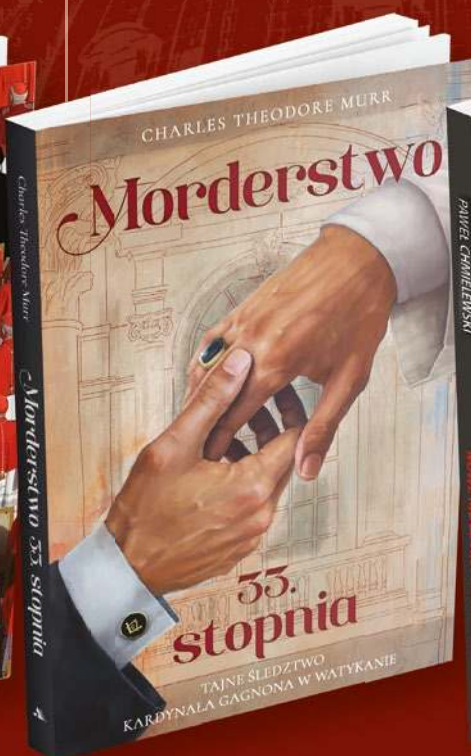
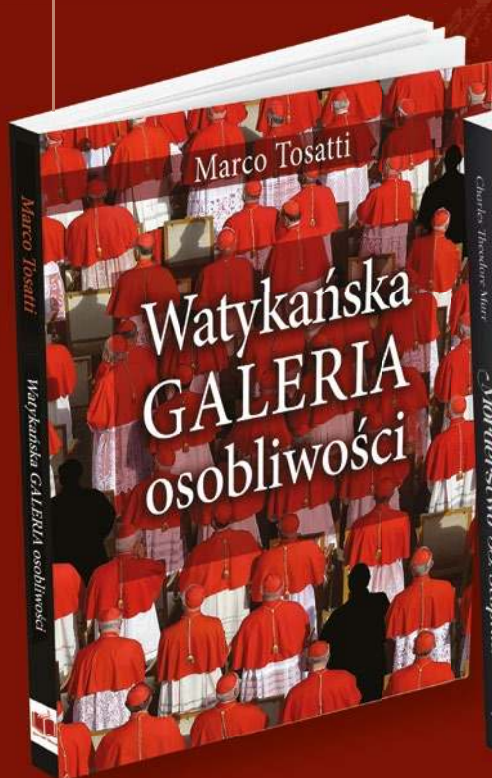
*Występki i zepsucie
w Neo-Watykanie*

Morderstwo 33. stopnia

*Masońska infiltracja
w sercu Watykanu?*

Nowe moce antychrysta

*Jak Kościół
sam odrzuca
własną doktrynę...*



Zapraszamy do odwiedzenia stoiska **Klubu Książki Katolickiej**
na XXVII Targach Wydawców Katolickich
29 września – 2 październik 2022
Zamek Królewski w Warszawie



Wydawnictwo AA

Książki do nabycia również w księgarni internetowej:
www.religijna.pl lub pod nr tel. 12 345 42 00



JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Tragiczne dzieje zamku w Grodnie



Zamek w Grodnie nad Niemnem to żywa księga i kronika dawnej Rzeczypospolitej. Wzniesiony w początkach XV w. jako gotycka, kamiennie-ceglana budowla z pięcioma wieżami, składał się tak naprawdę z dwóch twierdz. Drugą był Zamek Dolny – znajdujący się na miejscu obecnego Nowego, gdzie powstał dom królewski. Była to wówczas jedna z głównych rezydencji książąt litewskich i zarazem władców polskich. Podobnie jak inne zamki i pałace była wielokrotnie przebudowywana, burzona i zdobywana. Podupadający zamek zyskał nowy blask za sprawą Stefana Batorego, który w czasie wojen z Moskwą w latach 1577–1582 uczynił z niego swoją główną rezydencję i przebudował twierdzę w stylu manierystycznym, zaopatrując ją nawet w wodociąg.

W XVII w. zamek nie uniknął losu innych budowli polskich i litewskich, został bowiem zdobyty i zrujnowany przez wojska moskiewskie w 1659 r. Świątynię przywrócono mu jednak po 1673 r., kiedy zapadła decyzja, iż w Grodnie będzie odbywał się co trzeci sejm zwyczajny; w związku z czym nie tylko odnowiono zabudowania, lecz także od strony Niemna wzniesiono czworokątną budowlę; mieściły się tam sale: Poselska i Senatorska. Niestety, nie przetrwała długo. Na początku kolejnego stulecia zamek padł bowiem łupem szwedzkich wojsk Karola XII, który najechał Rzeczypospolitą. Wyrządzili takie szkody, że nie nadawał się już do użytku. W 1729 r. zaważyły się mur i wieża od strony Niemna, dodatkowo sześć lat później wybuchł pożar.

Kres dewastacji położył król August III Sas, który przede wszystkim nakazał budowę na sąsiednim



FOT. DOMENICA PUBLICZNA

wzgórzu, gdzie znajdowały się wcześniej zabudowania Zamku Dolnego, okazałego pałacu spełniającego funkcję rezydencji królewskiej, a przy okazji miejsca odbywania sejmów. Prace rozpoczęły się w 1737 r., równocześnie zaś odbudowano Zamek Stary, który jednak nie powrócił już do dawnej świetności. Od 1769 r. ulokowano tu urzędy – izbę sądową, archiwę, skarbiec, kancelarie grodzką i ziemską. Po upadku dawnej Rzeczypospolitej zamek przeznaczony został na koszarę, a po odzyskaniu niepodległości ulokowano tutaj muzeum, które zostało zniszczone i rozgrabione, kiedy w 1939 r. Grodno zdobyły wojska sowieckie. Co gorsza, Zamek Nowy odbudowany został w latach 50., ale jako siedziba sowieckiej partii komunistycznej. Dopiero w 2017 r. rozpoczęto przebudowę Zamku Starego, która przywrócić ma wygląd z czasów Stefana Batorego. Jest ona jednak prowadzona współczesnymi technikami budowlanymi, spotkała się zatem z falą krytyki białoruskich historyków.

Tymczasem kronika wydarzeń historycznych związanych z zamkami Górnym i Dolnym (dziś Nowym) jest ogromna. W 1445 r. przybyłe poselstwo ofiarowywało koronę Królestwa Polskiego Kazimierzowi Jagiellończykowi, który zresztą zmarł tutaj w 1492 r. Na zamku w Grodnie

umarł wcześniej Kazimierz, drugi syn królewski, święty, kanonizowany w 1602 r. Kolejnym władcą, który zakończył tutaj żywot, był Stefan Batory – 12 grudnia 1586 r. Pięć dni wcześniej, idąc w nocy do ustępu, przewrócił się i zemdlął, później dzień w dzień nękały go ataki duszności i bóle; wreszcie w kolejny piątek zamknął oczy na wieki. Do dziś wśród historyków krąży teza, że został otruty, choć Franciszek Giedroyc już w 1906 r. dowodził, iż przyczyną śmierci była uremia. W 1633 r., w czasie kolejnej wojny z Moskwą, na zamku przebywał król Władysław IV. Sześć lat później spotkał się tutaj z elektorem brandenburskim Jerzym Wilhelmem.

W 1744 r. odbył się pierwszy sejm w świeżo zbudowanym pałacu zwanym dziś Zamkiem Nowym; kolejne odbywały się od 1752 r., gdyż obiekt ten częściowo spłonął. Tutaj także odbył się w 1793 r. ostatni sejm Rzeczypospolitej sterroryzowany przez wojsko rosyjskie, który zatwierdził drugi rozbiór i ostateczny dramat kraju. Po zakończeniu insurekcji kościuszkowskiej, od 12 stycznia 1795 r., w pałacu przebywał pod nadzorem wojsk rosyjskich Stanisław August Poniatowski, ostatni król okrojonej Rzeczypospolitej istniejącej jeszcze do 24 października tego roku – dopóty, dopóki Prusy, Austria i Moskwa nie przeprowadziły ostatniego rozbioru, likwidując państwo polsko-litewskie. I tutaj też, pod naciskiem Mikołaja Repnina i carycy Katarzyny, Stanisław August abdykował 25 listopada, kładąc kres królewskiej tradycji Rzeczypospolitej. Mieszkał potem w Grodnie aż do chwili, kiedy po śmierci carycy nowy władca Moskwy Paweł I zaprosił go do Petersburga. ©



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Covidowy dysydent

Wychodzą coraz bardziej covidowe kwiatki. To znaczy rzeczy, które działają się podskórnie, były dość powszechne oraz nie słyszeliśmy o nich. To ostatnio to oczywistość – w skoszaronych czasach obowiązywała jedyna prawda, każde odstępstwo zaś było albo karane w świetle werbli, albo niszczone w medialnej ciszy. Dziś o tej drugiej drodze postępowania.

Pojawiła się relacja dr. Thomasa Bindera ze Szwajcarii, diagnosty i terapeuty infekcji dróg oddechowych, doktora nauk z dziedziny immunologii i wirusologii z 34-letnim doświadczeniem. Opowiada on, jak w kwietniu 2020 r. został aresztowany za mówienie prawdy o naturze COVID i przesadzie, z jaką traktowano koronawirusa. Został on aresztowany, a ponieważ trudno było (wtedy) znaleźć na takie poglądy paragrafy, przewieziono go do zakładu psychiatrycznego, gdzie postawiono go przed wyborem: albo sześć tygodni leczenia tego wariata, albo poddanie się na wolność (sic!) przymusowemu przyjmowaniu leków psychotropowych, w kontrolowanej przez medyków terapii, czyli przyjmowaniu ich w obecności innego lekarza.

Przypomina to metody Rosji Sowieckiej, gdzie właśnie w ten sposób postępowano z niewygodnymi dysydentami. Zamiast tworzyć więziennego męczennika, robiło się z tata wariata, społeczność się nie ujmowała, bo to szalenie, jeszcze

w trakcie „terapii” zaś można było pacjentowi dać bobu za pomocą lekarstw, które robiły sieczkę z buntowniczej osobowości. Sowietci nawet doszli do arcydzieła tego proceduru, ustanawiając jednostkę chorobową bezobjawowej schizofrenii. A więc chorym mógł być każdy. Coś jak w roku 2020, kiedy za pomocą jednostki bezobjawowego działania koronawirusa zamknięto w domach miliardy zdrowych, acz chorych na testy ludzi.

Teraz będą wychodzić takie kwiatki. No bo pan doktor ze Szwajcarii mówił wtedy rzeczy oczywiste, nawet z (dzisiejszego) punktu widzenia głównego nurtu oficjalnej medycyny. Czyli za tę samą prawdę raz możesz pójść do psychiatrycznego więzienia, a raz – dwa lata później – mieć wywiad w telewizji i być uznanym za geniusza. Trzeba mieć tylko dobry timing. Co oznacza, że nie tylko etykę, lecz także prawo mamy tutaj sytuacyjne. Nie pytam nawet, jaki jest los decydentów w sprawie pana doktora, nie pytam nawet, ilu było na świecie takich doktorów. Ale skoro mówimy o tym samym wirusie i traktujemy go tak skrajnie różnie, to oznacza, że wirus się nie zmienia, a zmienia się tylko nasz stosunek do niego. Najpierw surowy, dziś pobłażliwy.

I ci sami, którzy robili takie rzeczy jak z panem doktorem, chodzą sobie w spokoju po świecie, jakby byli pewni, że ten system, który umożliwił im taką bezkarność, wciąż jest na stand by, gotowy do startu, jak tylko przyjdzie sygnał. ©©



JAN POSPESZALSKI

#WARTO

Cenzura i tresura

Zablokowanie kanału wideo portalu Polonia Christiana przez administratora platformy internetowej kolejny raz pokazało, że ograniczanie wolności słowa jest stałym elementem przestrzeni komunikacji. Ale nie tylko. Jest też przykładem cenzury prewencyjnej, która działa jak bat tresera.

Redakcja otrzymała wiadomość, że przez trzy miesiące nie może zamieszczać treści, które odnoszą się do szczepień na COVID-19. A więc mamy tu próbę zmuszenia redakcji do uległości. Pod groźbą wyłączenia wtyczki redaktorzy portalu sami muszą stosować autocenzurę. Aby funkcjonować i ocalić możliwość dostarczania do odbiorców choć części wartościowych treści, chcąc nie chcąc, przyjmują warunki gry narzucone przez administratora.

Ustawiczne funkcjonowanie w stanie zagrożenia, gdy w tyle głowy mamy sygnał, który nakazuje filtrować treści na dopuszczalne i nie, redagowanie materiałów w narzuconych rygorach z czasem wchodzi w krew i traktuje się to jako coś, z czym trzeba żyć. Niepostrzeżenie osławiamy ten stan, uważając go za oczywisty i naturalny. Tresura myślenia, uznanie pewnych treści za myślozbrodnię dokonuje spustoszenia nie tylko społecznego – w przestrzeni informacyjnej, w mediach – lecz także z czasem dokonuje zmian w nas samych. Deformuje bowiem nasze myślenie, nasz sposób komunikowania się z otoczeniem.

Znakomicie ten proces rozpoznał przed laty ks. Fran-

ciszek Blachnicki. Pisał, że tym, co nas zniewala, jest permanentny stan życia w zakładaniu... Myślimy co innego – co innego wewnętrznie uznajemy za prawdę, a co innego decydujemy się głośno wyrazić.

Blachnicki podawał receptę, jak wyzwolić się z tego. Tym, co odbiera nam wolność, jest lęk. Odrzucając zatem lęk, opowiadając się po stronie prawdy, odzyskujemy wolność. Prawda ma moc wyzwalającą, ale tylko wtedy, gdy jesteśmy gotowi ponieść cenę jej głoszenia. W filmie „What Is a Woman” autorzy ukazują w sposób bardzo plastyczny, do czego prowadzi przyjęcie (z konformizmu, z lęku, z chęci bycia w głównym nurcie) utopijnej, zakłamej antropologii – za prawdę... Najprostsze pytania: „Czym jest kobieta?”, „Co to jest kobieta?” brzmią tak niepokojąco, że rozmówcy głównego bohatera przerywają wywiad, oskarżają go o transfobię, o przemoc werbalną. Użycie w dyskusji z profesorem gender studies na Uniwersytecie słowa „prawda” uznane jest za niegrzeczne, niemal opresyjne. Rzeczywistość opisana w filmie nadciąga do Polski dużymi krokami. Czy jesteśmy gotowi stawić jej czoła?

Jedno z najważniejszych haseł, które zapamiętałem z czasów Solidarności, to powiedzenie Andrzeja Mycy (Solidarności Walczącej): „... tyle wolności jesteśmy w stanie wywalczyć, ile zdołamy jej sobie wyobrazić. Bo wolność powstaje w głowie”. ©©

SŁAWOMIR
JĄSTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Głupie żarty z kamienną twarzą

Putin ogłosił mobilizację 300 tys. mężczyzn. Stop. Na granicy z Finlandią ustawia się 35-kilometrowa kolejka rosyjskich pacyfistów. Stop. Ceny biletów lotniczych z Moskwy do byle dalej wzrosły nawet dziesięciokrotnie. Stop. Młodzi w Moskwie i innych miastach protestowali, krzycząc m.in.: „Nie dla wojny” i „Putin do okopów”. Stop. OMON bił protestujących zwyczajowo, ale jakby z mniejszą werwą. Stop.

Michał Kamiński poinformował Ukraińców, że „Ukraińcy umierają dzisiaj za prawo bycia homoseksualistą”. Stop. Pewien znany mi Ukrainiec skomentował tę wypowiedź w ten sposób, że ja nie mogę napisać tego, co on mi powiedział. Stop. Mogę natomiast napisać, co Michał Kamiński mówił publicznie o homoseksualistach w roku 2000 przed swoim wielkim obróceniem. Stop. „Przecież to są pedały”. Stop. Mądrość etapu. Stop.

Na polskim Twitterze mają miejsce brutalne interakcje. Stop. Postępowy jezuita Krzysztof Mądel napisał: „Gdyby Rosja była w NATO, nie mogłaby na nikogo napaść”. Stop. Dziennikarz Łukasz A. Jankowski spointował: „Czasami rozumiem postulaty, żeby kler nie mieszał się do polityki, jeśli ma się mieszać aż tak głupio”. Stop.

Hindusi i muzułmanie prowadzą ze sobą wojnę. Stop. Niby nic nowego, ale oni się tłuką w Anglii, w Leicester. Stop. Poprawnie polityczna tamtejsza policja

długo nie interweniowała, myśląc, że społeczności multi-kulti wzajemnie się w ten sposób ubogacają. Stop.

Każdemu radzę obserwować na Twitterze byłego ministra Janusza Piechocińskiego. Stop. To skarbnica wiedzy nieoczywistej. Stop. Oto jeden z jego wpisów: „Z sukcesów PiS: Ostatni raz z tak niskim pogłowiem świń mieliśmy do czynienia na przełomie lat 40. i 50. minionego stulecia”. Stop. I co? Świń za PiS coraz mniej. Cieszyć się czy smucić? Stop.

Jarosław Gowin szuka. Stop. Po tym, jak sprawiono, że samodzielnie odszedł ze Zjednoczonej Prawicy i w zasadzie przejęto mu ugrupowanie, sondowane jest, czy mógłby się dokleić do opozycji. Stop. Izabela Leszczyna z Koalicji powiedziała, że nie, ale już Krzysztof Śmiszek z Lewicy powiedział, że absolutnie nie. Stop. No nic. Stop. Szukamy dalej. Stop.

Niezwykle przykra wiadomość. Stop. Misiek Koterski przeszczepił sobie włosy. Stop. W Turcji. Stop. Mężczyzna przeszczepił sobie sierść na głowie. Stop. Czy uda mu się podnieść po tym upadku? Stop. Mimo wszystko trzymam kciuki. Stop.

Scholz o imieniu Olaf, zatrudniony na stanowisku kanclerza, rzekł, że to niemiecka broń umożliwiła sukcesy Ukrainie. Stop. Mam słabość do głupich żartów opowiadanych z kamienną twarzą. Stop. ©©

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

MAŁGORZATA
WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Zagłada pamięci

Małgośka – mówią mi – prawica ma teraz festiwal piosenki antyniemieckiej.

Kiedy wreszcie zmęczy was ta nienawiść? Ciekawe, że lewica z całej biblioteki polskich poetów najbardziej ukochała wiersz „Nienawiść” Szymborskiej, ale nie chce go czytać sobie, tylko zawsze komuś w twarz.

Tymczasem nasza rzekoma „nienawiść” do Niemców to po prostu pamięć.

Obrazek 1: Mam osiem lat i wchodzę na teren Majdan-ka. Wyszłam z rodzicami z mojego różowego pokoju z różowymi firankami, a przestępuję próg baraku z ludzkimi włosami, z butami i „łaźnią”. Zaczynam rozumieć, że mój różowy pokój jest zagrożony, bo można skończyć w pasiaku i w piecu, gdy zło jest silniejsze.

Obrazek 2: Końcówka lat 90., jestem w Hanowerze na festiwalu teatralnym, bo „aktorze” w studenckim Teatrze Scena Plastyczna KUL. Trwa podsumowanie sztuki ulicznej, Niemcy skarzają się na własną publiczność, uważają, że ich performance’y zostały źle odebrane. Człowiek w przebraniu żyrandola jęczy, że był popychany przez przechodniów, którzy nie rozumieli jego sztuki. Powstrzymujemy śmiech, słysząc, jak Niemiec dziwi się, że „Niemcy potrafia być tak niewrażliwi”. Biedak nie wie, że z naszego KUL można w kwadrans dojechać na Majdanek i zobaczyć ciut więcej niemieckiej

„niewrażliwości”. Ale prawda! To nie byli Niemcy, tylko nasiści.

Obrazek 3: Rok 2018, jestem w Madrycie i obserwuję wybuch popularności Grossa. Wszystkie większe dzienniki piszą o współwinie Polaków. Mam w ręku „El Pais” i łyżę mi kapią na gazetę. Hiszpania – kraj, w którym ledwie dwa lata wcześniej zamknięto po 20 latach nazistowską księgiarnię, sprzedającą setki tytułów wielbiących Hitlera i negujących zbrodnię Niemiec – nagle chce poznać prawdę o Polakach, cytując „naszych ekspertów” z „Wyborczej”.

Obrazek 4: Wrzesień 2022 r., tknięta złym przeczuciem wypytuję Hiszpanów o listę szkolnych lektur dotyczących zbrodni nazizmu. Niektórzy reagują dziwnie nerwowo, zapewniając, że powrotu do faszyzmu u nich nie będzie, więc takie książki są niepotrzebne. Ale oto jest: „Kometa Noaha” Rafaela Salmerona, lektura właściwie obowiązkowa w szkołach. Czytam streszczenie w Internecie i nie wierzę własnym oczom: „Żydowskie dzieci, prześladowane i bite przez swych polskich rówieśników w Krakowie, mają nadzieję, że nasiści, którzy właśnie najechali kraj, uwolnią ich wreszcie od nienawiści Polaków. Okazuje się to jednak ułudą...”. Ten felieton dedykuję tym, którzy nie chcą pamiętać lub perwersyjnie zniekształcają pamięć. To znaczy zabijają po raz kolejny. ©©



WOJCIECH
ROSZKOWSKI

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Transhumanizm

Określenie „transhumanizm” wywodzi się z ideologii, której pionierem był już kilkadziesiąt lat temu angielski biolog i zwolennik eugeniki Julian Huxley. Myślicielowi temu przyświecała idea wykraczania poza naturalne ograniczenia człowieczeństwa. Choć Huxley nie pisał wprost o nieśmiertelności, to ostateczny cel owej „transgresji” można tak rozumieć. Tymczasem jednak człowiek winien, zdaniem transhumanistów, przybierać formy przejściowe (transitory human). Ostatnie 20 lat rozwoju nauki zachęciło transhumanistów do snucia daleko idących wizji.

Wśród współczesnych transhumanistów jedno z czołowych miejsc zajmuje Max More, założyciel Extropy Institute, który sformu-

łował totalnej wolności umożliwiającej postęp. Należy więc likwidować statyczne struktury społeczne i chroniące je autorytety. Na drodze do stworzenia „nowego człowieka” nic nie może ograniczać nowych pomysłów poza swoiście rozumiane kryterium racjonalności.

Wiarą w postęp nauki jest fundamentem ideologii, które już nieraz doprowadziły do katastrof. Wiara ta oparta jest w dodatku na dość wątpliwych podstawach. Jest wiarą w naukę, która ostatecznie nie daje więcej pewności niż wiara. Rozwój wiedzy o świecie w ostatnich dziesięcioleciach jest tego dobrym dowodem, co znakomicie wykazał w swojej fascynującej, choć miejscami hermetycznej książce „Transhumanizm” toruński fizyk

Jeśli transhumaniści planują skanowanie mózgu i transfer ludzkiego umysłu, to powinni chyba najpierw jednoznacznie wyjaśnić, czym są czas i przestrzeń, skoro wiemy, że jedyną stałą wielkością we Wszechświecie jest prędkość światła (300 000 km/s), a więc iloraz przestrzeni i czasu, a także jak rozumieć zasadę superpozycji kwantów, a więc zjawisko lokacji cząstek elementarnych wedle zasad rachunku prawdopodobieństwa. Wreszcie fundamentalne pytanie, na które fizycy kwantowi nadal nie potrafili znaleźć odpowiedzi, brzmi: Jaka jest relacja i jak przebiegają procesy w obrębie ludzkiego organizmu żyjącego w skali mezo, ale złożonego z cząstek elementarnych występujących w skali mikro?

Jak w tym kontekście brzmią słowa pewnej pani profesor, która twierdzi, że „edukacja na wszystkich poziomach powinna dawać ludziom cyfrowe wykształcenie? Trzeba postawić na oświeceniowy model wyzwolenia przez edukację”? Osoba legitymizująca się statusem naukowym rzuca hasło, którego najwyraźniej sama nie rozumie. Cóż bowiem znaczy „cyfrowe wykształcenie”, jeśli nie wiemy, na czym ono naprawdę polega? Cóż znaczy „wyzwolenie”, skoro nie wiemy, do jakiego stanu ma ono prowadzić? Czy chodzi o prawdę, dobro i piękno czy o „zaspokajanie potrzeb” lub szczęście, które jest pojęciem zupełnie względnym? Gdyby rozwojowi nauki przyświecały, jak dawniej, prawda, dobro i piękno, łatwiej byłoby hamować szaleństwa naukowców. Jeśli chodzi o zaspokajanie potrzeb, to wachlarz możliwości staje się zbyt szeroki: od ochrony zdrowia i dobrobytu materialnego aż do dominacji politycznej, masowej indoktrynacji i zbrodni. ©

Wiara w postęp nauki jest fundamentem ideologii, które już nieraz doprowadziły do katastrof. Wiara ta oparta jest w dodatku na dość wątpliwych podstawach. Jest wiarą w naukę, która ostatecznie nie daje więcej pewności niż wiara

wał główne założenia ideologii. Jej składnikiem jest wiara w stały postęp, którego ostatecznym celem jest osiągnięcie nieśmiertelności dzięki przekształceniu struktury biologicznej człowieka za pomocą biotechnologii i teorii krytycznej. Innym założeniem transhumanizmu jest, wedle More’a, „praktyczny optymizm”, czyli myślenie pozytywne eliminujące religię i refleksję egzystencjalną jako przeszkody na drodze postępu. Środkiem działania mają być inteligentne technologie, pozwalające przekraczać ograniczone zdolności człowieka. Budowa nowego człowieka ma następować wraz z budową nowego społeczeństwa. „Społeczeństwo otwarte” ma być w myśl transhumanistów oparte

kwantowy i kognitywista Grzegorz Osiński. Autor nie zatrzymuje się nad analizą pułapek transhumanizmu, ale prowadzi czytelnika przez świat współczesnej nauki i filozofii przyrody. Wskazuje, że od momentu wykrycia superpozycji kwantów tłumaczenie istoty Wszechświata opiera się na coraz bardziej skomplikowanych obliczeniach matematycznych, a matematyka jest ścisłym sposobem objaśniania świata, ale opartym zawsze na systemie aksjomatów, a więc wstępnych założeniach, które można rozumieć jako akty wiary. Mówi o tym obowiązujące dziś twierdzenie o nierozstrzygalności Kurta Gödla, które notabene nie wyłącza kryterium prawdy.

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

WUSA o ekonomii mówią poglądowo – 8 proc. inflacji oznacza, że za Bidena zniknęła ci jedna pensja. Jak? Z powodu wzrostu cen jesteś w stanie kupić mniej za tę samą forszę. Jeżeli ceny wzrosły o 8 proc., to tak, jakbyś w roku 2022 stracił jedną miesięczną pensję, bo 8 proc. to inaczej jedna dwunasta twoich pieniędzy. Jeżeli jechałeś na styk i od pierwszego do pierwszego wydawałeś całą pensję, to teraz zabraknie ci na jeden miesiąc życia.

GUS wyliczył, że do sierpnia inflacja w Polsce wyniosła 16,1 proc. (dwa razy tyle co w USA), czyli tak jakby zniknęły dwie twoje pensje. Nieważne, jakie były, bo każdemu zniknęło procentowo tyle samo, czyli dwie pensje, a to nie koniec. Do grudnia zniknie trzecia, a ponieważ oficjalne dane są naciągane za pomocą różnych sztuczek przedwyborczych, więc być może już teraz zniknęła ta trzecia, a do grudnia zniknie czwarta.

Kto odpowiada za inflację w danym kraju?

Zawsze urzędująca władza, jeżeli inflacja wybucha za jej panowania. W naszym przypadku wybuchała za panowania PiS, więc dopiero następcy mogą się usprawiedliwiać, że to nie ich winą.

Opowieści o tym, że za inflację odpowiadają czynniki zewnętrzne, to oszustwa, kamufaż. Dobrym przykładem jest deszcz – władza nie odpowiada za ulewne deszcze, ale już za skutki ulewnych deszczy odpowiada, bo to władza nie zrobiła studzienek odpływowych, władza nie zrobiła zbiorników retencyjnych, władza nie zadbała o worki z piaskiem i strażaków.

Z inflacją podobnie – za wzrost cen paliw na rynkach zagranicznych nasza władza



FOT. W. CEJROWSKI / LUDJARDZAW.SZCISIKI

nie odpowiada, ale za skutek w postaci inflacji na rynku wewnętrznym odpowiada w stu procentach. Po pierwsze, władza jest od robienia zabezpieczeń na ciężkie czasy oraz na lata chude. Zbiorniki retencyjne na rzekach są po to, by zatrzymać nadmiar wody lub dolać trochę, gdy nadchodzi susza, a podatki są po to, by za ich pomocą tłamsić inflację. Nie budżet państwa, nie zasiłki, nie dotacje, lecz podatki – polityka podatkowa państwa. Im mniej forsy państwo zgarnia z rynku (zabiera obywatelom), tym lżej się ludziom żyje, bo mają więcej pieniędzy dla siebie. Nie z zasiłków, ale własnych, zarobionych.

Gdy nadeszły ciężkie czasy i wysokie ceny, należy obniżyć podatki. I w przypadku Polski władza może (ale nie chce) obniżyć cenę paliw o ponad 50 proc. z dnia na dzień. Jeśli rynek zagraniczny podyktował wysokie ceny, to władza w Polsce rezygnuje z akcyzy i ze wszystkich innych podatków nałożonych na paliwa. Cena benzyny spada z dnia na dzień z 6 zł na poniżej 3 zł. Podobnie jest z cenami prądu.

Inflacja wynosi oficjalnie 16,1 proc., a VAT – 23 proc. Całkowite zniesienie podatku VAT powoduje, że obywatele odzyskują prawie trzy pensje w sytuacji, gdy wcześniej stracili dwie. W ten sposób jesteśmy o jedną pensję przed inflacją.

Zniesienie płacy minimalnej i zezwolenie, by ludzie dogadywali się samodzielnie, za ile będą pracować, powoduje, że nagle ja mogą zatrudnić kogoś, komu brakuje forsy do pierwszego. Obecnie go nie zatrudniam z powodu płacy minimalnej, na którą mnie nie stać. Cała masa prostych i tanich robót nie jest w Polsce wykonywana – nikt nie zarabia nic, chyba że... dogadamy się na czarno.

Moja babcia mówiła: „Wydawać możesz tylko te pieniądze, które masz”. To powinna być zasada wpisana do konstytucji – rząd nie ma prawa robić deficytu, nie ma prawa wydawać forsy, której nie ma w kasie. Nie ma prawa jechać pod kreską ani pożyczać.

Tymczasem ustawa o dopłatach do węgla została napisana, uwzględniając budżet na ten cel na ok. 11 mld zł, a zgłosiło się ludzi tyle, że wyszła kwota 15 mld zł. Czyli albo będą dopłacać wszystkim mniej niż 3 tys. zł, albo nie wypłacą wszystkim, bo zabraknie, albo pożyczą. Pożyczanie forsy przez państwo powinno być surowo zakazane, bo prowadzi do upadku państwa i przejęcia majątku przez obcych. Chińczycy przejęli w ten sposób Afrykę, a teraz wzięli się za Brazylię. Nam tego nie zrobią? Zrobią.

Premier snuje przedwyborcze opowieści o budżecie na rok 2023: wszystkie programy socjalne będą zachowane, więcej na obronność i uwzględniono wykorzystanie pieniędzy z UE, których jeszcze nie ma. Dodał, że to budżet na trudne czasy.

Czy on kiedykolwiek mówił o budżecie na dobre czasy? Jeżeli nigdy za jego kadencji nie było dobrych czasów, to znaczy, że to zły premier.

Trump po objęciu władzy obniżył podatki, skreślił masę przepisów ograniczających swobody gospodarcze i zbił inflację do poziomu 1 proc. JEDNEGO.

W Polsce GUS zawiadamia, że rosną wynagrodzenia i rośnie inflacja, będzie nas stać na coraz mniej, ponieważ kraje UE też notują spadki PKB, a nasza gospodarka jest zależna od

nich. Całkowity budżet na ten rok zakończy się deficytem.

Skoro nasza gospodarka jest zależna od Unii i to szkodzi naszej gospodarce, to logicznym wnioskiem jest uwolnić Polskę od tej toksycznej zależności. Należy wyskakiwać z tonącego okrętu.

W sytuacji, gdy ludziom znikają pensje, podnoszenie stóp procentowych mądre nie jest. Przecież to oznacza wyższe raty kredytowe do płacenia, czyli kolejne kawałki pensji znikają, a do tego droższy kredyt na kartach bankowych oznacza droższe zakupy.

Mówienie, że władza oszalała i miota się jak Żyd po pustym sklepie, to komplement.

Następna władza nie będzie mniej szalona. Tusk promuje czterodniowy dzień pracy.

Cele, które podają zwolennicy pomysłu, łatwo zbić: wprowadzenie wolnej soboty ani nie spowodowało zwiększenia wydajności pracy w dni pozostałe, ani nie spowodowało spadku bezrobocia czy też wzrostu płac – spowodowało za to wzrost cen. Wprowadzenie wolnych piątków to ruch na wykończenie klasy średniej. Prywaciarzy nie będzie stać na płacenie ludziom za cztery dni tyle samo co obecnie za pięć dni. Jeden z pięciu dni wypada, ale za niego płacimy, w takim razie to, co wykonaliśmy w pozostałe cztery dni, robi się droższe o 20 proc.

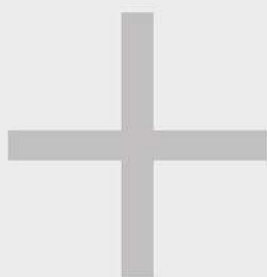
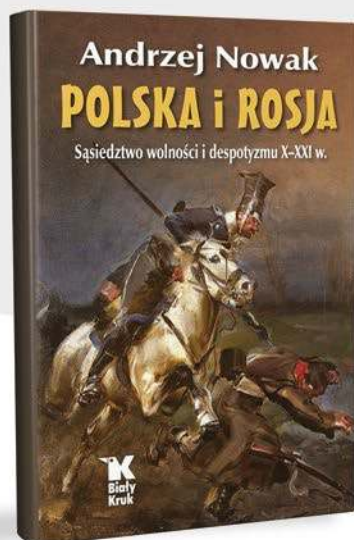
To pomysł z Davos – zniszczyć małe przedsiębiorstwa, zostawić wielkie, z którymi władza się dobrze dogaduje, szczególnie gdy im daje dopłaty do produkcji benzyny, aut elektrycznych, nawozów – te wielkie firmy przetrwają, nawet gdyby płaciły ludziom za niepracowanie w piątek.

Skończę optymistycznie: inflacja obala władzę częściej niż rebelia. © ©

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



~~963 ZŁ~~

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

ANDRZEJ NOWAK

„POLSKA I ROSJA. SĄSIEDZTWO
WOLNOŚCI I DESPOTYZMU X-XXI W.”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

346,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 617 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl

TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)

INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

epresa.pl 3b83f4e06f

Niezawodna precyzja

Eco-Drive generuje energię z dowolnego źródła światła:
naturalnego lub sztucznego, jasnego lub przyciemnionego
i zasila nią mechanizm.

Radio Controlled automatycznie koryguje dokładność wskazania czasu
zgodnie z wzorcem z nadajników radiowych.



CITIZEN®

BETTER STARTS NOW